

Pocałunek śmierci

Caine Rachel

Książka VIII z Wampiry z
Morganville



calibre 0.9.43

WAMPIRY Z

MORGANVILLE 8

„POCALUNEK

ŚMIERCI”

1

Rozdział 1

Aby nie dochodziło do nieporozumień, w Domu Glassów obowiązywał harmonogram prac domowych - gotowania, sprzątania, drobnych napraw, prania. Teoretycznie wszyscy domownicy kolejno gotowali, sprzątali, prali itd. W rzeczywistości chłopcy (Michael i Shane) przekupywali dziewczyny (Eve i Claire), żeby robiły im pranie, a dziewczyny przekupywały chłopców, aby zajmowali się drobnymi naprawami.

Claire zmierzyła wzrokiem swój nowy, naprawdę bardzo ładny, iPod i ustawiła go na „kolejność losową”, przyglądając się ostatniemu praniu. I tu pojawiał się problem: uwielbiała swój intensywnie różowy iPod, będący szczytem przekupstwa, na który wcale nie zasługiwała, ale pranie było...

... także różowe - co nie stanowiłoby problemu, gdyby do pralki włożyła tylko bieliznę swoją i Eve.

Tyle że były w niej ubrania chłopaków; nawet nie potrafiła sobie wyobrazić awantury.

- Taa... - westchnęła, wpatrując się w bardzo różową stertę koszulek, skarpetek i majtek. - To nie będzie miłe popołudnie.

To zadziwiające, ile może jedna, jedna(!) głupia czerwona skarpetka. Nawet wyprała wszystko drugi raz, mając nadzieję, że to rozwiąże problem. Ale to nie pomogło.

Piwnica Domu Glassów była duża, ciemna i ponura, co nie było znów takim zaskoczeniem. Większość piwnic taka była, a to było Morganville. Morganville lubowało się w ciemnym i strasznym tak samo jak Las Vegas w neonach li Poza częścią, w której była Claire, ze starą pralką i suszarką, stołem pomalowanym kiedyś na odcień przemysłowej zieleni i kilkoma zastawionymi jakimś bądziwiem półkami, reszta piwnicy była słabo oświetlona. Dlatego wzięła ze sobą iPoda, muzyka sprawiała, że wokół było trochę mniej strasznie.

Potrafiła zwalczać strach.

2

Ale pozbyć się różowego koloru z prania... najwyraźniej nie potrafiła.

Słuchała muzyki tak głośno, że nie usłyszała kroków nu schodach. W gruncie rzeczy nie zdawała sobie sprawy z tego, że nie jest w piwnicy sama, dopóki nie poczuła ręki nu ramieniu i gorącego oddechu na szyi.

Zareagowała tak jak każdy rozsądny człowiek żyjący w mieście pełnym wampirów. Wrzasnęła. Krzyk odbijał się echem od murów, a Claire odwróciła się na pięcie, zasłoniła dłońmi usta i odsunęła od Eve, która skręcała się ze śmiechu. Zazwyczaj Gotki nie śmiały się histerycznie, to psuło wizerunek, no chyba że to był złowieszczy chichot, ale Eve jakoś udało się to połączyć.

Claire wyjęła słuchawki z uszu i wydyszała:

-Ty...ty...

-Och, wyduś to w końcu - wykrztusiła Eve. - Suko.

Jestem suką, wiem. To było podłe. Ale, o Boże, jakie zabawne!

-Suko - powiedziała Claire. Za późno i bez przekonania. - Wystraszyłaś mnie.

-O to chodziło - stwierdziła Eve i spróbowała się opanować. Tusz do rzęs trochę się jej rozmazał, ale Claire podejrzewała, że czerń na twarzy pasuje do wizerunku Gotki. -

No to co słyszeć?

-Kłopoty - jęknęła Claire. Serce nadal jej waliło z przerażenia, ale była zdecydowana nie okazać tego po sobie.

Wskazała leżące na stole pranie.

Oczy Eve rozszerzyły się z wrażenia i otworzyła czarno uszmińkowane usta, przerażona i zafascynowana.

- To nie są kłopoty. To porażka! Powiedz, że to nie są wszystkie białe. Michaela i Shane'a też?

- Wszystkie białe. - Claire podniosła winną katastrofy czerwoną skarpetkę. - Twoja?

- O kurczę! - Eve wyrwała Claire skarpetkę i potrząsnęła nią energicznie. -

Niedobra skarpetka! Bardzo niedobra! Już nigdy nie zabiorę cię na żadną zabawę!

- Ty, poważnie. Oni mnie zabijają.

- Nie będą mieli okazji. Ja cię zabiję. Czy wyglądam na kogoś, kto gustuje w pastelach?

No, miała rację.

- Przepraszam - westchnęła Claire. - Serio. Wyprałam je jeszcze raz, bez skarpetki, ale...

Eve pokręciła głową, sięgnęła na najniższą półkę i wyciągnęła z niej butelkę wybielacza. Postawiła go z impetem obok różowego prania.

- Ty wybielasz, ja nadzoruję prace. Nie będę ryzykować, że choć kropla wylądje na moim ubraniu, jasne? Jest nowe!

Rzeczony ubranie było intensywnie różowe - w tym samym odcieniu co iPod Claire - a do tego (oczywiście) Eve miała rajstopy w czarne poziome pasy, czarną plisowaną mini i top w kolorze fuksji z wyszywaną kryształkami czaszką

naprzódzie. Ufarbowane na czarno włosy ułożyła w skomplikowane gniazdo na czubku głowy, ze sterczącymi na wszystkie strony pojedynczymi pasmami. Wyglądała porażająco uroczo.

Podczas gdy Claire ładowała pralkę i dolewała wybielacza, Eve wdrapała się na suszarkę i zaczęła machać nogami.

- Słyszałaś ostatnie wieści, prawda?
- Które? - zapytała Claire. - Ustawiam na gorące, zgadza się?
- Tak - potwierdziła Eve. - Znów dzwonił do Michaela

ten producent muzyczny. No wiesz, ten z Dallas. Ten ważny, którego córka chodzi tu do szkoły. Chce umówić Michaelowi kilka występów w klubach w Dallas i kilka dni w studiu nagraniowym. Myślę, że mówi poważnie.

Eve starała się brzmieć wesoło, ale Claire umiała czytać znaki. Znak pierwszy (tablica informacyjna): Michael Glass był chłopakiem Eve, a ta była nim okropnie zauroczona. Znak drugi (niebezpieczeństwo, zakręty): Michael Glass był przystojny, utalentowany i słodki. Znak trzeci (żółty, uwaga): Michael Glass był wampirem, co stokrotnie wszystko utrudniało. Znak czwarty (błyszczący na czerwono): Michael coraz bardziej zachowywał się jak wampir, a nie chłopak, którego kochała Eve, i już kilkakrotnie mieli na tym tle poważne sprzeczki - tak poważne, że Claire zaczynała podejrzewać, iż Eve rozważa zerwanie ze swoim chłopakiem.

I wszystko to prowadziło do znaku piątego (stop).

- Myślisz, że pojedzie? - zapytała Claire i skupiła się na ustawianiu odpowiedniej temperatury prania. Zapach

proszku do prania i wybielacza był właściwie całkiem przyjemny, tak jak kwiaty z kolcami, takie, które przy próbie zerwania kaleczą palce. - To znaczy, do Dallas?

- Tak sędzę - powiedziała Eve, raczej bez entuzjazmu. - No wiesz, to dla niego dobre, prawda? Nie może

wiecznie grać w kafejkach w Tętnicach Wielkich w Teksasie.

Musi... - Ucichła i spuściła wzrok, wpatrując się w spódnicę z uwagą, której owa spódnica, zdaniem Claire, naprawdę

nie wymagała. - On tego potrzebuje.

- Hej - odezwała się Claire i kiedy pralka zaczęła trząść się, usuwając róż z bielizny, położyła ręce na kolanach Eve. Dziewczyna przestała machać nogami, ale nie podniosła wzroku. - Rozchodzicie się?

Eve nadal patrzyła w dół.

- Ciągłe płaczę. Nienawidzę tego. Nie chcę go stracić! Ale on jakby się coraz bardziej oddalał, wiesz? I nie wiem, jak się czuje. Co czuje. Czy w ogóle coś czuje. To okropne. Claire przełknęła z

trudem.

- Myślę, że on wciąż cię kocha.

Eve spojrzała na nią wielkimi, przepełnionymi bólem ciemnymi oczami.

4

- Naprawdę? Bo ja już... - Eve odetchnęła głęboko i pokręciła głową. - Nie chcę, żeby mnie rzucił. To by tak strasznie bolało. I tak się boję, że znajdzie kogoś innego.

No wiesz, lepszego...

- No, akurat na to nie ma szans. W życiu.

- Łatwo ci mówić. Nie widziałaś, jak dziewczyny rzucają się na niego po koncercie.

- No właśnie, ty nigdy byś tego nie zrobiła.

Eve spojrzała na nią badawczo, uśmiechnęła się delikatnie i znów spuściła wzrok.

- Taa, no dobra, nieważne. Ale jest różnica, kiedy on jest moim Michael'em, a one są tylko, no wiesz... Nieważne, po prostu zawsze jest dla nich taki miły.

Claire usadowiła się na suszarce obok Eve i zaczęła wystukiwać stopami ten sam rytm.

- Musi być miły, prawda? To w końcu jest jego praca, prawda? I rozmawialiśmy o tym, czy się rozstajecie, czy nie. No to jak?

- Nie... Nie wiem. Jest jakoś dziwnie. To boli, a ja bym chciała, żeby wreszcie przestało. - Eve wzruszyła ramionami w sposób, który jakoś wyrażał też smutek. - Poza tym teraz ucieka do Dallas. I mnie nie puszcza, jeśli on pojedzie. Ja jestem tylko, no wiesz... człowiekiem.

- Masz przecież jedną z tych braterskich plakietek.

Nikt cię nie zatrzyma. - Plakietki były prezentem od Amelie,

Założycielki Morganville, jednej z najbardziej przerażających wampirzyc, jakie Clair spotkała, a także, formalnie rzecz biorąc, szefową Claire. Plakietki oznaczały to samo, co bransoletki noszone przez większość mieszkańców, identyfikujące osoby i rodziny będące pod opieką konkretnego wampira, tyle że były... lepsze. Ludzie, którzy je nosi li, nie musieli oddawać krwi ani słuchać rozkazów. Do ni kogo nie należeli.

Z tego, co wiedziała Claire, w całym Morganville nic było nawet dziesięciu ludzi, którzy mieliby taki status. Oznaczał bezpieczeństwo. Chronił przed groźącym niebezpieczeństwem.

Dostali je, bo gdy wpakowali się po uszy w kłopoty, znaleźli z nich wyjście, a przy okazji przysłużyli się Amelii.'. Według Claire to było bohaterstwo przez pomyłkę, ale nie zamierzała z tego powodu rezygnować z plakietki ani z tego, co zapewniała.

- Jeśli uznają, że Michael może jechać, i tak będę musiała wypełnić formularz z prośbą o zgodę na wyjazd czasowy - powiedziała Eve. - To samo musiałabyś zrobić ty czy

Shane, gdybyście chcieli się z nim zabrać. I mogliby nam odmówić. Pewnie by tak zrobili.

- Dlaczego?

- Bo to dupki? Nie wspominając o tym, że to wysysające krew dupki wampiry, co od samego początku zmniejsza nasze szansę?

Claire rozumiała, co Eve ma na myśli. Smuciło ją to. Powietrze wypełnił zapach świeżego prania, był miły i zupełnie nie pasował do smutku. Claire

5

przypomniała sobie o iPodzie, który wciąż grał, i go wyłączyła. Przez chwilę siedzieli w ciszy, po czym Eve powiedziała:

- Szkoda, że suszarka już wyłączona. Nie zaszkodziłoby mi trochę... suszenia.

Claire wybuchnęła śmiechem, a po kilku sekundach dołączyła do niej Eve i wszystko było w porządku. Nawet w ciemności. Nawet w piwnicy. A pranie było tylko lekko różowawe.

Na obiad, który również robiła Claire, miały być tacos. Mogło się to wydawać niesprawiedliwe, gdyby nie to, że kiedyś zamieniła się z Michaeliem, bo musiała zostać dłużej w bibliotece, i tym sposobem teraz cały dzień miała wypełniony pracami domowymi. Nie żeby nie miała ochoty robić tacos; w gruncie rzeczy to lubiła.

Shane wparował do kuchni, kiedy kończyła siekać cebulę. Było to do niego podobne; gdyby zjawił się pięć minut wcześniej, zmusiłaby go do siekania. A tak wrócił do domu, kiedy ocierała łzy z oczu. Doskonale wyczucie

czasu.

Zatrzasnął kopniakiem drzwi, zasunął zasuwkę tak, jakby robił to zawsze. Najwyraźniej nie przeszkadzały mu jej czerwone oczy, bo odłożywszy torbę na blat, schylił się, aby pocałować Claire. To był jeden z pocałunków w rodzaju: „cześć, wróciłem”, a nie jeden z jego najlepszych, ale mimo to przyprawiał serce Claire o lekkie drżenie. Shane wyglądał... jak Shane, stwierdziła, co doskonale jej odpowiadało. Wysoki, o szerokich ramionach, miał pojaśniałą od słońca, zwichrzoną czuprynę i uśmiech amanta filmowego. Był ubrany w koszulkę Killersów, która pachniała grillem, bo Shane pracował w restauracji.

- Hej! - Zaprotestowała, niezbyt szczerze, i machnęła nożem, którym kroićła cebulę. - Jestem uzbrojona.

- Tak, ale niezbyt niebezpieczna - odpowiedział i znów ją lekko pocałował. - Smakujesz tacos.

- A ty grillem.

- Idealne zestawienie! - Uśmiechnął się do niej, sięgnął za siebie i potrząsnął papierową torbą, którą odłożył wcześniej na blat. - Co sądzisz o tacos z żeberkami?

- To kompletnie nie pasuje. Żeberka nie je się z tacos.
- Pokręcone, ale pyszne. Powiedz tak.

Claire westchnęła i wysypała pokrojoną cebulę do miski.

- Daj żeberka. - Tak naprawdę lubiła tacos z żeberkami, ale jeszcze bardziej lubiła mu dokuczać.
- Słuchaj - odezwała się Claire, wyciągając z torby grillowane mięso. -

Naprawdę powinieneś pogadać z Michaeliem.

- O czym?
- A jak myślisz? O tym, co się dzieje z nim i Eve!
- Nie ma mowy! Faceci nie gadają o takich bzdurach.
- Ty mówisz poważnie?
- Tak.

6

- To o czym rozmawiacie?

Shane spojrzał na nią jak na wariatkę.

- No wiesz. O różnych sprawach. Nie jesteśmy dziewczynami! Nie rozmawiamy o uczuciach. W każdym razie nie z innymi facetami.

Claire przewróciła oczami.

- Dobra, jak dla mnie możecie być opóźnionymi w rozwoju emocjonalnym kretynami, co mi tam.
- Świetnie. Dzięki. Tego będziemy się trzymać.

W tym momencie do kuchni wpadł Michael. Claire jeszcze nigdy nie widziała go tak potarganego.

- Hej, stary! Wyglądasz fatalnie. Na pewno nie brak ci żelaza?
- Odwal się! I wielkie dzięki, dopiero wstałem. A ty jak się wytłumaczysz?
- Pracuję na swoje utrzymanie, w odróżnieniu od niektórych nie-do-końcaumarłych nocnych marków.

Michael minął ich i wyciągnął z lodówki bidon, wstawił go do mikrofalówki na piętnaście sekund. Claire ulżyło, że zapach cebuli, żeberka i mięsa maskował zapach tego, co było w butelce. Co prawda wszyscy wiedzieli, co to jest, ale jeśli tylko dość mocno udawała, przestawało to być aż tak oczywiste.

Michael pociągnął łyk z bidonu i podszedł, żeby zobaczyć, co pichcą.

- Tacos! Fajnie. Kiedy będzie?

- To zależy, czy pozwoli mi siekać - odparł Shane. – Za jakieś pięć minut?

Rozległ się dzwonek do drzwi.

- Otworzę! - krzyknęła Eve, ale w jej głosie była jakaś dziwna nuta. Bardziej... rozpacзлиwa niż pełna zapału, jakby chciała powstrzymać ich przed dotarciem do drzwi przed nią. Claire spojrzała zaskoczona na Shane'a. Zdziwiony uniósł brwi.

- No, no... Albo wreszcie postanowiła cię rzucić, Mikey, i jej nowy chłopak przychodzi na obiad albo...

Oczywiście to było albo. Po chwili Eve uchyliła drzwi i wsunęła głowę do środka.

Próbowała się uśmiechać. Prawie jej się udało.

- Hm... Zaprosiłam kogoś na obiad...

- Idealny moment na poinformowanie nas – stwierdził Shane.

- Zamknij się, tu jest dość jedzenia, żeby nakarmić batalion wojska i nas.

Wystarczy dla jeszcze jednej osoby. – Ale Eve unikała wzroku współlokatorów, aż pod spojrzeniem

Claire przygryzła wargę i odwróciła wzrok.

- Cholera - odezwał się Michael. - Nie spodoba mi się to, prawda? Kto to?

Eve otworzyła drzwi na oścież. Za nią, z rękami w kieszeniach dżinsowej kurtki i opuszczoną głową stał jej brat Jason Rosser.

Claire uświadomiła sobie, że Jason wyglądał... inaczej. Zazwyczaj wyglądał na naćpanego, brudnego i brutalnego, a teraz zdawał się prawie trzeźwy i

7

najwyraźniej przeprosił się z prysznicem. Nadal był chudy i niewiele się dało zobaczyć spod workowatych ubrań, jakie miał na sobie, ale wyglądał... lepiej niż kiedykolwiek.

Mimo to na jego widok ścisnęło ją w żołądku. Jason był związany z kilkoma jej najgorszych, najbardziej przerażających wspomnień, i nawet jeśli tak naprawdę jej nie skrzywdził, to również nie próbował pomóc - ani żadnej z dziewcząt, które zostały skrzywdzone albo zabite... Jason był niedobrym, bardzo niedobrym chłopcem. Był kojarzony z co najmniej trzema morderstwami i jednym atakiem na Claire. I ani Shane, ani Michael o tym nie zapomnieli.

- Wyprowadź go stąd - Shane odezwał się niskim, groźnym tonem. - Natychmiast!

- To dom Michaela - powiedziała Eve, nie patrząc na żadne z nich. - Michael? - Chwila! To nasz dom! Ja też tu mieszkam! – krzyknął Shane. - Nie możesz go tu sprowadzać i zachowywać się tak, jakby nigdy nic się nie stało.

- On jest moim bratem! I się stara, Shane! Cholera, jesteś czasem takim...

- W porządku - odezwała się Claire. Ręce jej się zatrzęsły i zrobiło jej się zimno, ale tylko przez moment, kiedy Jason podniósł głowę i ich spojrzenia się spotkały. To było jak

szok i nie była pewna, co zobaczyła, ani co on zobaczył, ale

żadne z nich nie było w stanie długo wytrzymać tego spojrzenia. - To tylko obiad. Nic wielkiego.

Shane odwrócił się, spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami i położył ręce na jej ramionach:

- Claire, on cię skrzywdził. Kurczę, nawet mnie

skrzywdził! Jason to nie jakiś kundel, którego można przygarnąć i nakarmić. To

szaleniec. A ona wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny! - Spojrzał gniewnie na Eve,

która

skrzywiła się, ale nie patrzyła hardo, jakby to zrobiła w innej sytuacji. - Oczekujesz, że przyjdziemy go z otwartymi ramionami, bo po tym jak stwierdził, że dranie nie wygrywają, postanowił nas przeprosić? No to się mylisz. Bo tak nie będzie.

- Taa... Wiedziałem, że tak to wyjdzie. Wybaczcie,

że zawracałem głowę - odezwał się Jason. Miał cichy, zachrypnięty głos. Odwrócił się i odszedł w stronę frontowych drzwi, znikając im z oczu. Eve poszła za nim i najwyraźniej

próbowała go zatrzymać, bo Claire usłyszała jego głos:

- Nie, on ma rację. Nie mam prawa tu przychodzić. Robiłem różne złe rzeczy, siostró. To był błąd.

Spośród nich tylko Michael się nie odezwał. A tak naprawdę nawet nie poruszył. Wpatrywał się w drzwi wahadłowe, które odchylały się w tę i z powrotem, aż w końcu wziął głęboki oddech, odstawił bidon i wyszedł do holu.

Claire uderzyła Shane'a w ramię.

- Co to niby miało być, panie macho? Zawsze musisz

8

mi spieszyć na ratunek? Nawet jeśli nikt nie próbuje mi zrobić krzywdy? - Wydawał się szczerze zaskoczony.

- Japo prostu...

- Doskonale wiem, co ty po prostu robiłeś. Nie odzywaj się za mnie!

- Nie chciałem...

- A właśnie że tak. Wiem, że Jason nie jest święty, ale

zebrał się w sobie i trzymał się z Eve, kiedy my wszyscy byliśmy... niedysponowani, kiedy Bishop był u władzy. Chronił ją!

- I pozwolił, aby jego szalony kumpel Dean złapał cię i prawie zabił i nic nie próbował zrobić!

- Zrobił - powiedziała cicho Claire. - Zostawił mnie,

ale poszedł po pomoc. Wiem, bo powiedział mi o tym potem Richard Morrell. Jason poszedł do

glin i próbował im to powiedzieć. Nie uwierzyli mu, bo tak przysłaliby pomoc znacznie szybciej. Wcześniej oznaczałoby znacznie mniej strachu, bólu i rozpacz. To nie wina Jasona, że uznali go za wariata.

Shane'a trochę zatkało, ale szybko się opanował.

- Taa, a co z innymi dziewczynami? Im nie pomógł, prawda? Nie zamierzam się przyjaźnić z kimś takim.

- Nikt ci nie każe - odgryzła się Claire. - Jason odsiedział swoje w więzieniu. Jedzenie przy jednym stole to nie to samo, co zaprzysiężenie wiecznego braterstwa. Shane otworzył usta, zamknął je, po czym odezwał się ponuro.

- Chciałem tylko dopilnować, żeby nie mógł cię znów skrzywdzić.

- Jeśli tylko nie wykorzysta tacos jako broni masowego rażenia, to nie ma wielkich szans. Ty, Michael i Eve to chyba najlepsza ochrona, jakiej mogłabym sobie zażyczyć. A tak poza tym, to chyba lepiej go mieć na oku niż tam, gdzie go nie widać?

Jego spojrzenie trochę złagodniało.

- No, tak, coś w tym jest. - Ale nadal wyglądał na niezadowolonego. - Wciskasz straszny kit, wiesz? A do tego zaraźliwy.

- Wiem. - Położyła mu dłoń na policzku, a on odpowiedział jej uśmiechem. - Dziękuję, że chcesz mnie chronić, ale nie przesadzaj, dobra?

Shane jęknął z frustracją, ale nie sprzeczał się więcej.

Drzwi kuchenne znów się otworzyły. Wszedł Michael. Wyglądał już na całkiem obudzonego i zupełnie spokojnego, jakby szykował się do bitwy. - Rozmawiałem z nim. Wydaje się szczerzy. Ale jeśli nie chcesz go tutaj, Shane...

- Oczywiście, że nie chcę - westchnął Shane, po czym spojrzał na Claire i dodał: - Ale jeśli ona chce mu dać szansę, to ja też.

Michael mrugnął i uniósł brwi.

- Ehm... Wszechświat wybuchł, piekło zamarzło, a Shane postanowił zrobić coś rozsądnego. Shane pokazał mu środkowy palec. Michael uśmiechnął się od ucha do ucha i wyszedł z kuchni. Claire wręczyła Shane'owi największy nóż, jaki mieli w domu.

- Pokrój żeberka. Rozładuj frustrację. Żeberka nie miały szans.

9

Jason nie odzywał się wiele przy obiedzie. W gruncie rzeczy prawie nic nie mówił, natomiast zjadł cztery tacos, jakby od miesiąca nie miał nic w ustach, a kiedy Eve przyniosła na deser lody, zjadł podwójną porcję. Shane miał rację. Żeberka doskonale pasowały do tacos.

Eve, nadrabiając za brata, nadawała przez cały czas jak najęta: o kretykach, z którymi pracowała w Common Grounds, o Oliverze, jej szefie - wampirze i kompletnym idiocie, zdaniem Claire, acz najwyraźniej również bardzo porządnym pracodawcy, plotki o ludziach z miasta. Michael dołączył się, opowiadając trochę plotek z kręgów wampirów (Claire na przykład nigdy nie sądziła, że

wampiry mogą zakochiwać się i zrywać tak jak zwykli ludzie - no, przynajmniej poza Michael'em i Amelie.) A na koniec Shane przestał wreszcie groźnie łypać i opowiedział kilka kompromitujących historyjek z przeszłości Michaela i Eve. Jeśli znał też takie o Jasonie, to się z tym nie zdradził.

Zaczęło się dość niezręcznie, ale kiedy dotarli do deseru, było prawie... normalnie. Nie świetnie, nadal czuło się przy stole pewne napięcie, ale zapanowała ostrożna akceptacja.

W końcu Jason powiedział:

- Dzięki za jedzenie. - Wszyscy zamilkli i spojrzeli na niego, a on dalej wpatrywał się w miseczkę po lodach. - Shane ma rację. Nie mam prawa myśleć, że mogę się tak po prostu tutaj zjawić i oczekiwać, że nie będziecie mnie nienawidzić. Macie do tego

prawo.

- Święta racja - wymamrotał Shane. Claire i Eve zgromiły go wzrokiem. - No co? Mówię tylko...

Jason najwyraźniej nie miał nic przeciwko.

- Musiałem tu przyjść i was przeprosić. To było... Strasznie się popieprzyło. Naprawdę. I mnóstwo spraw schrząniłem, pod każdym względem. Dopóki nie stało się

to z Claire, słuchajcie, ja nigdy nie chciałem... Ona nie była tego częścią. To wszystko przez niego. - On oznaczał tego drugiego człowieka, tego, o którym żadne z nich nie wspominało, nigdy. Claire poczuła, że poca jej się dłonie i wytarła je o dzinsy. Zaszło jej w ustach.

- Ale jestem winny innych czynów. I przyznałem się do wszystkiego glinom i odsiedziałem swoje. Ale nigdy nikogo nie zabiłem. Chciałem tylko... być kimś szanowanym.

- Uważasz, że w ten sposób zyskuje się tutaj szacunek?

Zabijając? - odezwał się Michael.

Jason podniósł wzrok. Miał te same przedziwne, przenikliwe oczy co Eve, w tak innej twarzy, błyszczące od gniewu.

- Tak. Tak myślałem. Nadal tak uważam. I nie będzie mnie o tym pouczał żaden cholerny wampir. W Morganville jeśli nie jesteś jedną z owiec ani jednym z wilków, lepiej żebyś był wredny.

10

Claire spojrzała na Shane'a i ze zdziwieniem stwierdziła, że on wcale nie wpada w gniew. W gruncie rzeczy patrzył na Jasona tak, jakby rozumiał, o czym ten mówi. Może rozumiał. Może to była sprawa facetów.

Nikt się nie odezwał i w końcu Jason dodał:

- No, w każdym razie chciałem podziękować za pomoc w wyjściu z pudła. Gdyby nie wy, już bym nie żył. Nie zapomnę tego. - Odsunął ze zgrzytem krzesło i wstał. - Dzięki za tacos. Obiad był naprawdę pyszny. Nie... nie siedziałem

z ludźmi przy stole od bardzo dawna.

A potem, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego, odszedł w stronę holu. Eve natychmiast wstała i za nim pobiegła, ale nim go dogoniła, zdążył wyjść na zewnątrz i zatrzasnąć drzwi. Otworzyła je i wyjrzała, ale nie poszła za nim.

- Jason! - krzyknęła, ale bez wielkiej nadziei na to, że zawróci. W końcu rozpaczliwie dodała jeszcze: - Uważaj na siebie!

Zamknęła powoli drzwi, przekręciła zamki i wróciła do stołu. Osunęła się na krzesło i opuściła wzrok na resztki tacos na swoim talerzu.

- Hej - odezwał się Shane. - Eve! Podniosła wzrok.

- Przyjście tutaj i przeproszenie nas wymagało wiele odwagi. Szanuję to. Wyglądała na zaskoczoną i przez moment się uśmiechała.

- Dzięki. Wiem, że Jason nigdy nie będzie... no cóż, dobrym człowiekiem, ale on jest... nie mogę się tak po prostu od niego odwrócić. Potrzebuje kogoś, kto będzie pilnował, żeby znów się nie wykoleił.

Michael pociągnął z bidonu.

- On jest pociągiem - powiedział - ty jesteś na torach. Eve, zastanów się, jak to się skończy.

Jej uśmiech znikł.

- Co masz na myśli?

- To, że twój brat to pokręcony ćpun, nawet jeśli w tej chwili jest w sentymentalnym nastroju. To pewnie nie jest jego wina, ale on oznacza kłopoty. Teraz usiedliśmy z nim przy stole, przeprosił i tyle. Okej? Niech tu nie wraca. Nie należy do rodziny. Nie w tym domu.

- Ale...

Kiedy Claire po raz pierwszy spotkała Michaela Glassa, był wobec niej dosyć nieprzyjemny. Teraz znów widziała tego Michaela. Tyle że teraz zachował się tak wobec Eve.

- Eve, nie będziemy się kłócić na ten temat - powiedział stanowczo i wyglądał jak bardzo, bardzo rozgniewany anioł, z tych każących. - Domowe zasady. Nie sprowadza się tego typu kłopotów do domu.

11

- Och, Michael, proszę. Nawet nie próbuj w ten sposób ze mną dyskutować. Jeśli to jest zasada, to czy zamierzasz teraz wywalić stąd Claire? Bo mogę się założyć, że ona

sprawia najwięcej kłopotów ze wszystkich, którzy się kiedykolwiek tu pojawili. Ty i Shane ciągle ściągacie tu jakieś problemy. Ale ja nie mogę zaprosić brata na

kolację? – Głos Eve drżał ze złości. Claire widziała, że dziewczyna próbuje się nie rozpłakać, ale w jej ciemnych oczach już zbierały się

łzy. - Nie jesteś moim ojcem, rozumiesz?!

- Nie, jestem twoim gospodarzem. Sprowadzanie tu Jasona stanowi dla nas wszystkich niebezpieczeństwo. W końcu wróci na ciemną stronę i nam zaszkodzi, o ile w ogóle się z niej wyniósł.

- To może spróbuj ze mną porozmawiać, zamiast wydawać mi rozkazy! - Eve strąciła talerze ze stołu i pobiegła w stronę schodów. Resztki obiadu rozsypały się po podłodze.

Michael bez trudu dotarł tam przed nią. Przemieścił się jak cień, z wampirzą prędkością, i zastąpił jej drogę. Eve zatrzymała się gwałtownie, blada nawet pod pudrem ryżowym.

- Teraz zamierzasz dowieść swego, zachowując się jak skończony wampir? Nawet gdyby był tu teraz Jason, to ty byłbyś wciąż najniebezpieczniejszą osobą w tym pokoju i dobrze o tym wiesz!

- Wiem - przyznał Michael. - Eve. O co ci chodzi? Staram się, dobra?

Usiadłem z nim przy jednym stole. Mówię tylko, że raz wystarczy. Dlaczego to ja jestem ten zły?

Shane szepnął pod nosem, tak cicho, że tylko Claire dosłyszała „dobre pytanie, stary”. Syknęła na niego, żeby się zamknął. To była prywatna sprawa i współczuła obojgu, że muszą mieć świadków tej sprzeczki. Wystarczająco okropne było to, że się kłócili, złośliwe komentarze Shane'a nie poprawiały sytuacji.

- No nie wiem, Michael. Dlaczego jesteś tym złym? - odwarknęła Eve. - Może dlatego, że zachowujesz się, jakbyś był panem świata?

- Zachowujesz się jak smarkula.

- Kto?

- Robisz śmietnik na podłodze i odchodzisz? Jak to inaczej nazwać?

Eve była tak zszokowana, jakby ją uderzył. Claire skrzywiła się ze współczuciem.

- Nie ma sprawy, my to sprzątniemy - powiedziała i zaczęła zbierać talerze. - To nic takiego.

Shane wciąż gapił się na swoich przyjaciół, jakby byli jakimiś eksponatami z wystawy. Claire kopnęła go w kostkę i wcisnęła w ręce talerze.

- Kuchnia - powiedziała. - Idź!

Uniósł brwi, ale poszedł. Zaczęła sprzątać bałagan z podłogi. Kiedy wyszedł Shane, dało się odczuć, jak znów zmienia się równowaga. Claire starała się być malutka, cicha i niewidoczna, zbierając serwetkami rozrzucone resztki jedzenia.

- Eve - odezwał się Michael. Claire uświadomiła sobie,

12

że już się nie złości. Mówił cicho i spokojnie. Claire podniosła głowę i zobaczyła, że Eve łka, łzy rozmazywały jej makijaż, ale nie odwróciła głowy od Michaela. - Eve, o

co

chodzi? Bo nie o Jasona. Co?

Rzuciła się do niego i go objęła. Mimo wampirzego refleksu Michaela zaskoczyła go tak, że

zachwiał się, ale momentalnie zapanował nad sobą, przytulił ją i zaczął głaskać po plecach. Eve położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła płakać jak zagubiona dziewczynka.

- Nie chcę cię stracić. Boże, naprawdę nie chcę. Proszę. Proszę, nie odchodź.
- Odchodzić? - Michael wydawał się szczerze zaskoczony. - Co? Gdzie miałbym odejść?
- Gdziekolwiek, z kimkolwiek. Nie... Kocham cię. Michael, ja cię naprawdę kocham.

Westchnął i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Nigdzie i z nikim się nie wybieram - zapewnił. - Przysięgam. I ja też cię kocham, dobra?
- Szczerze?

- Tak, szczerze. - Zdawał się wręcz zaskoczony, powoli wypuścił powietrze i przytulił ją mocniej. - Mówię szczerze Eve. Zawsze tak było, nawet kiedy ty w to nie wierzyłaś.

Eve otarła rozplływający się tusz, próbując zapanować nad czkawką, i spojrzała w stronę Claire, która cały śmietnik z podłogi próbowała umieścić na jednym talerzu. Eve była zszokowana.

- O Boże! - wykrzyknęła - Przepraszam! Nie chciałam... Pozwól, ja to zrobię.

Wysunęła się z objęć Michaela i podbiegła do Claire, aby posprzątać resztę.

Michael przykucnął obok niej. Claire wycofała się z ładunkiem talerzy przez drzwi kuchenne i gdy te się zamykały, zobaczyła, jak Michael schyla się i całuje Eve. Wyglądało to słodko i namiętnie, i bardzo szczerze.

- No i? - zapytał Shane. - Czy piętnasta wojna światowa się zakończyła?

- Na to wygląda. - Zmierzając z naręczem brudnych talerzy do zlewu, trąciła go biodrem. - Ty zmywasz, prawda?

- Zagrajmy o to.

- Co?

- Ten, kto ma najwięcej punktów, wygrywa? Równie dobrze mogła to zrobić teraz sama i oszczędzić sobie upokorzenia, pomyślała.

- Żadnych takich, na zmywak, chłoptasiu!

Obrzucił ją pianą. Pisnęła, roześmiała się i pacnęła go

jeszcze większą porcją. Chlapali się wodą. To było... niesamowicie przyjemne, kiedy w końcu Shane złapał ją umydlonymi rękami, przyciągnął do mokrej koszulki i pocałował.

- A to jest oficjalne zakończenie szesnastej wojny światowej.
- I tak nie zagram z tobą w zombiaków.
- Ej, żadnej zabawy?

Pocałowała go słodko i wolno i wyszeptwała:

- Jesteś pewien?

- No, zdecydowanie zmieniam zdanie - stwierdził Shane z poważną miną, przynajmniej dopóki nie oblizwał warg. Miał rozszerzone, ciemne źrenice, skupione wyłącznie na niej, a Claire czuła się tak, jakby grawitacja zmieniła kierunek, jakby mogła wpaść w te oczy i po prostu spadać i spadać.

- Naczynia! - przypomniała mu. - Panie zmywakowy. I nie wierzę, że to właśnie powiedziałam. To było takie słabe. Znów go pocałowała, tym razem lekko. - To na później. A tak przy okazji, wyglądasz naprawdę pociągająco w tej pianie.

Drzwi do kuchni otworzyły się, weszła Eve, wywalila zawartość talerza do śmieci i praktycznie dotarła do zlewu. Nadal miała rozmazany makijaż, a łzy nie zdążyły jeszcze obeschnąć, ale uśmiechała się i miała rozmarzony wyraz twarzy.

- Hej - odezwał się Shane. - Może ty zagrasz ze mną w zombie?

- Pewnie - zgodziła się Eve. - Oczywiście. Nie ma sprawy. I wyszła. Shane zamrugał zaskoczony.

- Nie tego się spodziewałem.

- Och, ona buja w obłokach - odezwała się Claire. - Co w tym złego?

- Nic, ale nawet mnie nie obraziła. Tak nie powinno być. To mnie wyprowadza z równowagi.

- To ja wykorzystam tę chwilową ciszę. Pora się pouczyć.

- Przyjdź z tym na dół. Potrzebuję czegoś do poprawy

nastroju, bo ona dziś będzie beznadziejnie grać. Jest zdecydowanie zbyt szczęśliwa. Claire zaśmiała się, po czym pognęła na górę i złapała plecak z książkami, który w tym momencie rozerwał się wzdłuż szwu, a po drewnianej podłodze rozsypało się jakieś dwadzieścia kilogramów papierów, książek i notatek.

- Cudownie. Po prostu cudownie.

Zgarnęła potrzebne rzeczy i ze stosem książek ruszyła na dół.

Kiedy była w połowie schodów, ktoś zastukał do drzwi wejściowych. Wszyscy zastygli w bezruchu - Michael schylający się po gitarę, Shane i Eve siadający z dżojstikami na kanapie.

- Spodziewasz się jeszcze kogoś? - Shane spytał Eve. -

Kuzyn Kuba Rozpruwacz postanowił wpaść na herbatę?

- Spadaj, Collins.

- No, wreszcie wszystko po staremu. Acz nadal trochę brakuje do olimpijskiej formy oszczerstw panny Rosser, skarbie. Nieważne. Otworzę.

Michael się nie odezwał, ale odłożył gitarę i rozglądając się uważnie, poszedł za Shane'em do holu. Claire zeszła szybko na dół i starając się nic nie rozsypać, ułożyła na stole stertę książek i

podbiegła do Michaela.

Shane spojrział przez wizjer, odsunął się od drzwi i rzucił:

- Oho!
- Co?

14

- Jakież problemy?

Michael błyskawicznie podszedł do drzwi, wyjrzał przez wizjer i wyszczerzył zęby, wszystkie zęby, łącznie z kłami, a to nigdy nie wróżyło nic dobrego. Claire wzięła głęboki oddech. Głupi plecak, wybrał sobie beznadziejny moment na psucie. Tak zniosłaby swoje wszystkie rzeczy, a teraz jej przeciw wampirze zapasy zostały na górze, w kieszeni plecaka.

- To Morley - powiedział Michael. - Lepiej wyjdę i z nim pogadam. Shane, zostań tu z dziewczynami.

- Tak na przyszłość, przestań mi mówić, że mam zostać z dziewczynami - ostrzegł go Shane. - Albo któregoś dnia naprawdę ci przywalę. Serio. Mógłbym wybić któryś z tych pięknych kłów.

- Dziś?

- Ehm... raczej nie.

- No to się zamknij. - Michael uchylił drzwi na tyle,

by się precyzyjnie na zewnątrz, odwrócił się i powiedział: - Zamknij na klucz.

Shane skinął głową i gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, przekręcił wszystkie zamki i przylgnął do wizjera.

Claire i Eve, wiedzione tą samą ciekawością, podbiegły do okna w salonie, z którego widać było pod kątem ganek -nie było idealnie, ale lepsze to niż nic.

- O nie! - jęknęła Eve.

Michael stał w snopie księżycowego światła naprzeciw nie jednego, ale aż trzech wampirów. Morleya, obszarpanego wampira, który sprawiał wrażenie

bezdonnego, chociaż Claire doskonale wiedziała, że tak naprawdę miał gdzie mieszkać, i jego dwóch kumpli. Miał ich wielu, zniechęconych młodych wampirów, choć termin „młody” w tym wypadku był raczej względny. Chodziło raczej o kwestię statusu niż wieku, wampiry bez żadnej pozycji i te, które czuły się uciskane przez potężniejszych od nich.

Mieli też ze sobą człowieka.

Jasona.

I z tego, co widziała Claire, raczej nie był tu z własnej woli. Jeden z wampirów trzymał go za ramię, co mogło wyglądać jak przyjacielski uścisk, ale najprawdopodobniej było silnym chwytem.

- Jase! - wyszeptała Eve. - O Boże. Mówiłam ci, żebyś uważał!

Shane odszedł od drzwi, przeszedł do salonu i wyciągnął spod krzesła czarną płócienną torbę. Rozpiął ją i wyjął niewielką kuszę, naciągnął cięciwę i włożył bełt. W stronę Claire i Eve rzucił pokryte srebrem kołki, po czym dołączył do nich przy oknie.

- No - odezwał się. - Twój brat mówił już, że chce zostać wampirem. Myślisz, że mamy go ratować, czy popsuli byśmy mu tym jego plany?

- Nie bądź kretynem - powiedziała Eve i ścisnęła kołek tak mocno, że pobladła jej dłoń. -1 tak by go nie zamienili.

15

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Tylko go wypiją.

Zamienienie człowieka wymagało od wampira mnóstwa energii i sądząc z tego, co widziała Claire, wampiry wcale się specjalnie do tych przemian nie paliły. To bolało.

I coś im odbierało. Jedyńm znanym jej wampirem, któremu sprawiało to przyjemność, był Bishop, stary i niegodziwy ojciec Amelie. Widziała, jak zamieniał ojca Shane'a, i to było... okropne. Naprawdę okropne.

To właśnie dlatego Shane, bez względu na to, co czuł do Jasona Rossera, załadował kuszę i był gotów jej użyć.

- Co robi Michael?

- Stara się przemówić im do rozsądku - odpowiedział

Shane. - To zawsze jego plan A. I w jego przypadku zazwyczaj działa. Ja zwykle jestem planem B.

- B jak brutalna siła? - zapytała Eve. - Tak, to ty.

Shane sprawdził bełt w kuszy i otworzył okno.

Kopniakiem usunął siatkę z drugiej strony i wycelował w Morleya.

Morley, w łachmanach, jeśli nie liczyć nowiutkiej hawajskiej koszuli w obrzydliwych neonowych barwach, spojrział prosto w okno, uśmiechnął się i lekko skinął

Shane'owi głową.

- Żeby wszystko było jasne, pijawko - odezwał się

Shane.

- On cię słyszy?

- Każde słowo. Hej, Morley? Dostaniesz tym prosto między żebra, rozumiesz?

I znów Morley skinął głową, wciąż uśmiechnięty.

- Jesteś pewien, że to dobry pomysł? - szepnęła Eve. - Mam na myśli grożenie mu.

- Czemu nie? Morley doskonale opanował groźby.

Wymiana zdań trwała jakiś czas. Shane nie odrywał

wzroku od Morleya. Claire nie odrywała ręki od jego ramienia, czując, że w jakiś sposób to pomaga, pomaga im obojgu. Aż w końcu Morley uklonił się lekko

Michaelowi i machnął na wampira, który trzymał Jasona.

Ten puścił chłopaka. Jason potknął się, a potem ruszył galopem w górę ulicy.

Wampiry odprowadziły go wzrokiem. Nikt za nim nie poszedł.

Eve odetchnęła z ulgą i oparła się o ścianę.

Shane ani drgnął. Dalej celował w klatkę piersiową Morleya.

- Koniec alarmu - powiedziała Eve. - Żołnierzu, możesz zejść z posterunku.

- Idź otworzyć drzwi. Zejdę, jak Michael będzie w środku. - Shane uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie był to równie złowróżbny uśmiech, jak wampira, ale przekaz był jasny. Eve skinęła głową i pobiegła do drzwi. Kiedy je otworzyła, Michael, wciąż

16

spokojny, wycofał się do wnętrza, powiedział do widzenia i zatrzasnął drzwi. Claire usłyszała, jak zasuwa zamki, a Shane celował w Morleya, dopóki ten nie przyłożył palca do brwi, odwrócił się i odszedł ze swoimi dwoma towarzyszami w ciemność. Claire zatrzasnęła i zablokowała okno, a Shane wypuścił powoli powietrze i zdjął bełt z kuszy.

- Nie ma to jak dreszczyk emocji po obiedzie. -

Pocałował delikatnie Claire. - Mmmm, nadal smakujesz tacos z żeberkami. Nazwałaby go głupkiem, gdyby nie to, że się trzęsła i brakowało jej powietrza. Nim odzyskała oddech, Shane był już w holu. Poszła za nim. Michael stał obok Eve i obejmował ją w pasie.

- No i? - zapytał Shane. - O co chodziło Morleyowi?

Czeka, aż dojrzejemy?

- Wiesz, po co tu przyszedł - odpowiedział Michael. - Nie dostarczyliśmy mu do tej pory przepustek na wyjazd z miasta dla jego ludzi, które obiecaliście mu w zamian za

to, że darował wam życie. Zaczyna się niecierpliwić, a ponieważ wasza trójka jest na jego liście dawców krwi, chyba pora się do tego zabrać.

- Nie śmiałyby!

- Nie? Tutaj bym się z tobą nie zgodził. Morley nie boi

się specjalnie kogokolwiek, nawet Amelie, Olivera czy drewnianej strzały w sercu. - Michael skinął w stronę Shane'a. - Ale dzięki. To miłe.

- Brutalna siła. Tym się zajmuję.

- Tylko celuj w dobrą stronę.

Shane zrobił minę niewiniątka.

- W życiu. No chyba że znów się na mnie wyszczerzysz

albo każesz mi zostać z dziewczynami. Ale tylko wtedy.

- Świetnie. W takim razie chodźmy postrzelać do zombiaków w telewizorze.

- Cienias.

-

-
Nie, jeśli wygram.

Taa, jakbyś miał jakiegokolwiek szansę.

17

Rozdział 2

Następnego dnia Claire miała zajęcia na uniwersytecie, co zawsze stanowiło dla niej mieszankę zadowolenia i nerwów. Była zadowolona, bo udało jej się dostać na wiele wykładów, do których teoretycznie nie miała dostępu, a denerwujące, ponieważ ci, którzy nie wiedzieli, co tak naprawdę dzieje się w Morganville, czyli większość studentów, traktowali ją jak dziecko. A ci, którzy wiedzieli o wampirach i o Morganville jako takim, zazwyczaj jej unikali. Kiedy druga osoba zaproponowała jej kawę, ale przy tym unikała kontaktu wzrokowego, dotarło do niej, że niektórzy ludzie nadal traktują ją jak kogoś ważnego, równie ważnego jak Monica Morrell.

A to nieźle wkurzało Monice, niepisaną królową młodzieży Morganville. Tak czy inaczej, Claire bardzo się zmieniła od czasu, kiedy rok temu przyjechała tutaj na studia. Jeśli Monica próbowała ją dręczyć, co miało miejsce średnio kilka razy w tygodniu, nie musiało to wcale oznaczać jej zwycięstwa, ani też Claire. Tak czy inaczej, remis był lepszy niż zabicie na kwaśne jabłko. Przynajmniej wszyscy byli wciąż w jednym kawałku.

Claire skierowała się najpierw do sklepiku i kupiła nowy plecak - mocny, niezbyt wymyślny, z wieloma kieszeniami w środku i na zewnątrz. Weszła do najbliższej łazienki i przełożyła zawartość starego plecaka do nowego i chciała wyrzucić stary... ale wiązało się z nim zbyt wiele wspomnień.

Porwany i wystrzępiony, z najróżniejszymi plamami, których pochodzenia Claire wolała nie pamiętać, plecak jednak przyjechał z nią do Morganville i dziewczyna miała wrażenie, że jeśli go wyrzuci, odrzuci zarazem szansę, by się stąd kiedykolwiek wydostać.

Pomysł szurnięty, ale nie mogła nic na to poradzić.

W końcu zwinęła stary plecak i wepchnęła do kieszeni nowego, zarzuciła go na ramię i pobiegła przez kampus na pierwsze zajęcia.

Kilka spokojnych (i raczej nudnych) godzin później wpadła na Monice Morrell, która w ciemnych okularach siedziała na schodach przy wydziale literatury i opierając się na łokciach, przyglądała się przechodzącym ludziom. Była z nią Jennifer, jedna z jej przybocznych, ale w zasięgu wzroku nie było widać drugiej, Giny. Monica wyglądała perfekcyjnie, jak zawsze - najwyraźniej finanse Morleyów musiały się trzymać doskonale, wbrew temu, co o ekonomii mówili ludzie z telewizji - a

Jennifer wyglądała tak, jakby kupowała tanie podroby tego, co Monica wybierała w drogich butikach. Ale obie wyglądały świetnie i średnio co pół minuty zatrzymywał się koło nich jakiś student, aby zagadać, i zazwyczaj natychmiast był brutalnie splawiany. Niektórzy przyjmowali to pogodnie. Inni sprawiali wrażenie, jakby brakowało jeszcze jednej odmowy, by stali się głównym newsem kanału informacyjnego.

Claire wchodziła po schodach, ignorując je, kiedy Jennifer zawołała wesoło: - Hej, Claire! Cześć!

18

To było wystarczająco przerażające, aby Claire stanęła jak wryta. Odwróciła się i zobaczyła, że Jennifer macha! I Monica też!

Dwie dziewczyny, które ją biły, kopały, zepchnęły ze schodów, co najmniej dwa razy porwały, groziły nożami i próbowały podpalić jej dom... Taa... Claire jakoś nie paliła się do pogłębiania tej znajomości na nowych, przyjacielskich zasadach.

Spojrzała tylko na nie przeciągle i powędrowała w górę, próbując się skupić na tym, co powinna dziś pamiętać

O literaturze amerykańskiej. Nathaniel Hawthorne? A więc w zeszłym tygodniu...

- Hej. - Monica dopadła ją dwa stopnie przed podestem i zatrzymała, łapiąc za szelkę nowego plecaka. - Mówię do ciebie, suko!

No, to było już bardziej typowe. Claire spojrzała na dłoń Moniki i uniosła brwi. Dziewczyna puściła plecak.

- Och, uznałam, że musicie wołać do kogoś innego - powiedziała Claire. - Byłyście takie miłe i w ogóle. Musiało chodzić o inną Claire.

- Po prostu pomyślałam, że skoro i tak jesteśmy na siebie skazane, to mogłybyśmy zachowywać się w miarę przyjemnie. Nie musiałaś się zachowywać tak, jakbym ci odbiła chłopaka, albo coś. - Monica uśmiechnęła się nonszalancko i spojrzała na nią znad zsuniętych okularów. Jej wielkie, przepiękne, niebieskie oczy przepelniała złośliwa radość.

- A propos, jak tam Shane? Jeszcze się nie znudził swoją nieletnią laską?

- Jej, już dawno mnie tak dobrze nie obraziłaś. Myślę, że to było na poziomie podstawówki, pracuj dalej. I sama zapytaj Shane'a, jeśli chcesz wiedzieć, co u niego. Jestem pewna, że chętnie ci opowie. I to bardzo plastycznie... Czego chcesz?

- A skąd pomysł, że w ogóle czegoś chcę?

- Bo jesteś jak lew. Nie ruszysz się z miejsca, jeśli nie dostaniesz czegoś w zamian.

Monica uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Hm... Ostre, ale trafne. Po co pracować ciężiej, niż trzeba? W każdym razie słyszałam, że ty i twoi kumple wpakowaliście się w problematyczny układ. Coś z tym śmierdzącym wampirycznym włóczęgą brytolskim, jak on się nazywał? Mordred?

- Mordred to był w opowieściach o królu Arturze. To Morley.

- Co za różnica. Chciałam ci tylko powiedzieć, że się tą sprawą zajmę. - Ukazała w uśmiechu białe i równe zęby. - Ale za pewną cenę.

- Taa, jakbym się nie spodziewała. - Claire westchnęła. - A jak niby zamierzasz się tym zająć?

- Mogę mu załatwić przepustki z miasta, od brata.

Claire przewróciła oczami i poprawiła ciężki plecak na ramieniu.

19

- To znaczy jak? Zamierzasz podrobić jego podpis na kserówkach, które wszystkich, poza tobą, wpakowałyby do więzienia? Nie interesuje mnie to. - Claire była pewna,

że jakakolwiek propozycja Moniki nie będzie miała pokrycia w rzeczywistości. Już kilka razy rozmawiała z bratem Moniki, majorem Richardem Morrellem, i nic nie osiągnęła.

Ale Monica lubiła udawać, że ma „dostęp”. - Jeśli nie masz

nic więcej do dodania, to idę na zajęcia.

- Niezupełnie. - Z twarzy Moniki zniknął uśmiech. -

Chcę odpowiedzi na egzamin końcowy z wykładu dwudziestego drugiego z literatury. Zdobądź je.

- Chyba żartujesz?

- A wyglądam na to? Zdobądź je albo... Wiesz, co to za

rodzaj albo, prawda? - Oczy Moniki znów zniknęły za ciemnymi szklami. - Dostarcz mi je na piątek albo przepadłaś.

Claire pokręciła głową i wspięła się na ostatnie dwa stopnie, weszła do klasy, odłożyła plecak na ławkę i usiadła, aby wszystko przemyśleć.

Wymyśliła plan, nim wykład się rozpoczął. I był to bardzo miły, podstępny plan. Czasami naprawdę opłacało się wstawać z łóżka.

Kiedy Claire szła do domu, słońce chyliło się już nad horyzontem. Dla większości wampirów było jeszcze za wcześnie na wyjście na zewnątrz, nie żeby wszystkie natychmiast stawały w płomieniach, większość starszych wampirów była niejako ognioodporna, ale mimo to rozglądała się uważnie. Zamiast iść wprost do Domu Glassów,

skręciła na skrzyżowaniu i przeszła kawałek dalej. To było zupełnie jak déjà vu, bo dom jej rodziców wyglądał prawie tak samo jak Dom Glassów, może był w troszkę lepszym stanie. Fasada była pomalowana na ładny, ciemnozielony odcień, a wokół okien rosło zdecydowanie mniej krzaków, na ganku stały inne meble i wisało kilka dzwonek wiatrowych. Mama Claire uwielbiała wiatrowe dzwonki, zwłaszcza te duże, o głębokim tonie.

Kiedy Claire wchodziła na ganek, podmuch wiatru sprawił dzwonki w ruch. Spojrzała w niebo i zobaczyła szybko zbierające się chmury. Pogoda się zmieniała. Może na deszcz. Już czuło się ochłodzenie.

Nie pukała, tylko otworzyła sobie własnym kluczem i weszła do środka, zrzucając plecak w holu.

- Hej, przyszedłam! - krzyknęła i zamknęła za sobą drzwi na klucz. - Mamo?

- Kuchnia! - usłyszała cichy okrzyk w odpowiedzi.

Claire przeszła przez taki sam hol jak w Domu Glassów,

ale ten udekorowany był przez mamę zdjęciami, oprawionymi zdjęciami rodzinnymi. Claire skrzywiła się na widok swoich gimnazjalnych i licealnych fotografii. Były strasznie obciachowe, ale nie udało jej się przekonać mamy, żeby je zdjęła. „Kiedyś będziesz szczęśliwa, że je zachowałam”, zawsze powtarzała. Claire nie mogła sobie wyobrazić, aby tak kiedykolwiek było.

20

Salon też był dziwnie znajomy. Zamiast wygodnych mebli od różnych kompletów, które stały w Domu Glassów, tutaj były te pochodzące jeszcze z czasów dzieciństwa

Claire, począwszy od starej kanapy, a na ulubionym skórzanym fotelu jej ojca skończywszy. Nawet zapachy z kuchni były znajome. Mama robiła faszerowaną paprykę. Claire spięła się w sobie, bo nienawidziła tego dania, ale starała się być miła i prawie zawsze zjadała przynajmniej nadzienie.

- Dlaczego to nie mogą być tacos? - westchnęła ciężko do siebie, po czym pchnęła drzwi do kuchni. - Cześć mamo, wró...

Zamarła. Oczy zrobiły jej się wielkości spodków, ponieważ przy stole w kuchni siedział Myrnin. Wampir Myrnin. Jej szef Myrnin. Szalony naukowiec

Myrnin. Trzymał kubek czegoś, co lepiej żeby nie było krwią, i był ubrany prawie jak normalny człowiek - w postrzępione niebieskie džinsy, tego samego koloru jedwabną koszulę i narzuconą na nią przedziwną wyszywaną kamizelkę. Oczywiście na nogach miał klapki, najwyraźniej ulubiony rodzaj obuwia. Miał długie czarne włosy, które spływały mu falami na ramiona, a jego duże, ciemne oczy śledziły każdy ruch krzątającej się przy kuchni matki Claire.

Mama była ubrana tak jak zwykle, czyli zdecydowanie za elegancko na krzątanie się po domu. Wełniane spodnie, nudna bluzka, buty na niewielkich obcasach. Miała na sobie nawet biżuterię - bransoletkę i kolczyki.

- Dobry wieczór, Claire - odezwał się Myrnin i tym razem na niej skupił całą uwagę. - Twoja matka była wobec mnie bardzo uprzejma, podczas gdy czekałem na twój powrót do domu.

Mama odwróciła się do nich, uśmiechając się sztucznie. Myrnin wyprowadzał ją z równowagi, mimo że wyraźnie się starał sprawiać wrażenie normalnego.

- Kochanie, jak było w szkole? - Pocałowała Claire w policzek, a ta próbowała się nie krzywić, kiedy mama

ścierała jej szminkę z policzka. Przynajmniej nie używała śliny.

- Było świetnie - odpowiedziała Claire i tym samym obowiązkowa rozmowa o szkole została zakończona. Wyjęła z lodówki colę, otworzyła puszkę i usiadła przy stole

naprzeciw Myrnina, który popijał coś ze swojego kubka. - Co tu robisz?

- Claire! - zawołała w lekkim szoku jej matka. - On jest gościem!

- Nie, jest moim szefem, a szefowie nie zaglądną do moich rodziców bez zaproszenia. Po co tu przyszedłeś?

- Zaglądam do twoich rodziców bez zaproszenia. Pomyślałem, że dobrze byłoby ich lepiej poznać. Opowiadałem im, jak bardzo jestem zadowolony z pracy, którą dla mnie robisz. Twoje badania są jednymi z najlepszych, jakie kiedykolwiek widziałem.

Rzeczywiście się starał. To nie brzmiało nawet trochę szalenie. Może było przesadzone, ale nie szalone.

- Mam dziś wolne - zaznaczyła Claire. Myrnin skinął

21

Igłową i oparł brodę na rękę. Miał ładny uśmiech, jeśli zdecydował się uśmiechnąć, jak teraz do matki Claire, która przyniosła dzbanek z kawą i dolała mu do kubka. Aha, czyli nie podaje nic czerwonego.

- Oczywiście, wiem, że dziś miałaś mnóstwo wykładów - powiedział. - To wyłącznie towarzyskie spotkanie. Chciałem zapewnić twoich rodziców, że u ciebie wszystko dobrze. - Skupił wzrok na kubku. - i że to, co miało miejsce w przeszłości, już nigdy się nie powtórzy.

Określenie: „to, co miało miejsce w przeszłości”, oznaczało ślady ugryzień na jej szyi. Rany się zagoiły, ale ślady pozostały, a kiedy o tym pomyślała, jej ręka sama powędrowała do szyi. Zmusiła się, by ją opuścić. Jej rodzice nie wiedzieli, że to była wina Myrnina. Powiedziano im, że to wina jakiegoś innego wampira, a Myrnin pomógł ją uratować. W gruncie rzeczy była to częściowo prawda. Myrnin rzeczywiście pomógł ją uratować. Po prostu wcześniej to on ją ugryzł.

Nie żeby to była jego wina. Był ranny i zdesperowany, ona akurat była w pobliżu. Przynajmniej w porę się pohamował.

Ona na pewno nie była tego w stanie zrobić.

- Dzięki. - Tak naprawdę nie mogła się na niego wściekać za nic z tych rzeczy. Byłoby łatwiej, gdyby mogła. - Zostajesz na obiad?

- Ja? Mimo że pięknie pachnie, obawiam się, że nie gustuję za bardzo w faszerowanej papryce – odpowiedział i zgrabnie wstał od stołu ruchem tak typowym dla wampirów.

Ruszały się jak ludzie, tylko swobodniej. - Lepiej już się oddalę, pani Danvers. Dziękuję bardzo za gościnę i doskonałą kawę. Proszę przekazać też podziękowania mężowi.

- To wszystko? - zapytała zaskoczona Claire. - Przyszedłeś pogadać z moimi rodzicami i już wychodzisz?

- Tak - odpowiedział nonszalancko i tajemniczo. I dostarczył ci to, od Amelie. Poklepał się po kieszeniach, wyciągnął kremową kopertę i przekazał ją Claire. Była z drogiego, ekskluzywnego papieru i ostemplowana z tyłu pieczęcią Założycielki. Była zamknięta.

- Do zobaczenia jutro, Claire. Nie zapomnij o pączkach.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała, skupiając się na trzymanej w ręku kopercie. Myrnin powiedział coś jeszcze do jej matki, a potem wyszedł.

- On ma takie wspaniałe maniery - odezwała się jej matka, zamykając drzwi. - Cieszę się, że pracujesz z kimś tak... cywilizowanym.

Blizna na szyi Claire zabolęła trochę. Pomyślała o tych wszystkich przypadkach, kiedy Myrnin tracił nad sobą kontrolę - kiedy zwinięty w kłębek łkał w kącie, kiedy jej groził, kiedy godzinami zachowywał się jak kompletny wariat, kiedy prosił ją, aby wreszcie uwolniła go od cierpień.

A nawet kiedy dał jej próbki swojego mózgu... w plastikowym pudełeczku.

- Cywilizowany... - mruknęła cicho. - Tak, jest wspaniały.

Był i to było okropne. Był wspaniały, dopóki nie stawał się niebezpieczny.

22

Trochę jak świat jako taki.

Claire otworzyła kopertę nożem kuchennym, wyciągnęła złożony kawałek eleganckiego papieru i przeczytała piękne, zamaszyste pismo, bez wątpienia -

Amelii.

W związku z niedawną prośbą, przekazuję Ci przepustki pozwalające opuścić i powrócić do Morganville. Musicie je przedstawić przy rogatek miasta. Proszę, przekaż je swojemu towarzystwu i podaj im te same instrukcje. Od tej zasady nie ma wyjątku.

Ustalcie z Oliverem czas wyjazdu.

Claire zabrakło tchu. Przepustki Morleya! Idealny moment. Nie wiedziała, jak długo jeszcze byliby w stanie utrzymywać w spokoju Morleya i jego ludzi, nim postanowiliby się krwawo zemścić. Chcieli się wydostać z Morganville.

I ona mogłaby to im zapewnić.

Ale wyjmując przepustki z koperty, natychmiast się zorientowała, że ich nie starczy.

Ludzie Morleya potrzebowali około trzydziestu. A tu były tylko cztery.

I były podpisane: „Michael Glass, Eve Rosser, Shane Collins i Claire Danvers”.

Co się działo?

Claire wyjęła komórkę i nacisnęła przycisk szybkiego wybierania. Dzwonił i dzwonił, ale nikt nie odbierał. Rozłączyła się i wybrała inny numer.

- Oliver.

-

-

Em, cześć, tu Claire? Czy... czy jest z tobą Amelie?

Nie.

- Czekaj, czekaj, nie rozłączaj się! Jesteś w Radzie

Miasta. Dostałam list, a w nim kilka przepustek, ale ich nie wystarczy dla...

- Prośbę Morleya o emigrację z Morganville rozpatrzyliśmy negatywnie - wyjaśnił Oliver. Mówił spokojnie, ale Claire i tak przeszedł dreszcz. - Wyznaje filozofię zbyt nie-

bezpieczną dla tych, którzy chcą pozostać... jakie to określenie? Pod kloszem.

- Ale... zawarliśmy układ. Ja, Shane, Eve i Michael.

Powiedzieliśmy, że załatwimy im przepustki.

- Jestem świadom tego układu. O co pytasz?

- No bo... Morley powiedział, że nas zabije. Jeśli mu nie załatwimy przepustek. Mówiliśmy ci o tym. Oliver zamilkł na moment, po czym rzekł:

- Którego fragmentu „jestem tego świadom” nie zrozumiałaś, Claire? Wraz z przyjaciółmi dostałaś przepustki; z Morganville. Tak się składa, że Michael poprosił o zgody

na wyjazd do Dallas na nagranie i koncerty. Postanowiliśmy mu na to pozwolić, pod warunkiem że pojedziecie wszyscy razem. Z eskortą.

- Eskortą? - zapytała Claire. - To znaczy co, z policją?

Pomyślała o naczelnik Hannah Moses, która byłaby nic

23

tylko ochroniarzem, ale i dobrą towarzyszką. Lubiła Hannah od chwili spotkania i miała wrażenie, że Hannah też ją lubi. Oczywiście na tyle, na ile twarda eksmarines mogła lubić chudą, o połowę od niej młodszą, przemądrzałą dziewczynę.

- Nie. Nie chodzi mi o policję. - Oliver się rozłączył.

Claire przez chwilę gapiła się na telefon, po czym zamknęła go i włożyła z powrotem do kieszeni. Znowu spojrzała na przepustki, kopertę i list.

Amelie postanowiła porządnie wkurzyć Morleya, ale przynajmniej postanowiła też odesłać Claire i jej przyjaciół z miasta.

Z eskortą.

Claire z jakiś przyczyn była przekonana, że nie oznaczało to po prostu wyznaczenia jakiegoś rozsądnego dorosłego, który by z nimi pojechał.

- Idź po ojca - odezwała się jej matka i zaczęła nakrywać do stołu. - Jest na górze, przy komputerze. Powiedz mu, że obiad gotowy.

Claire spakowała wszystko do plecaka, a potem poszła na górę. Znowu odniosła to wrażenie zadziwiającego podobieństwa; rodzice przeznaczili dla niej pokój znajdujący się w tej samej części domostwa, jak ten, który zajmowała w Domu Glassów. Ten sam pokój, a jednak tak zupełnie odmienny. W domu, przynajmniej tym z nazwy, stały jej białe meble i łóżko, kupione, kiedy miała dziesięć lat. W oknie nadal wisiały różowe zasłony. Jej pokój w Domu Glassów był zupełnie inny,

w ciemnym drewnie i z ciemnymi obiciami. Dorosły.

Pokój, w którym tata pracował, mieścił się w odpowiedniku pokoju Shane'a, co wywoływało w Claire mnóstwo myśli i wspomnień nieodpowiednich do obecnej sytuacji i sprawiło, że spłonęła rumieńcem, kiedy wsunęła głowę przez drzwi i rzuciła do ojca:

- Tato, obiad gotowy! Pomóż mi z jedzeniem faszerowanej papryki, nim zadławię się nią na śmierć.

Jej ojciec odwrócił nerwowo głowę, jakby był czemuś winny, i szybko wyłączył komputer. Claire zamrugała. Tata? Jej tata był... normalny. Wręcz przeraźliwie nudno normalny. Nie był ani społecznikiem, ani szaleńcem, na pewno nie kimś, kto musiał ukrywać swoje poczynania na komputerze przed córką.

- Powiedz, że nie oglądałeś pornografii...

- Claire!

- No co? Zachowujesz się tak, jakbyś się czegoś wstydził. Większość znanych mi osób reaguje tak, gdy ogląda pornografię.

Jej ojciec wziął głęboki oddech, przymknął oczy i powiedział:

- Grałem w coś.

Ulżyło jej. Dopóki nie dodał:

- To jedna z tych gier sieciowych dla wielu graczy.

- Tak? Która? Jakaś fantasy?

W tym momencie wyglądał już na śmiertelnie zawstydzonego.

- No... niezupełnie.

- To jaka?

24

W odpowiedzi uruchomił ekran. Pojawił się na nim nocny pejzaż, zamek i cmentarz - widok jak z horroru z lat pięćdziesiątych.

Była też jakaś postać - blada, wysoka, w pelerynie w stylu Drakuli i w smokingu. Miała kły.

Claire otworzyła usta, gdy spojrzała na swojego ojca, jej normalnego, nudnego ojca. - Gra o wampirach?

- To się nazywa „Mroczne zamczysko”. I nie tylko w to gram. Płacą mi za to, że obserwuję, co ludzie robią w sieci.

- Płacą ci... za udawanie wampira? Kto? - Jej ojciec oparł się na krześle i pokręcił głową.

- To już moja sprawa, Claire.

- Amelia? Oliver?

- Claire. - Tym razem w głosie ojca dało się słyszeć nutę ojcowskiego

autorytetu. - Starczy już. To praca, za którą płacą mi rozsądne pieniądze. I oboje wiemy, że to najlepsze, co mogę zrobić przy swoich ograniczeniach. Lekarze zabraniają mi wysiłku. Z jej ojcem nie było najlepiej, i to już od pewnego czasu. Był wątpliwy i delikatny i coraz bardziej się o niego martwiła. O matkę też. Mama wyglądała na zmęczoną, a w jej oczach czaiła się panika.

- Wszystko będzie dobrze? - W jakiś sposób wypowiedziała to w formie pytania, chociaż wcale nie miała takiego zamiaru. - Znaleźli coś jeszcze?

- Nie kochanie, wszystko w porządku. Potrzebuję tylko czasu na wzmocnienie.

Kłamał, ale wiedziała, że nie chciał drażnić tematu. Ale ona chciała. Chciała krzyknąć, wrzeszczeć, żądać informacji, co tak naprawdę się dzieje.

Ale zamiast tego przełknęła ślinę i powiedziała:

- Robienie w sieci za wampira... To dość szalone posunięcie, tato.

- Ale lepsze niż bezrobocie. A więc faszerowane papryki? Doskonale wiem, jak je lubisz.

Claire udała, że się dusi. Jej ojciec wyciągnął rękę i zmierzwił jej włosy.

- Czemu jej po prostu nie powiesz, że ich nie lubisz?

- Powiedziałam. Ale mama już taka jest. Mówi mi ciągle, że kiedyś je lubiłam. - Taaak... Taka już jest.

Obiad upłynął im jak zwykle - Claire rozgrzebywała na talerzu paprykę w poszukiwaniu czegoś jadalnego, a jej mama opowiadała, jak spędziła tydzień. Claire włączała się w rozmowę tylko w odpowiedzi na jakieś pytanie. Poza tym była cicho. I tak zawsze wiedziała, co powie jej mama. I wiedziała, że tata nie będzie się wiele odzywał, o ile w ogóle.

Powiedział tylko:

- Może przyprowadzisz kiedyś Shane'a na obiad?

Czas jakby się zatrzymał. Jej mama zamarła z widelcem

25

w połowie drogi do ust. Claire także zamarła, ale niestety w tym momencie akurat przetykała colę, co zakończyło się kaszlem, krztuszeniem się, łzami w oczach i w ogóle było to cokolwiek żenujące.

- Kochanie, jestem pewna, że Shane jest bardzo zajęty - powiedziała mama Claire, kiedy wreszcie się opanowała. - Prawda, Claire?

- Chciałbym z nim porozmawiać - odparł ojciec i tym razem nie był to ten ciepły i trochę ciapowaty tatuś. To brzmiało ojcowsko, i to dużymi, skrzącymi się na czerwono literami. - Niedługo.

- Ehm... dobrze, zobaczę czy... dobrze. - Claire z przerażeniem odkroiła kawałek faszerowanej papryki i przełknęła. Znów się prawie zakrztusiła, ale w końcu udało jej

się przełknąć. - Hm, możliwe, że niedługo pojedę na wycieczkę.

- Jaką?

- Do Dallas, z przyjaciółmi.

- Zobaczymy - powiedział tata, co oczywiście znaczyło „nie”. - Najpierw muszę porozmawiać z Shane'em.

O Boże, teraz będą się targować. Albo będzie szantażowana. Czasami trudno było zauważyć różnicę. Claire powiedziała, że się postara, albo coś w tym guście, przełknęła kolejny kawałek jedzenia, które nie smakowało już nawet znośnie, i szybko wstała od stołu umyć talerz.

- Claire! - krzyknęła za nią matka, gdy dziewczyna pognała do kuchni. - Chyba nie zamierzasz dziś od nas uciec?

Miałam nadzieję, że spędzimy trochę czasu razem.

- Właśnie to zrobiliśmy - wyszeptała pod nosem, splukując talerz i wkładając go do zmywarki. Podniosła głos i odkrzyknęła. - Nie mogę mamó. Muszę się uczyć. A wszystkie książki zostały w Domu Glassów.

- Nie pozwolę ci wracać samej po ciemku.

- Mówiłam ci, że mam plaketkę od Amelie! Nie będą mnie zaczepiać!

Jej ojciec otworzył drzwi do kuchni:

- A co ze zwykłymi ludźmi? Myślisz, że taka plaketka może cię uchronić od wszystkiego?

- Tato...

- Martwię się o ciebie, Claire. Narażasz się, a ja zupełnie nie wiem po co. Nie rozumiem, dlaczego uważasz, że to w porządku.

Przygryzła wargę. W jego głosie było coś, jakby zawód, który przejął ją do głębi i prawie przyprawił o łzy. Kochała tatę, ale czasem był taki niezorientowany.

- Nie powiedziałam, że będę szła. Popelniam błędy, ale nie jestem głupia!

Wyjęła telefon, wybrała numer i odwróciła się plecami do ojca. Kiedy Eve odpowiedziała radośnie:

- Wal!

26

Poprosiła:

- Możesz mnie odebrać? Ode mnie z domu?

- Claire - odezwał się jej ojciec.

Odwróciła się do niego:

- Tato, ja naprawdę muszę się uczyć.
- Wiem. Odwiozę cię do domu - powiedział to z takim dziwnym uśmiechem, smutnym i zrezygnowanym. I dopiero kiedy się uśmiechnęła, zrozumiała, co tak naprawdę powiedział.

Dom. Dom Glassów.

- Trudno nam cię puścić - dodał. - Wiesz o tym, prawda?

Wiedziała. Przez chwilę się wahała, po czym powiedziała do słuchawki:

- Nieważne. Sorry, Eve. Tata mnie odwiezie.

Po czym przytuliła ojca, a on odwzajemnił się uściskiem, mocnym, i pocałował ją w czoło.

- Kocham cię, skarbie.
- Wiem, też was kocham.
- Ale nie na tyle, żeby zjeść trochę więcej faszerowanej papryki i zagrać ze staruszkami w jengę.
- Papryki nie tknę, ale bardzo chętnie zagram. Jedna partyjka?

Uścisnął ją jeszcze mocniej.

- Przyniosę grę.

Trzy rundy później Claire była zmęczona, zadowolona i trochę smutna. Widziała, że jej mama się śmieje, a tata wygląda na zadowolonego, co było dobre, ale było też w tym coś dziwnego. Czuła się jak gość, jakby już tu nie pasowała tak jak kiedyś. Byli jej rodziną z zewnątrz. Miała teraz zbyt wiele doświadczeń, w których oni nie uczestniczyli.

- Claire... - jej ojciec odezwał się, wioząc ją przez ciemne ulice Morganville.

Było pusto, minęli tylko kilka samo-

chodów. W tym dwa radiowozy. Co najmniej trzy inne miały mocno przyciemnione szyby, zbyt ciemne, aby mógł przez nie widzieć człowiek.

- Twoja mama ze mną rozmawiała. I nie zamierzam się upierać, żebyś mieszkała z nami. Jeśli chcesz mieszkać z przyjaciółmi, to nie mam nic przeciwko.
- Naprawdę? - Usiadła prosto i spojrzała na tatę. - Mówisz serio?
- Nie wiem, co to za różnica. Masz siedemnaście lat i jesteś bardziej

niezależna, niż ja byłem kiedykolwiek. Masz pracę i obowiązki bardziej skomplikowane, niż jestem w stanie zrozumieć. Nie widzę sensu, żebyśmy dalej traktowali cię jak małą, żyjącą pod kloszem dziewczynkę. -

Zawahał się, po czym dodał. - Mówię, jakbym był najgorszym ojcem na świecie, prawda?

- Nie, skądże. - zaprzeczyła. - Mówisz jak ktoś, kto... rozumie.

Westchnął.

27

- Twoja matka uważa, że jeśli nałożymy na ciebie jeszcze więcej ograniczeń, to wszystko wróci do normy. Znów będziesz tą małą dziewczynką, którą pamięta. Ale to nie wróci, a ty się nie zmienisz. Wiem o tym.

Mówił, jakby mu było trochę smutno, i przypomniała sobie, jak się czuła w domu - jakby nie u siebie, jakby tylko odwiedzała ich życie. Jej życie zaczęło się toczyć innym torem.

To było takie dziwne uczucie.

- Ale co do Shane'a...

- Tato!

- Wiem, że nie chcesz tego usłyszeć, ale i tak to powiem. Nie mówię, że Shane to zły chłopak, jestem pewien, że nie, głęboko w sercu, ale naprawdę powinnaś pomyśleć

o swojej przyszłości. Co chcesz zrobić ze swoim życiem. Nie angażuj się za mocno, za szybko. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Ożeniłeś się z mamą, jak miałaś dziewiętnaście lat!- Westchnął.

- Wiedziałem, że mi to wypomnisz.

- No i? Ty mogłaś podejmować decyzje przed dwudziestką, ale ja nie mogę?

- Chcesz krótkiej odpowiedzi? Tak. I oboje wiemy, że gdybym chciał, to mógłbym zamienić życie Shane'a w piekło. Ojcowie tak robią.

- Nie zrobiłbyś tego!

- Nie, bo uważam, że on naprawdę cię kocha i naprawdę chce cię chronić. Ale Shane może nie zdawać sobie teraz sprawy z tego, że może być najgorszą rzeczą, jaka cię spotkała. Że może całkiem wykoleić ci życie. Po prostu... nie trać głowy, dobrze? Jesteś mądrą dziewczynką. Nie pozwól, aby hormony kierowały twoim życiem.

Zatrzymał samochód za olbrzymim autem Eve pod Domem Glassów. W oknach paliło się światło - ciepło, przyjaźń i inne życie, jej życie, życie, które jej rodzice mogli oglądać tylko z zewnątrz.

Odwróciła się do ojca i zobaczyła, że przygląda jej się z tym samym smutnym wyrazem twarzy. Odgarnął jej kosmyk z czoła.

- Moja mała dziewczynka. - Uśmiechnął się. - Liczę, że niedługo przyjdiesz na obiad.

- Dobrze - obiecała i ucałowała w policzek. - Pa, tato. Kocham cię.

Uśmiechnął się, a ona wyskoczyła z samochodu, przebiegła popękany chodnikiem i wskoczyła na schodki. Wyjmując klucze, pomachała mu sprzed frontowych drzwi. Mimo to czekał, patrząc, aż otworzyła drzwi, weszła do środka i zamknęła je za sobą. Dopiero wtedy usłyszała warkot odjeżdżającego samochodu.

Michael grał w dużym pokoju. Głośno. To nie było jego typowe zachowanie i kiedy Claire weszła do pokoju, zobaczyła, że Eve i Shane siedzieli na podłodze i podziwiali show. Michael uruchomił amplituner, grał na swojej gitarze elektrycznej, czego zwykle nie robił w domu. I do licha... To naprawdę robiło wrażenie. Usiadła obok Shane'a i wtuliła się w niego, a on objął ją ramieniem. Muzyka była zupełnie jak mur, który na nią naciskał i po kilku sekundach walki z nim Claire w końcu się

28

poddała. Pochłonęła ją muzyka Michaela. Zupełnie nie знаła tej piosenki, głośnej, szybkiej i fascynującej.

Kiedy się skończyła, Claire nadal huczało w uszach, ale nie dbała o to. Razem z Shane'em i Eve klaskała, wrzeszczała i gwizdała, a Michael poważnie się uklonił, po czym wyłączył amplituner i odłączył kabel. Shane wstał i przybił z nim piątkę.

- To było niesamowite, stary. Jak ty to robisz?

- Nie mam pojęcia. - Odpowiedział Michael. - Hej, Claire. Jak tam rodzice?

- Dobrze. Tata mówi, że mogę oficjalnie wprowadzić się z powrotem.

Nie żeby kiedykolwiek się tak naprawdę wyprowadziła.

- Wiedziałam, że ich przekonamy - odezwała się Eve. - W końcu jesteśmy naprawdę świetni.

I tym razem to Eve przybiła piątkę Shane'owi.

- Przynajmniej jak na paczkę pokreconych wariatów i ciamajd.

- Do której grupy należysz? - zapytał Shane. Trzepnęła go. - A tak, ciamajd. Dzięki za przypomnienie.

Claire sięgnęła do plecaka i wyjęła z niego przepustki, które przyniósł jej Myrnnin.

- Ehm... dostałam je dzisiaj. Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Michael podszedł do niej z wampirzą prędkością i wyrwał jej kopertę z rąk. Rozłożył przepustki i patrzył na nie zadziwiony.

- Ale... nie sądziłem...

- Najwyraźniej ktoś się zgodził - odezwała się Claire. - Eve?

Eve się skrzywiła.

- Co? Co to jest?

- Przepustki - odpowiedział Michael. - Żeby wyjechać z miasta. Żeby pojechać do Dallas. Na próbne nagranie.

- Dla ciebie?

- Dla nas wszystkich. - Michael podniósł wzrok i się uśmiechnął. - Wiecie, co to znaczy?

Shane odrzucił głowę do tyłu i zawył jak wilk.

- Wycieczka! Super!

Michael objął Eve, która przylepiła się do niego, opierając bladą trójkątną twarz na jego piersi i oplatając go rękami w pasie. Claire zobaczyła, jak przyjaciółka zamyka oczy i na jej twarzy pojawiają się spokój i radość. Po czym otworzyła je gwałtownie. - Chwila. Ja nigdy... to znaczy... Na zewnątrz? Poza Morganville? Do Dallas? Ty chyba nie mówisz serio? Podniósł przepustkę z jej nazwiskiem:

- Jest podpisana. Ważna.

- Pozwalają nam opuścić miasto? Oszaleli? Jak wreszcie dotrę do sklepów w Dallas, to nie sądzę, aby chciało mi

się wracać do domu. - Eve się skrzywiła. - I nie wierzę, że

właśnie pomyślałam o Morganville jak o domu. Nie sądziłam, że jestem taka beznadziejna.

- No, okropnie - stwierdził Shane. - Ale musimy wrócić, prawda?

29

- Tak - odpowiedział Michael. - No, ja muszę. Nie

mam gdzie się podziać. Ale wy...

- Przestań - przerwała mu Eve i zasłoniła mu usta ręką, by wzmocnić zakaz. -

Natychmiast przestań. Proszę.

Spojrzał na nią i ich spojrzenia się skrzyżowały. Odsunął jej dłoń od ust, po czym

uniósł delikatnie jej rękę i złożył na czubkach jej palców długi pocałunek. To była

jedna z najbardziej seksownych rzeczy, jakie Claire kiedykolwiek widziała -

przepełniona miłością, słodyczą i oddaniem. A sądząc z miny Eve, była to też jedna z

najbardziej seksownych rzeczy, które i ona widziała.

- Pogadamy o tym w drodze - oznajmił Michael. -

Przepustki są ważne przez tydzień. Podzwonię trochę

i ustalę, kiedy mam się pojawić w studiu.

Eve skinęła głową. Claire miała wątpliwości, czy jej koleżanka byłaby w stanie wydobyć teraz z siebie głos.

- Hej - odezwał się Shane i dał Claire prztyczka

w nos. - Obudź się.

- Co? Co!

- Naprawdę, masz to spojrzenie panienki-którą-trafił-romantyczny-moment.

Uspokój się.

- Kretyn.

Wzruszył ramionami.

- Nie jestem romantycznym gościem. Jak chcesz takiego, to umawiaj się z

Michaelem.

- Nie! - stwierdziła marzycielsko Eve. - Mój.

- Spadł mi poziom cukru we krwi - powiedział Shane. - Robi się późno, Claire musi iść jutro do szkoły, a ja mam przed sobą długi dzień siekania mięsa...

- My tu jeszcze zostaniemy - rzucił Michael. On i Eve

nadal nie odrywali od siebie wzroku.

- Na to na pewno nie będę patrzył. - Shane wziął Claire za rękę. - Na górę? Skinęła głową, zarzuciła plecak na ramię i poszła za nim. Shane otworzył drzwi do swojego pokoju, odwrócił się i podniósł jej dłoń do ust. Ale jej nie pocałował. W jego ciemnych oczach czaił się uśmiech.

- Kretyn - powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo. - Nie byłbyś w stanie zachować się romantycznie, nawet gdyby zależało od tego twoje życie.

- A wiesz, co jest fajne? Większość drani nie prosi o to,

żeby być romantycznym na rozkaz, więc to raczej nie ma znaczenia.

- Tylko dziewczyny by tego chciały.

- No, je można by zakwalifikować do arcydrani. Ale tylko jeśli mają tajemną podziemną bazę. Czeka... Twoim szefem jest szalony naukowiec, a laboratorium... - Daruj sobie. - Pacnęła go w ramię. - Pocałujesz mnie na dobranoc czy nie? - Widzisz? Romantyczny na rozkaz.

- Świetnie. - Tym razem Claire naprawdę się zirytowała. - To nie. Dobranoc.

Odwróciła się na pięcie i poszła do swojego pokoju, otworzyła drzwi, trzasnęła za sobą z hukiem i padła na łóżko, nie zwracając sobie głowy zapaleniem światła. Po kilku chwilach przypomniała sobie, że w Morganville takie zachowanie to nie najlepszy pomysł i zapaliła przy łóżku lampkę w stylu Tiffany'ego. Kolorowe światło tworzyło wzory na drewnie, ścianach, jej skórze.

W cieniu nie kryły się żadne potwory. Była zbyt zmęczona, by sprawdzić, czy jakieś są pod łóżkiem albo w szafie.

- Kretyn - powiedziała jeszcze raz, po czym zakryła sobie twarz poduszką i wykrzyczała w nią sfrustrowana. -Shane Collins to kretyn!

Przestała, słysząc pukanie do drzwi. Odłożyła poduszkę i czekała, nasłuchując.

Znowu pukanie.

- Jesteś kretynem! - krzyknęła.

- Wiem - zgodził się Shane. - Mogę ci to jakoś wynagrodzić?

- Tak jakbyś umiał.

- Daj mi szansę.

Westchnęła, ześlizgnęła się z łóżka i otworzyła drzwi. Za nimi oczywiście stał Shane. Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i powiedział:

- Usiądź.

- Co robisz?

- Po prostu usiądź.

Usiadła na brzegu łóżka i zmarszczyła brwi. Naprawdę zachowywał się zupełnie inaczej, kompletna odwrotność złośliwego nastolatka, jakim był przed chwilą. Wydawał się bardziej... dorosły.

- Kiedy byłaś w szpitalu, po tym jak Dean... no wiesz. - Przeszedł go dreszcz. - Byłaś trochę otumaniona lekami. Nie jestem pewien, co z tego pamiętasz.

Tak naprawdę nie pamiętała za wiele. Chłopak o imieniu Dean porwał ją i dość mocno pokiereszował. Straciła sporo krwi i dostała coś na koszmara. Pamiętała, że wszyscy przychodzili ją odwiedzać - mama, tata, Eve, Michael, Shane. Nawet Myrnn. Nawet Amelie i Oliver.

Shane... Siedział tam z nią. Powiedział...

Tak naprawdę nie pamiętała, co powiedział.

- W każdym razie powiedziałem, że to musi poczekać.

Myślę, że już poczekało.

Wyciągnął z kieszeni małe jedwabne pudełeczko, a serce Claire... zamarło. Myślała, że zemdleje. Było jej gorąco w głowę, a całe ciało miała zimne. Była tylko w stanie patrzeć na pudełeczko.

On nie... On nie mógł...

A może?

Shane także patrzył na pudełeczko. Nieustannie obracał je w palcach.

- To nie to, co myślisz - powiedział. - To nie... posłuchaj. To pierścionek, ale nie chcę, żebyś myślała...

31

Otworzył pudełeczko i pokazał jej, co jest w środku. Był to piękny pierścionek, srebrny, z czerwonym kamieniem w kształcie serca, przytrzymywany w dłoniach. - To pierścień przyjaźni. Należał do mojej siostry

Alyssy. Dostała go od mamy. Był w szkolnej szafce Allysy, kiedy ona... kiedy spłonął dom. - Kiedy zginęła Alyssa.

Kiedy Shane'owi zawalił się świat.

W oczach Claire wezbrały łzy. Srebrno-czerwony pierścionek błyszczał, a ona nie mogła się zdobyć na to, żeby spojrzeć Shane'owi w oczy. Bała się, że to ją zniszczy. - Jest piękny - szepnęła. - Ale nie prosisz mnie...

- Nie, Claire. - Nagle opadł na kolana, jakby opuściły go siły. - Jestem beznadziejny, wiem. Ale nie mogę zrobić czegoś takiego, jeszcze nie. Jestem... posłuchaj. Dla mnie rodzina oznacza coś innego niż dla ciebie. Moja się rozpadła. Moja siostra, moja mama, nie mogę nawet myśleć o moim tacie. Ale kocham cię, Claire. Właśnie to

oznacza

ten pierścionek. Że cię kocham. Okej?

Wtedy na niego spojrzała i poczuła, jak po policzkach płyną jej łzy.

- Ja też cię kocham. Nie mogę wziąć tego pierścionka. On znaczy... on dla ciebie zbyt wiele znaczy. Tylko tyle ci po nich zostało.

- Właśnie dlatego lepiej, żebyś ty go miała. - Wyciągnął dłoń, w której trzymał pudełko. - Bo możesz go zmienić

w lepsze wspomnienie. Nie mogę na to patrzeć, nie widząc przy tym przeszłości. A ja nie chcę wciąż widzieć przeszłości. Chcę zobaczyć przyszłość. - Nawet nie mrugnął,

a Claire poczuła, że traci oddech. - Ty jesteś przyszłością, Claire.

Czuła pustkę w głowie, ciało ją paliło, ale było jej zimno i się trzęsła.

Sięgnęła po jedwabne pudełeczko. Wyciągnęła z niego pierścionek i obejrzała.

- Jest piękny. Jesteś pewien, że...

- Tak, jestem pewien.

Wziął od niej pierścionek i włożył na palec na prawej dłoni. Pasował doskonale.

Potem uniósł jej dłoń do ust i pocałował, i to był na pewno lepszy pocałunek niż ten w wykonaniu Michaela, zdecydowanie bardziej seksowny. I Claire osunęła się przy

nim na kolana. A potem on ją całował, gorącymi, głodnymi ustami i oboje padli na dywan przy łóżku i zostali tam, przytuleni do siebie, dopóki chłód nie wygonił ich z powrotem na łóżko.

32

Rozdział 3

Spośród wszystkich poranków, kiedy Claire nie chciało się wstawać, ten był najgorszy. Obudziła się rozgrzana i rozespana, wtulona w Shane'a jak łyżeczka. Nawet przez sie trzymali się za ręce. Czują się świetnie. Lepiej niż kiedykolwiek.

W ciszy poranka próbowała zachować tę chwilę, dźwięk jego spokojnego oddechu, obecność jego zrelaksowanego, silnego ciała obok niej.

Pragnę tego, pomyślała. Każdego dnia. Przez całe życie. Na zawsze.

A potem zadzwonił budzik.

Claire poderwała się, walnęła go i zwała tym samym na podłogę. Rzuciła się po zegar i w końcu go wyłączyła. Czują się jak skończona idiotka, myśląc o tym, jak w ogóle mogła zostawić włączony budzik. Odwróciła się i zobaczyła, że Shane otworzył oczy, ale poza tym się nie poruszył. Wyglądał niezbyt przytomnie, uroczo i leniwie, ze zwichrzonymi włosami. Schyliła się, aby go pocałować, słodko i powoli. Objął ją i to było takie naturalne, tak idealne, że znów poczuła to ciepło, to uczucie, że właśnie tak powinno być.

- Hej - powiedział. - Jesteś słodka, kiedy panikujesz.

- A kiedy niby panikuję?

- Aj. No tak, to nie zabrzmiało tak dobrze, jak planowałem. A ty zdecydowanie za dużo przebywasz z Eve. – Na plecach rysował jej palcami kółka, co dawało uczucie takie, jakby ogrzewały ją promienie słońca. - Jaki jest plan na dziś? Bo ja jestem za tym, żeby zostać w łóżku.

Pragnęła tego samego. Ale jej budzik nie dzwonił bez powodu.

- Mam lekcje - westchnęła.

- Zwagaruj. - Pocałował ją w nagie ramię.

- Ja... Ty masz pracę, pamiętasz? Ostre noże i wołowina do siekania?.

- Niezła zabawa, ale wolę to.

No, miał siłę przekonywania. I to dużą. Działała przez jakieś kolejne pół godziny, po czym Claire zmusiła się do wstania i wskoczyła pod prysznic. Próbowała zapomnieć o tym, że Shane został w jej łóżku.

I nadal tam był, gdy wróciła po plecak. Z ramionami pod głową wyglądał, jakby był szalenie

zadowolony ze świata... iż siebie samego.

Trzepnęła go w wystającą spod kołdry nagą stopę.

- Wstawaj, Władco Grilla.

- Ha! Jeszcze nie muszę. To ty miałaś szalony pomysł, żeby zapisać się na wykłady o siódmej rano. Ja chodzę do pracy na rozsądną godzinę.

- Ale nie będziesz leżał w moim łóżku przez cały dzień.

Wstawaj. Nie dowierzam ci na tyle, żeby cię tu samego zostawić.

Uśmiechnął się podstępnie i bardzo, bardzo groźnie.

- Pewnie masz rację. Nie żebyś mogła mi w pełni ufać, kiedy jestem tu z tobą.

33

O nie, nie położy się z nim z powrotem, nie zrobi tego. Miała zajęcia. Wzięła kilka głębokich wdechów, po czym schyliła się, dała mu krótkiego całusa, wyslizgnęła mu się z rąk i pobiegła do drzwi.

- Won z łóżka! - rzuciła. - Mówię serio!

Ziewnął. Uśmiechnęła się i zatrzasnęła za sobą drzwi. Na dole kawa już się parzyła, a Michael siedział przy stole przed włączonym laptopem. Była trochę zaskoczona.

Michael nie był typem komputerowca. Miał swój komputer, z e-mailem itp. Ale nie spędzał przed nim wiele czasu. Nie tak jak inni ludzie w jego wieku. (Nie jak ona.) Spojrzał na nią, potem na ekran, potem znów na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Co? - zapytała. - Nie mów mi tylko, że jakiś obrzydliwy film produkcji Kim wylądował na You Tube'ie.

Nie chciała nigdy więcej o tym myśleć. Kim i jej podglądactwo. Kim i jej plany, aby zostać gwiazdą z tymi wszystkimi ukrytymi kamerami filmującymi każdy aspekt życia w Morganville.

Taa... Nie skończyło się to za dobrze dla Kim.

Michael pokręcił głową i znów spojrział na ekran.

- Sprawdzalem jak sie maja sprawy ze studiem, no wiesz, z sesją nagrań? Oni mówią poważnie, Claire. Chcą, żebym przyjechał w czwartek.

- Serio? - Złapała kubek kawy i usiadła naprzeciwko niego, po czym dodała do kawy mleka i cukru. - To musimy wyjechać w czwartek rano?

- Nie. Myślę, że powinniśmy wyjechać dziś w nocy. A poza tym to nam da trochę czasu na oswojenie się z Dallas. No i nie chcę podróżować w dzień. - Racja.

Wampirzy. Droga.

Słońce. Raczej nie najlepsze połączenie.

- Nie możemy wziąć twojego samochodu, prawda?

To znaczy tak przyciemnione szyby nie są legalne poza Morganville?

- Nie. To kolejny powód, dla którego powinniśmy jechać nocą. Myślę, że możemy wziąć samochód Eve. Jest duży i ma przepastny bagażnik, tak w razie czego.

Czyli w razie gdyby dopadło ich słońce. Claire w zamyśleniu wystukiwała paznokciami rytm na kubku.

- A co z zapasami? No wiesz...

- Wstąpię do stacji krwiodawstwa i wezmę lodówkę. Na wynos.

- Serio? Tak się robi?

- Zdziwiłabyś się. Możemy nawet dorzucić do niej colę.

Jakoś nie brzmiało to zbyt higienicznie. Claire postanowiła o tym nie myśleć.

- Jak długo nas nie będzie?

- Jeśli wyjedziemy dziś wieczorem i nagram próbkę

34

w czwartek w ciągu dnia, możemy wrócić w piątkowy wieczór. Albo sobotni, w zależności od tego, jakie będą wasze plany. Ja się dostosuję.

To Claire o czymś przypomniało.

- Ehm... wiesz, że będziemy mieli eskortę, prawda?

- Eskortę? - Michael zmarszczył brwi. - Jaka?

Claire uśmiechnęła się, że ma kły. Michael przewrócił oczami.

- No świetnie, kto?

- Nie wiem. Wiem tylko, że według listu Amelie mamy ustalić czas wyjazdu z Oliverem.

Michael nadal miał zmarszczone brwi. Wyciągnął komórkę i wybrał numer, popijając kawę.

- Tu Michael - powiedział do telefonu. - Dowiedziałem się, że mamy ustalić z tobą termin wyjazdu. Zamierzamy wyruszyć dziś w nocy, po zmierzchu.

Kiedy słuchał tego, co miał mu do powiedzenia Oliver, miał minę kompletnie bez

wyrazu. Nic nie powiedział. W końcu odstawił kawę i rzekł:

- A mamy wybór? - Pauza. - Tak sądziłem. Spotkamy się na miejscu.

Rozłączył się, odłożył telefon na stół, obok kawy, i odchylił się na krześle, z zamkniętymi oczami. Wyglądał... nie do opisania, stwierdziła Claire. Walczyło w nim tyle uczuć, że nie wiedział, co pokazać po sobie pierwsze.

- Co? - zapytała w końcu niepewna, czy w ogóle powinna próbować.

Nie otwierając oczu, odpowiedział:

- No to mamy eskortę, oj mamy...

- Kogo?

- Olivera.

Claire odstawiła kubek z taką mocą, że brązowy płyn rozchlapał się po stole.

- Co?

- Wiem.

-

-

Będziemy uwięzieni w jednym samochodzie tyle godzin z Oliverem?

Wiem.

- No to po zabawie.

Westchnął i w końcu otworzył oczy. Claire знаła to spojrzenie; pamiętała je z ich pierwszego spotkania. Zgorzkniałe i czujne. Zranione. Uwięzionego. Wtedy był duchem, który nie mógł opuścić tego domu, kimś między człowiekiem a wampirem. A teraz był w takiej samej pułapce, tyle że granice jego więzienia rozciągnęły się do rogatek miasta. Przez ostatnie kilka godzin czuł, że może się uwolnić, stać kimś innym.

I Oliver właśnie mu to odebrał.

- Przykro mi - powiedziała Claire. Michael zniknął

laptopa, wyłączył z kontaktu i wstał. Nie spojrzał jej ponownie w oczy.

- Przygotuj się na szóstą - powiedział. -- Przekaż

Shane'owi. Ja powiem Eve.

35

Skinęła głową. Podeszedł ze spuszczoną głową do drzwi kuchni. Kiedy tam dotarł, zatrzymał się na moment, ale się nie odwrócił.

- Dzięki - powiedział. - To mnie wyssało...

- Wiem.

Michael zaśmiał się gorzko.

- Shane powiedziałby, że to raczej ja wysysam.

- Nie jestem Shane'em.

- Wiem. - Nadal się do niej nie odwracał. - Cieszę się, że jesteś z nim szczęśliwa. To dobry chłopak.

- Michael...

Ale kiedy wypowiedziała jego imię, wampira już nie było, tylko drzwi huśtały się na zawiasach. Nie było sensu go gonić. Chciał pomartwić się w samotności.

Zadzwoniła do Shane'a i powiadomiła go o godzinie wyjazdu, ale nie wspomniała o Oliverze. Tak naprawdę nie chciała się tym jeszcze martwić. Poszła na wykłady. Po serii porannych miała dwie godziny przerwy, podczas której musiała coś załatwić, aby móc z czystym sumieniem opuścić miasto.

A poza tym czekała na ten moment od chwili, kiedy wpadła na ten pomysł.

Krok pierwszy - przeszła z kampusu do Common Grounds, kawiarni Olivera, i zamówiła mokkę. Stał za barrem, wysoki, starszy mężczyzna, o długich włosach i farbowanej ręcznie koszulce pod poplamionym kawa fartuchem. Patrząc, jak obsługuje gości, nikt nie zgadłby, że widzi wampira i to jednego z najgorszych, jakiego Claire w życiu spotkała.

Z kawą w ręku zaesemesowała do Moniki. „Spotkajmy się w Common Grounds, szybko”.

Natychmiast dostała odpowiedź: „Idę, zachowuj się!”

O, i to jak się zachowa!

Claire popijała kawę i czekała. W końcu podjechała Monica w czerwonym, błyszczącym kabriolecie. Tym razem bez Giny i Jennifer. Wyglądało na to, że Monica coraz częściej obywa się bez swoich przybocznych. Ciekawe... Claire podejrzewała, że w końcu zmęczyło je nieustanne przytakiwanie Monice.

Monica weszła do środka w zdecydowanie zbyt krótkiej, ale pokazującej jej długie, opalone nogi, spódnicy. Podmuch wiatru sprawił, że osiągnęła prawie zakazaną długość. Zsunęła drogie ciemne okulary na błyszczące, ciemne włosy i rozejrzała się po kafejce. Uśmiezek na jej wydatnych wargach był pewnie odruchowy.

Po zamówieniu kawy usiadła naprzeciwko Claire.

- No i? - zapytała, kładąc na stoliku miniaturową torebkę. - Lepiej, żeby to było ważne.

Kiedy Oliver przyniósł Monice kawę, Claire poprosiła:

- Poświęcisz nam chwilę?

- Co?

- Jako moderator. - Oliver doglądał umów, jakie zawierano w Morganyville. A

Common Grounds było głównym

miejszem, w którym ludzie i wampiry mogli się spotkać,

36

bezpiecznie pogadać i zawrzeć najróżniejsze układy, których świadkiem i egzekutorem był Oliver.

Jednak rzadko się zdarzało, że między ludźmi. Oliver wzruszył ramionami i dosiadł się do stolika.

- Dobra, tylko szybko.

Monica była wściekła, więc Claire zaczęła mówić:

- Monica umówiła się ze mną, że dostanie ode mnie odpowiedzi do testu. Chcę, żebyś był świadkiem, jak je przekazuję.

Oliver zmarszczył brwi i zaczął wyglądać na lekko rozbawionego:

- Prosisz mnie, żebym był świadkiem organizowania ściąg? Jak... oryginalnie.

Claire mówiła dalej. Przesunęła pendrive'a w stronę Moniki:

- Jest na nim plik - powiedziała. - Zabezpieczony hasłem. Jeśli zgadniesz hasło, będziesz miała odpowiedzi.

Monice opadła szczęka.

- Co?

- Powiedziałaś, że mam ci dać odpowiedzi. I tak zrobiłam. Chciałam, żeby Oliver widział, jak ci je przekazuję.

Teraz je masz i jesteśmy kwita. Jasne?

- Zabezpieczyłaś je hasłem?

- Takim, które możesz bez trudu zgadnąć - dodała

Claire. - Jeśli odrobiłaś pracę domową. Albo umiesz szybko czytać.

- Ty mała zdiro! - Monica wyciągnęła gwałtownie dłoń, ale nie po pendrive'a, tylko rękę Claire. Rozpłaszczyła ją na stole i wbiła jej paznokcie głęboko w skórę. - Mówiłam, że przysmażę cię na wolnym ogniu.

- W twoim przypadku wiem, że na pewno nie są to puste słowa - stwierdziła Claire. - Alyssa Collins jest tego przykładem.

Monica zamarła i coś błysnęło w jej oczach - szok? A może nawet żal i poczucie winy.

- Nie biorę tego. Musisz mi dać niezabezpieczone hasłem odpowiedzi.

Oliver chrząknął.

- Czy ustaliłaś, w jakiej formie ma ci dać odpowiedzi?

- Nie - odezwała się Claire. - Powiedziała tylko, że mam je dać. No i dałam.

Przyznaj, że i tak zrobiłam to ładnie. Mogłam je na przykład napisać po łacinie!

- Puść ją - powiedział spokojnie Oliver. A gdy Monica nie zareagowała, powtórzył lodowatym tonem. - Puść ją!

Zabrała dłoń, spojrzała groźnie na Claire i dodała przez zaciśnięte zęby:

- To nie koniec.

- Owszem - oświadczył Oliver. - To nie jej wina, że marnie wyjaśniłaś, o co ci chodzi. Spełniła twoje warunki.

Masz nawet niezłe szansę na to, że rozwiążesz hasło. Bierz to i spływaj, Monica.

37

- To nie koniec. - Monica go zignorowała. A kiedy sięgnęła po pendrive'a, blada, silna dłoń Olivera zacisnęła się na jej palcach, unieruchamiając ją. Monica krzyknęła. To musiało boleć.

- Spójrz na mnie - powiedział Oliver. Monica mrugnęła i skupiła na nim wzrok. Claire widziała, jak rozszerzają się jej źrenice i rozchylają usta. - Monico Morrell, jestem za ciebie odpowiedzialny. Masz mnie szanować i słuchać. I zostawisz Claire Danvers w spokoju. Jeśli będziesz miała powód, by ją zaatakować, najpierw mnie o tym poinformujesz. Ja zdecyduję, czy możesz to zrobić. I nie masz mojej zgody. Nie na to. - Puścił ją. Monica poderwała rękę z blatu i przycisnęła ją do piersi. - A teraz zabierać swoje sprawy i kawę gdzie indziej. Mówię do was obu.

Monica sięgnęła po pendrive'a. Kiedy go złapała, odezwała się Claire:

- Pendrive kosztował dziesięć dolców. - Spojrzenie Moniki miało siłę rażenia bomby atomowej, ale ponieważ Oliver wciąż z nimi siedział, pogrzebała w swojej torebeczce, wyciągnęła pognieciony banknot dziesięciodolarowy i rzuciła go Claire. Ta wygładziła go, uśmiechnęła się i schowała pieniądze do kieszeni.

- Skończyłyście wreszcie? - spytał Oliver. - To wychodzić. Monica, idziesz pierwsza. Nie chcę, żebyś coś nabroiła. Nie jestem twoją niańką.

Monica rzuciła mu spojrzenie nieco łagodniejsze od po-przedniego. To było bardziej przestraszone niż złe. Wzięła torebkę i kawę i wyszła. Nie oglądając się za siebie, wsiadła do swojego kabrioletu i ruszyła z piskiem opon.

- Któregoś dnia przeciągniesz strunę - stwierdził spokojnie Oliver, wciąż wpatrując się w ulicę. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

W gruncie rzeczy wiedziała o tym. Ale czasem po prostu nie dało się inaczej.

- Czyli jedziesz dziś z nami?

Tym razem Oliver odwrócił się w jej stronę, a w jego spojrzeniu było coś tak zimnego i

odległego, że aż zadrżała.

- Słyszałaś, jak kazałem wam się stąd zbierać? Nie lubię, jak się mnie wykorzystuje do rozwiązywania własnych problemów.

Przełknęła ślinę, zebrała swoje rzeczy i wyszła.

Popołudnie spędziła z Myrningiem w jego laboratorium szalonego naukowca. Od kiedy je odnowił, sprawiało całkiem przyjemne wrażenie. Nowy sprzęt, komputery, ładne regały na książki, porządne oświetlenie zastąpiło dziwolągi z końca XIX wieku, strzelające iskrami za każdym razem, gdy próbowało się je włączyć albo wyłączyć. Ale bez względu na nowy wystrój Myrning pozostał co najmniej na wpół szalony. Claire wiedziała, że Amelie wywiera na niego presję. Po śmierci... czy komputery mogą umrzeć? Po śmierci Ady, głównego komputera miasta, próbował wymyślić coś na jego miejsce. Tym razem bez umieszczania w nim ludzkiego mózgu, na co bardzo nacięła Claire, wiedząc, jak dobrze sprawdziło się to rozwiązanie z Adą, i

38

biorąc pod uwagę fakt, że mózg Claire był najpewniej następnym kandydatem na to stanowisko.

- Komputery... - prychnął Myrning i wskazał na przygotowanego dla niego przez Claire laptopa, obrzucając go takim wzrokiem, jakby osobiście go zniewazył. - Ta technologia jest kompletnie idiotyczna. Kto to zbudował? Pawiany?

- Działa poprawnie - - odpowiedziała Claire, wzięła komputer, aby uruchomić stworzony przez siebie interfejs. - Musisz mi tylko wyjaśnić, jak Ada była połączona

z portalem i systemem bezpieczeństwa, a ja zbuduję jakiś

łącznik. Możesz to uruchomić z tego ekranu, widzisz? - Umówiła się nawet z pewnym studentem sztuk pięknych na uniwerku, aby zaprojektował interfejs w stylu steam punku,

bo uznała, że skrzyżowanie stylu wiktoriańskiego z elementami technologii zostanie dobrze przyjęte przez wampira.

Myrning nadal się na to krzywił, ale już nie tak stanowczo. -

Wypróbuj go. Po prostu dotknij ekranu.

Wyciągnął rękę i dotknął palcem ikony tarczy na ekranie. Pojawiło się okno bezpieczeństwa, całe w porzewiałym żelazie i wymyślnych kołach zębatych. Chrząknął i nacisnął ponownie.

- I tym mam obsługiwać oprogramowanie...

- Tak, to GIU - Graficzny Interfejs Użytkownika.

- I ten program będzie w stanie wykrywać wampiry

i ludzi, i ich rozróżniać?

- Tak. Wykorzystamy po prostu technologię wykrywania ciepła. Wampiry mają niższą temperaturę ciała. Łatwo zauważyć różnicę.

- Czy da się to obejść?
- Wszystko da się obejść. Ale ta metoda jest naprawdę niezła.
- A co ze zmianami w pamięci?

To był problem. I to duży.

- Obawiam się, że tego z komputerem nie da się zrobić.

No wiesz, to chyba kwestia czegoś w umyśle wampirów, prawda? - Bo prawdę mówiąc, Ada była wampirem. A maszyna, którą Myrnin zbudował, aby jej mózg pozostał przy życiu, pozwalała jakoś przekazywać moc wampirów na szerszą skalę. Claire nie do końca to rozumiała, ale wiedziała, że to działa... a raczej] działało.

- To zdecydowany minus. A co to? - Myrnin dotknął ikony przedstawiającej radar. Nic się nie stało.

- To system wczesnego ostrzegania, ma informować, czy ktoś nie zbliża się do miasta. Na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?
- Na przykład kolejnej wizyty Bishopa.

Myrnin uśmiechnął się, odchylił na krześle i złożył ręce na kolanach.

- Nie ma kogoś takiego, jak Bishop. Na szczęście. I to świetna robota, Claire, ale nie rozwiązuje podstawowego

39

problemu. Urządzenie do rozpoznawania potrzebuje oprogramowania pozwalającego na usunięcie niebezpiecznych myśli. I nie znam żadnego sposobu, który by na to pozwalał, poza połączeniem elektronicznego interfejsu z biologiczną bazą danych.

- Mózgiem...
- No, technicznie rzecz ujmując, tak.

Claire westchnęła.

- Nie załatwię ci mózgu, nie jestem takim typem asystentki, doktorze Frankenstein. Możemy spojrzeć jeszcze raz na schemat?

Schemat był tak naprawdę gigantycznym diagramem na wielkich kartkach, ciągnącym się przez całą długość laboratorium. Skrupulatnie wynotowała na nim wszelkie „jeśli, to, i oraz/albo” które Myrnin był w stanie jej opisać.

Był gigantyczny, naprawdę. I nie była wcale taka pewna, czy da się zbudować maszynę. Tyle że Myrnin już raz to zrobił, z Adą.

Po prostu chciała usunąć z równania ten obrzydliwy element, jakim był mózg.

- Tak jest prościej - upierał się Myrnin, kiedy szli wzdłuż wykresu. - Mózg jest zdolny do przeliczania nie-zwykłej liczby kalkulacji na sekundę i może do tego włączać zmienne i czynniki, których zwykły komputer nie potrafi. To najlepszy przykład maszyny liczącej, jaka została kiedykolwiek stworzona. Nieużywanie jej byłoby głupotą.

- No cóż, mojego mózgu do tej maszyny nie wsadzisz.

Nigdy.

- Nie zrobiłbym tego. - Myrnin strzepnął jakiś pyłek ze swojej lśniącej kamizelki. - No chyba że to byłoby jedyne rozwiązanie, albo gdybyś już go nie używała.

- Nigdy! Obiecuj.

Wzruszył ramionami.

- Obiecuję. - Nie brzmiało to przekonująco. Obietnice

Myrnina były raczej... dość elastyczne. - Wyjeżdżasz na resztę tygodnia?

- Tak, dzisiaj ruszamy. Dasz sobie radę?

- A czemu nie? - Splótł dłonie za plecami i zaczął chodzić w tę i z powrotem, przyglądając się schematom. Tego

dnia miał na sobie szorty i, oczywiście, klapki - od pasa

w dół wyglądał zupełnie jak jakiś bezdomny surfer, natomiast powyżej sprawiał wrażenie lorda z czasów edwardiańskich. To było dziwne i takie Myrninowe. - Nie jestem

dzieckiem, Claire. Nie musisz się mną opiekować, wierz mi.

Ale jakoś nie mogła. Owszem, był stary. Owszem, był wampirem. Owszem, był szalony i genialny, ale ta szalona część była zawsze równie silna, albo nawet silniejsza niż ta genialna. Nawet teraz.

- Nie zrobisz nic głupiego, prawda? - zapytała go.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Wyglądał tak niewinnie.

40

- A po cóż miałbym coś takiego robić? - Zdziwił się. - Baw się dobrze, Claire. Jak wrócisz, praca będzie na ciebie czekała.

Wyłączyła i zamknęła laptopa, a następnie zaczęła go chować do plecaka. Myrnin w końcu skinął w stronę ma-szyny.

- To nie jest takie złe - stwierdził. - Na początek.

- Dzięki. - Była trochę zaskoczona. Myrnin rzadko sypał komplementami. - Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. A czemu miałoby być inaczej?

Z jego humorem było coś nie tak. Począwszy od wizyty u jej rodziców, a skończywszy na spacerowaniu po laboratorium, nie był w typowym dla siebie, postrzelonym maniakałnym stanie. Był w zupełnie innym, postrzelonym maniakałnym stanie.

- Żałuję, że z tobą nie jadę - rzekł w końcu. - No, powiedziałem to. A teraz możesz się ze mnie wyśmiewać do woli.

- Serio? Ale my tam jedziemy tylko dla Michaela. - Kłaniała. To była ich szansa na wydostanie się z Morganville i zakosztowanie życia w prawdziwym świecie. Wiedziała, że

poczucie wolności będzie wspaniałe, nawet jeśli tylko na chwilę. - Nie mógłbyś też pojechać?

Usiadł w swoim skórzanym fotelu, nałożył okulary i sięgnął po jakąś książkę ze sterty leżącej na biurku.

- Mógłbym? - zapytał. - Jeśli Amelie nie chciałaby, żebym wyjeżdżał? Nie sądzę.

Claire nigdy nie pomyślała o tym, że Myrnin może czuć się uwięziony w Morganville tak samo, jak wszyscy inni. Zdawał się... panować nad sytuacją, a zarazem był zupełnie nieopanowany. Ale uświadomiła sobie, że spośród wszystkich mieszkańców miasta to właśnie Myrnin miał najmniejsze szansę na uzyskanie zgody Amelie na wyjazd. Miał zbyt dużą wiedzę i był zbyt szalony.

Biorąc pod uwagę, jak ostrożna była Amelie, nie można było się spodziewać, że zaryzykuje coś takiego. Nie, Myrnin, spośród wszystkich w Morganville, byłby ostatnim, który by opuścił miasto. No, może poza samą Amelie. Był jej... ulubieńcem? Nie, raczej jej atutem.

Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że Myrninowi taka sytuacja wcale nie musi się podobać.

- Przykro mi - powiedziała cicho. Machnął na nią tak, jak się odpędza kota, co sprawiło, że poczuła się lekko zagubiona. Naprawdę lubiła Myrnina, mimo że wciąż miała świadomość granic tej przyjaźni i jej niebezpieczeństw. -Zadzwoń, gdybyś...

- Po co? Żebyś przybiegła na moje wołanie? - Potrząsnął głową. - Nie sądzę. Poza tym to niepotrzebne. Idź Claire. Ja tu będę.

W jego tonie przebijała ponura nuta, która wcale jej się nie podobała, ale robiło się późno. A Michael kazał im się przyszykować na szóstą. Musiała wracać i się spakować.

41

Kiedy się obejrzała, Myrnin udawał, że czyta, ale tak naprawdę po prostu wpatrywał się w przestrzeń. W jego twarzy było coś tak okropnie smutnego, że prawie zawróciła...

Ale się pohamowała.

Rozdział 4

Claire zastała Dom Glassów w kompletnym chaosie. Główną przyczyną tego byli Eve i Shane, toczący boje muzyczne i przekrzykujący się. Eve wybrała Korn; Shane kontratakował „Macareną” na cały regulator. Michaela nigdzie nie było widać, ale jego gitary w futerałach leżały w salonie, razem z workiem marynarskim i lodówką, która sprawiała całkiem niewinne wrażenie. Tyle że Claire nie była pewna, co może być w środku i nie odważyła się jej otworzyć, żeby to sprawdzić.

Odłożyła plecak, który i tak postanowiła zabrać ze sobą, i pobiegła na górę. Eve stała po kostki w stercie ubrań, na łóżku miała otwartą walizę, trzymała dwie tak samo wyglądające bluzki i marszczyła brwi. Śmiertelne niedecydowanie modowe. Claire wpadła do pokoju, klepnęła przyjaciółkę w prawe ramię, a Eve posłała jej wdzięczny uśmiech i wrzuciła bluzkę do walizki. Muzyka grała tak głośno, że nie dało się rozmawiać.

Kiedy mijala pokój Shane'a, zobaczyła, że leży rozciągnięty na łóżku. Też miał taki marynarski worek, jak Michael, ale ten był brązowy, a nie niebieski. Shane wyglądał na znudzonego. Dopiero na jej widok się rozpromienił.

- Doprawdy? - krzyknęła. - Macareną?
- To wojna! - odrzyknął. - Musiałem wytoczyć ciężkie działa. Następny będzie Barry Manilow!

Claire wyłączyła stereo, pozwalając, aby Korn wypełnił cały dom. Po kilku chwilach również Eve ściszyła.

- Widzisz, jakie to było proste? - zauważyła Claire.
- Co? Poddanie się? Poddanie się jest zawsze proste.

To pokój, który następuje później, jest do kitu. - Shane zsunął się z łóżka i poszedł za nią do jej pokoju. - Jak było?

- Co?
- Wszystko.
- No wiesz. - Wzruszyła ramionami. - Normalnie.

Taa... Wmanipulowała drugiego co do potęgi wampira

42

w mieście, aby wziął jej stronę przeciwko psychopatycznej królowej studentek. Prowadziła racjonalną rozmowę na temat umieszczania ludzkich mózgow w komputerach. To był normalny dzień. Trudno się dziwić, że była taka pokręcona.

- A twój dzień?
- Żeberka. Deska do krojenia. Tasak. Świetnie.

Spakowana?

- Widziałeś, jak wchodziłam?

- Och... Tak... To pewnie znaczy nie.

Usadowił się na łóżku, podczas gdy ona otworzyła swoją wysłużoną walizkę i zaczęła się pakować. To nie było trudne. W przeciwieństwie do Eve nie była maniaczką ubrań. Miała kilka porządných bluzek, trochę mniej porządných i kilka par dżinsów.

Zapakowała swoją jedyną spódnice, wraz z pasującymi do niej butami i kabaretkami. Shane patrzył, z rękami zaplecionymi pod głową.

- Nie zamierzasz mi sugerować, co mam zabrać? - zapytała. - Bo uznałam, że właśnie po to za mną idziesz.

- Czy ja wyglądam, jakby mi odbiło? Przyszedłem za tobą, bo masz wygodniejsze łóżko. - Uśmiechnął się szerzej. - Chcesz sprawdzić?

- Nie teraz.

-

-

Ostatnia okazja, nim ruszymy w trasę.

Przestań!

- Co mam przestać?

- Wyglądać tak... - Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa. Wyglądał po prostu tak niesamowicie pociągająco jak tego dnia rano, kiedy tak trudno było jej go zostawić. -

Muszę wziąć rzeczy z łazienki.

- Powodzenia. Mam wrażenie, że Eve zabrała już wszystko, poza pianką do golenia.

Tak naprawdę nie wzięła wszystkiego. Po prostu Claire nie miała tak wiele rzeczy. Szampon i odżywka w jednym. Mała saszetka z kosmetykami, maszynka do golenia. Nie potrzebowała właściwie suszarki, a nawet jeśli, to Eve na pewno już jedną spakowała. Albo dwie... Sądząc po rozmiarze jej walizki, Eve planowała zabrać wszystko, co posiada.

W sypialni Claire już miała zamknąć walizkę, kiedy się powstrzymała i zmarszczyła brwi.

- Co wzięłeś? - zapytała. - No wiesz, z zabezpieczeń?

Shane podciągnął się na łokciach.

- Co, hm... w sensie zabezpieczenie?

- Nie! - Poczuła, że twarz jej płonie, od razu pomyślała o tym, co robili tego

ranka. - Mówię o wampirach, które

moglibyśmy spotkać. No wiesz.

- Mam kołki na dnie worka - odpowiedział. - Mam też

kilka butelek azotanu srebra. Powinno starczyć. Nie że-

43

by tam, gdzie jedziemy, wampiry stanowiły poważny problem.

Może i nie, ale życie w Morganville sprawiło, że nie zapominano o środkach bezpieczeństwa. Claire nie mogła sobie wyobrazić nieplanowania czegoś na taką okazję, a nie została nawet tutaj wychowana. Była zaskoczona, że Shane wydawał się taki... spokojny.

No, ale Shane spędził poza Morganville dwa lata. Nie były to może dwa dobre lata, ale przynajmniej wiedział coś na temat tego, jak się żyje gdzie indziej. A przynajmniej więcej niż Michael i Eve. Claire pogrzebała w szufladzie z bielizną, wyciągnęła cztery posrebrzane kołki i wrzuciła je na wierzch walizki.

Na wszelki wypadek. Shane z aprobatą uniósł kciuki do góry. Zatrzasnęła walizkę i zamknęła ją, po czym z trudem ściągnęła z łóżka. Bagaż okazał się cięższy, niż przypuszczała, a nie miał kółek. Shane, nieproszony, zsunął się z łóżka i wziął od niej walizkę. Podniósł ją jak piórko, poszedł do swojego pokoju, złapał worek i skierował się w stronę schodów. Przechodząc obok pokoju Eve, zajrzał do środka, pokręcił głową i krzyknął:

- Z tym ci na pewno nie pomogę!

Gdy Claire zajrzała do pokoju, zrozumiała czemu. Eve zdołała zamknąć walizkę, ale była wielka jak spory kufer podróżny.

Przynajmniej miała kółka.

Kiedy Shane i Claire zeszli na dół, zastali tam Michaela. Shane odstawił pakunki i stwierdził:

- Chłopie, lepiej idź zawalczyć z walizą swojej dziewczyny.

Zniósłbym ją, ale jakoś nie mam ochoty wylądować na wyciągu.

Michael uśmiechnął się szeroko i powędrował na górę. Wrócił, niosąc walizkę tak, jakby nic nie ważyła.

Claire zauważyła, że waliza była zupełnie nowiutka, i pooblepiana białymi czaszkami i znakami ostrzegającymi o skażeniu. Taa, na pewno należała do Eve. No i oczywiście była czarna.

- Przegryzki! - krzyknęła Eve i pognała do kuchni.

Wróciła z pełną torbą.

- Jedzenie na drogę. Wierzcie, niezbędne. Ach! No i picie, potrzebujemy picia! - Spostrzegła przenośną lodówkę. - Ok, Michael nie potrzebuje, ale reszta tak. Kiedy ładowali drugą przenośną lodówkę ze zwykłymi napojami, ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyła Claire i ujrzała stojącego na

progu Olivera. Wciąż świeciło słońce, ale miał na sobie kapelusz i długi czarny płaszcz, co wcale nie łagodziło jego ponurego wizerunku. Związane z tyłu włosy musiał wsunąć pod kapelusz. Przez chwilę zastanawiała się, czy są łatwopalne, jak reszta ciała. Czas sprawił,

że uodpornił się na promienie, ale słońce nadal mogło mu zaszkodzić, a gdyby nie mógł się przed nim schronić, w końcu stanąłby w płomieniach.

Wszedł, nie czekając na zaproszenie.

44

- Taa, witamy - westchnęła Claire i zatrzasnęła drzwi. -Szykujemy bagaże. Ehm... to wszystko, co przyniosłeś?

Miał tylko jedną torbę, mniejszą nawet niż te Michaela i Shane'a.

Oliver nie raczył jej odpowiedzieć. Minał ją i wszedł do salonu, kierując się w stronę Michaela. Eve i Shane, którzy spierali się o to, czy lepiej zapakować colę, czy mrożoną kawę w butelkach, zamilkli, a Claire do nich dołączyła.

- Chyba nie zamierzacie zabrać tego wszystkiego? -

spytał Oliver, patrząc na stertę rzeczy na podłodze. Claire

musiała przyznać, że sporo się tego nazbiera, głównie dlatego, że waliza Eve była wielkości Rhode Island, ale inni też mieli sporo rzeczy. - Zmieszczą się?

- Mam olbrzymi bagażnik - odezwała się Eve. - Starczy miejsca.

Oliver pokręcił głową.

- Nie cierpię podróżować z amatorami - stwierdził. -

No dobra. Pakujcie bagaże do samochodu. Michael i ja po-
czekamy w środku do zachodu słońca.

Zachowywał się, jakby tu dowodził, co było denerwujące, ale w gruncie rzeczy, on rzeczywiście dowodził. Amelie wyznaczyła go na eskortę, a to oznaczało, że mógł nimi dyrygować, jak chciał. Raj dla Olivera. A piekło dla pozostałych.

Claire wzruszyła ramionami, po czym wzięła walizkę i plecak i poszła przodem. Pakowanie samochodu było dużym wyzwaniem. Upchnięcie potężnej walizy Eve zajęło im mnóstwo czasu. Wreszcie udało się, a nawet zmieściło się wszystko inne, łącznie z gitarami i lodówkami. Cała trójka na koniec była spocona, wkurzona i wykończona, ale kiedy uporali się z bagażami, słońce już zaszło.

Nikt nie chciał usiąść na przednim siedzeniu. Zajął je Oliver, Michael usiadł za kierownicą, a Eve, Claire i Shane zajęli tylną kanapę. Nawet nie było im ciasno.

- Przepustki - rzucił Oliver i wyciągnął rękę. Michael oddał mu je, a Oliver przyjrzał im się tak, jakby nie dowierzał, że dostali zgodę na opuszczenie miasta. - Świetnie, ruszajmy.

- Muzyka! - zawołała Eve. - Potrzebujemy...

- Żadnej muzyki! - zachnął się Oliver. - Nie będę się katował tym, co uznajecie za muzykę.
- Co? Wiem, że to tylko przebranie, ale nawet jako hipis jesteś beznadziejny - obruszyła się Eve.
- Może chociaż

Beatlesi albo coś w tym guście?

- Nie.
- To będzie naprawdę długa podróż - stwierdził Shane, po czym objął Claire i Eve, jako że siedział po środku. - Przynajmniej ja mam wszystkie laski. Tylna kanapa dla zwycięzców.
- Zamknij się - warknął Michael.

45

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Chodź tu i mnie zmusz, tatuśku.

Michael i Shane zrobili obraźliwe gesty, po czym Michael odpalił silnik i zjechał z krawężnika. Eve pisnęła i zaklaskała.

Oliver odwrócił się i rzucił jej ponure spojrzenie. Zdjął kapelusz i odłożył na deskę rozdzielczą, obok figurki kiwającego główką szkieletu.

- Dość tego. Starczy mi, że jestem z wami, dzieciaki, uwięziony w jednym samochodzie. Spróbujcie przynajmniej nie zachowywać się jak dzieci.

- Oliver - odezwał się Michael. - Daruj sobie. Wyjeżdżamy z miasta po raz pierwszy w życiu. Daj nam się tym trochę nacieszyć.

- Tylko dla niektórych z was to pierwszy wyjazd - odpowiedział Oliver i wyjrzał przez okno. - Dla niektórych z nas nie jest to aż takie wielkie przeżycie.

Było w tym trochę prawdy, ale Claire poczuła, że radość Eve była zaraźliwa. Michael się uśmiechał. Shane'owi odpowiadała rola luzaka na tylnym siedzeniu. A ona... zostawiała za sobą Morganville, przynajmniej na jakiś czas.

Na rogatkach Claire patrzyła, jak zbliżają się do znaku „Witajcie w Morganville”. Z tej strony brzmiał „Prosimy, nie opuszczajcie nas tak szybko!”

Śmignęli obok niego z prędkością co najmniej siedemdziesięciu, a może nawet osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Za znakiem stał radiowóz - ktoś z podkomendnych Hannah Moses. Claire zabrakło na chwilę tchu, ale zobaczyła tylko, że policjant machnął im ręką, a Michael nawet nie zwolnił.

Morganville. Za nimi.

Tak po prostu.

To nie powinno być takie proste, pomyślała Claire. Po tym wszystkim, wszystkich walkach, terrorze i groźbach.

Po prostu... odjechali.

Michael włączył radio i znalazł jakąś rzeżącą stację rockową. Ignorując groźne spojrzenie Olivera, zrobił głośniejsze. Wkrótce wszyscy razem śpiewali *Born to be Wild*, drąc się na całe gardło. Oliver do nich nie dołączył, ale też nie robił problemów. Claire była prawie pewna, że kilka razy widziała, jak jego usta bezgłośnie cytują słowa piosenki.

Zachód słońca był cudowny, pokrył niebo najróżniejszymi odcieniami pomarańczy, czerwieni i złota, by w końcu zgasnąć w granacie. Claire opuściła szybę i powąchała chłodne, świeże powietrze o zapachu pyłu i szalwii. Morganville otoczone było stepową pustynią. Po horyzont nie widać było nic poza płaską, pustą przestrzenią i czarną, dwujezdniową szosą biegnącą prosto jak strzała.

- Musimy się trochę pokręcić po bocznych drogach - odezwał się Michael, kiedy piosenka się skończyła, a następna nie nadawała się specjalnie do śpiewania. - A za jakieś dwie godziny powinniśmy być na międzystanowej autostradzie.

46

- Jesteś pewien, gdzie masz jechać? - zapytał Shane. -

Bo nie chcę się obudzić w Zatoce Meksykańskiej.

Michael go zignorował, a Claire ułożyła się wygodnie na swoim miejscu, zrelaksowana i spokojna. Wyjechali. Naprawdę opuścili Morganville. Czowała tę samą niepohamowywaną radość i ulgę u Shane'a, jak i u siedzącej po jego drugiej stronie Eve, której ciemne oczy aż błyszczały z podniecenia. Claire uświadomiła sobie, że Eve marzyła o tej chwili przez całe życie. Może nie o tym, że wyląduje w jednym samochodzie z Oliverem, ani że Michael będzie wampirem, ale opuszczenie miasta z Michaeliem było jednym z dziesięciu największych marzeń Eve.

I oto spełniło się, przynajmniej mniej więcej, co tylko wskazywało na to, że dziesięć największych marzeń może zamienić się w zupełnie inne wrażenia, niż się kiedykolwiek spodziewaliśmy.

- Wyjechaliśmy - odezwała się Eve, prawie do siebie. -

Wyjechaliśmy, wyjechaliśmy, wyjechaliśmy.

- I wróćcie - dodał Oliver i odwrócił się, by wyrzecz

przez okno. - Wszyscy wracacie, w końcu.

- Nawet jak na wampira jesteś wprost uosobieniem pozytywnego myślenia - stwierdził Shane. - No to co, chyba

pora się zastanowić, co będziemy robić w Dallas.

- Wszystko! odpowiedziała natychmiast Eve.

Wszystko, wszystko, wszystko. A potem wszystko inne.

- Hej, przyhamuj, droga panno. Mamy, ile? Stówę na nas dwoje? Jestem pewien, że przyjęcia all-inclusive kosztują więcej.

- Och. - Eve wyglądała na zaskoczoną tak jakby w ogóle nie pomyślała o pieniądzach. A znając Eve, właśnie tak było. - No to przynajmniej musimy iść do jakiś dobrych klubów, dobra? I na zakupy. No i oni tam mają naprawdę dobre kina! - Kina? - powtórzył Michael patrząc w lusterko wsteczne. - Mówisz serio,

Eve?

- Co? Kaskadowe siedzenia! Cyfrowy obraz. Trójwymiarowy! I w ogóle.

- Zamierzasz zmarnować swoją pierwszą wyprawę poza Morganville w kinie?

- No wiesz... te kaskadowe siedzenia! No dobra, dobra. Muzea, koncerty.

Kultura. Lepiej?

Shane potrząsnął głową.

- Nie bardzo. A gdzie zabawa, Eve?

- To jest zabawa!

Oliver westchnął i oparł głowę o szybę:

- Jeśli się nie zamkniecie, to jedno z was będzie szło do

Dallas na piechotę.

- Hej, kto dziś wstał lewą nogą z trumny? - odcięła się Eve. - No? Ty jesteś ekspertem. Gdzie byś poszedł? Oliver wyprostował się i odwrócił w jej stronę:

- Słucham?

- Pytam cię o zdanie. Pewnie wiesz, gdzie są najlepsze miejsca, gdzie należy się wybrać.

47

- Ja... - Olivera zatkało, co było nawet całkiem zabawne. Claire nie próbowała nawet zgadnąć, kiedy ostatnio

przytrafiło mu się coś podobnego. Pewnie nie w przeciągu ostatnich kilku wieków. - Pytasz mnie o zdanie? Co należy robić w Dallas?

- Tak.

Wpatrywał się w Eve przez długi moment, po czym się odwrócił.

- Nie sądzę, aby nasze gusta były podobne. Jesteście za młodzi na bary i za starzy na place zabaw. Nie mam pojęcia, co mogłoby wam się podobać. - Po krótkiej przerwie dodał: - No chyba że centra handlowe.

- Centra handlowe! - Eve prawie to wykrzyczała, po czym zakryła usta dłońmi. - O Boże, zapomniałam o centrach handlowych. Z prawdziwymi sklepami. Możemy iść do centrum handlowego?

- Którego?

- Mają więcej niż jedno? Okej, ehm... takie, w którym jest sklep Hot Topie.

Oliver, z tego co widziała Claire, prawie się uśmiechnął.

- Myślę, że to się da załatwić.

- Świetnie - westchnął Shane i głowa opadła mu na siedzenie. - Centrum handlowe. Właśnie tego zawsze pragnąłem.

Claire wyciągnęła do niego rękę i splótła z nim palce.

- My możemy robić coś innego. - A kiedy spojrzał na nią, uświadomiła sobie, że wszyscy inni też na nią patrzą, zaczerwieniła się i dodała. - Ukulturalnić się. No wiesz.

Wystawy, muzea. Tam jest świetne muzeum nauki, które chciałabym zwiedzić.

- W całym mieście nie ma ani jednego sklepu z grami wideo?

- Może najpierw tam dojedźmy? zasugerował

Michael.

To był dobry pomysł, uznała Claire, kiedy ostatnie kolory zniknęły z nieba i nastąpiła noc. To był naprawdę dobry pomysł.

Przysnęła na chwilę. Obudziła się, gdy samochód szarpnął, wpadł w poślizg i usłyszała pisk opon. Wciąż próbowała zrozumieć, co się stało, gdy Oliver rzucił:

- Zjedź na pobocze.

- Co? - W mdłym świetle padającym z deski rozdzielczej Michael wyglądał jak duch o szeroko otwartych oczach i zaciętej twarzy.

- Nigdy nie prowadziłeś samochodu poza Morganville.

A ja tak. Zatrzymaj się. Wampirze odruchy prędzej doprowadzą cię do wypadku, niż przed nim uchronią. Ludzie nie potrafią reagować tak jak ty. Potrzeba praktyki, żeby móc bezpiecznie jeździć obok ludzi na trasach szybkiego ruchu.

Najwyraźniej Michael próbował wyprzedzić samochód. No, no. Claire jakoś nigdy nie przyszło do głowy, że wampirze odruchy i szybkość mogą być wadą, a nie zaletą. Michael

48

musiał się naprawdę wystraszyć, bo zgodził się z Oliverem. Zjechał na pobocze. Pod kołami zagrzecotał żwir. Michael wysiadł z samochodu i zamienili się z Oliverem miejscami. Oliver sprawdził położenie lusterek z wprawą starego wyjadacza, wyjechał na szosę i wszystko znów toczyło się swoim rytmem. Claire spojrzała na swoich towarzyszy z tylnej kanapy. Eve miała słuchawki na uszach i zamknięte oczy. Shane mocno spał. Stwierdziła, że zrobiło się tak... spokojnie. Wyrzała za okno, w noc. Księżyc był w pierwszej kwadrze, więc nie było zbyt jasno, ale i tak srebrny blask rozświetlał piasek i kolczaste rośliny. Wszystko w świetle reflektorów było takie jaskrawe. Wszystko inne zdawało się tylko cieniem i dymem.

Stwierdziła, że to zupełnie jak podróż kosmiczna. Co jakiś czas po środku niczego dało się dojrzeć samotny, rozświetlony dom. Ale przez większą część drogi byli zupełnie sami.

Oliver zjechał z dwujezdniowej szosy, pewnie po to, żeby dojechać do autostrady międzystanowej. Nie pytała, dopóki nie minęli znaku drogowego ze strzałką wskazującą kierunek na Dallas.

Strzałka wskazywała w lewo. A oni pojechali prosto.

- Hej - odezwała się. - Hej, Oliver? Chyba przegapiłeś nasz zjazd.

- Nie potrzebuję rad.

- Ale znak...

- Musimy zrobić krótki postój.

- Chwila, chwila, jaki postój? - Najwyraźniej Michael

nic o tym nie wiedział. To wcale nie uspokoiło Claire. - O co

chodzi, Oliver?

- Spokój, wszyscy. To nie wasza sprawa.
- Nasz samochód - zauważył Michael. - I my w nim siedzimy. Jednak wygląda na to, że to nasza sprawa. Mów, gdzie nas zabierasz i po co?

Obudził się Shane, pewnie wyczuwając napięcie w głosie Michaela. Mrugnął kilka razy, przetarł ręką twarz i wychylił się do przodu. - Coś nie tak?

- Owszem - odpowiedział Michael. - Porwano nas.

Shane powoli się wyprostował i Claire czuła, jak wzbiera w nim napięcie.

- Uspokójcie się wszyscy - odezwał się Oliver. - To złe-cenie od Amelie. Muszę załatwić drobną sprawę. Nie zajmie to dużo czasu.

Eve, która wyciągnęła z ucha słuchawkę, ziewnęła szeroko i powiedziała:

- Nie mam nic przeciwko rozprostowaniu nóg. Nie obraziłabym się też na łazienkę.

- Jaką drobną sprawę? - spytał Shane. Nadal był spięty, uważny i nie dowierzał Oliverowi. Wampir posłał mu zimne spojrzenie we wstecznym lusterku.

- Was to nie dotyczy - odezwał się Oliver. - I bez dyskusji. Zamknąć się.

- Mikey?

Michael przyglądał się przez chwilę Oliverowi, aż w końcu stwierdził.

- Nie no, dobra. Wszystkim nam się przyda krótki postój.

49

- Zależy gdzie - odparł Shane, ale wzruszył ramionami i oparł się o kanapę. - Jak ty nie masz z tym problemu, to ja też nie.

Michael skinął głową.

- W porządku Oliver?
- Mówiłem, że to nie podlega dyskusji.
- Nas jest czwórka, a ty jeden. Może jednak powinno.
- Tylko jeśli na koniec chcecie się z tego spowiadać Amelie.

Michael nic nie odpowiedział. Jechali w ciemnościach, otoczeni mgiełką światła z reflektorów, aż w końcu w oddali ukazał się wyblakły, zielony znak drogowy. Claire zamruwała i zmrużyła oczy.

- Durram, Teksas - przeczytała. - To tam jedziemy?

- Bardziej mnie interesuje, czy mają tam całodobową stację? - jęknęła Eve. - Bo ja z tą łazienką wcale nie żartowałam.

- Musisz mieć pęcherz wielkości naparstka - stwierdził

Shane. - Zdaje mi się, że widzę znak.

Rzeczywiście, znaleźli stację benzynową z parkingiem dla ciężarówek i barem. Nie było to duże ani bardzo czyste miejsce, ale otwarte. Parking był zastawiony - sześć dużych tirów i całkiem sporo mniejszych ciężarówek. Oliver minął parking i zatrzymał się pod dystrybutorem paliwa.

- Zatankuj do pełna - zwrócił się do Michaela. - A potem zaparkuj i czekajcie na mnie w środku. Wrócę.

- Czekaj, kiedy?

- Jak tylko skończę. Jestem pewien, że znajdziecie jakiś sposób na zabicie czasu. - Otworzył drzwi i poszedł. Zniknął, gdy tylko opuścił krąg światła rzucanego przez stację.

- Moglibyśmy po prostu odjechać - zauważył Shane. - Zatankować i zniknąć. - I myślisz, że to dobry plan?

- Tak serio? Nie bardzo. Ale fajny.

- Fajny, bo może nas doprowadzić do śmierci?

Niektórych nawet szybciej niż innych.

- Oczywiście, wymawiaj nam naszą śmiertelność, panie wskrzeszony. Ale tak serio, to czemu tego nie zrobić?

Olać Olivera i nie będziemy musieli wracać do Morganville, nigdy! Zastanówcie się.

Claire oblizwała wargi i powiedziała cicho:

- Shane, niektórzy z nas nie mogą sobie tak po prostu odejść. Tam są moi rodzice. Mama i brat Eve. Nie możemy tak po prostu ich zostawić, jeśli nie chcemy, żeby stała im się krzywda.

Shane wyglądał na zawstydzonego, jakby zupełnie o tym zapomniał.

- Nie chodziło mi o... - westchnął ciężko. - Tak, racja.

Rozumiem, co masz na myśli.

- A do tego ja jestem teraz związany z Amelie. - Dodał

50

Michael. - Jeśli będzie chciała, znajdzie mnie. Jakbyś mnie

wziął na wielką ucieczkę, to tak jakbyś miał pluskwę do wyszukania przez GPS. -Aj...

- No właśnie...

Eve odezwała się błagalnym tonem.

- Łazienka?

I tak zakończyła się dyskusja o ucieczce. Przynajmniej na razie.

Bar dla tirowców okazał się gorszy wewnątrz niż na zewnątrz.

Kiedy Claire otworzyła drzwi - Shane starał się być szarmancki i zrobić to za nią - zadźwięczał malutki dzwoneczek, a kiedy podniosła wzrok, stwierdziła, że skupia na sobie spojrzenia wszystkich gości.

- Nieźle - wyszeptał za jej plecami Shane. - Ale żulernia.

Claire też miała takie wrażenie. Tutejsi ludzie byli przerażający. Najmłodszą osobą, poza nimi, była zasuszona, zbyt mocno opalona chuda kobieta około trzydziestki, ubrana w kusy top i postrzępione u dołu szorty. I była wytatuowana, bardzo. Wszyscy inni byli starsi, więksi, groźniejsi i niepokojąco skupieni na przybyszach.

I wtedy do wnętrza weszła Eve, w całej swojej gotyckiej krasie, przeskakując z jednej obutej w martensy nogi na drugą.

- Łazienka? - zapytała wielkiego, brodatego faceta za barem. Skrzywił się, po czym sięgnął pod blat i wyciągnął klucz przymocowany do dużego kawałka żelaza.

- Dziękuję. - Eve złapała klucz i pobiegła przez ciemny korytarz w stronę napisu „Toalety”. Claire miała wątpliwości, czy zdobyłaby się na coś takiego, bez względu na to, jak bardzo chciałoby jej się siusiu. To nie wyglądało na bezpieczne miejsce, nie wspominając już o czystości.

Michael wszedł ostatni i ogarnął całą sytuację jednym wprawnym spojrzeniem. Uniósł brwi i spojrzał na Shane'a. Ten wzruszył ramionami i rzekł:

- Taa, wiem. Nieźle, co?

- Zajmijmy stolik - zaproponował Michael. -I zamówmy coś do jedzenia.

Claire domyśliła się, że Michael zakłada, że jak zostawią tu trochę pieniędzy, to miejscowi będą ich bardziej lubić. Jakoś nie wierzyła, że to zadziała. Spostrzegła tabliczki porozwieszane we wnętrzu: „Jeśli wyciągniesz broń, my zrobimy to szybciej”. „Kontrola broni oznacza, że trafiasz w to, w co celujesz”. „Nie ma przejścia - do łamiących zakaz strzelamy, do tych, co przeżyli, strzelamy jeszcze raz”. - Jakoś nie jestem głodna. - Ale Michael miał rację. To było jedyne rozwiązanie, jeśli nie chcieli siedzieć w samochodzie. - Może coś do picia. Mają colę, prawda?

- Claire, ludzie w Botswanie mają colę. Jestem przekonany, że na zadupiu w Teksasie też mają colę.

Kiedy wreszcie usiedli w jednym z niechlujnych, plastikowych boksów, wciąż obserwowani przez miejscowych, dołączyła do nich Eve. Była zdecydowanie bardziej zrelaksowana, pełna energii i bardziej... jak ona.

51

- Lepiej - zakomunikowała wszystkim, po czym przy-
siadła się do Michaela. - Mmm, zdecydowanie lepiej.

Objął ją ramieniem i się uśmiechnął. To było słodkie. Claire też się uśmiechnęła i przytuliła do Shane'a. - Jak było w łazience?

Eve przeszedł dreszcz.

- Nigdy więcej nie będziemy o tym wspominać.
- Tak podejrzewałam.
- Chcesz coś zjeść?
- O tak! Może mają lody?

Jedynie, czego jeszcze brakowało rozentuzjasmowanej Eve, to duża dawka cukru, ale lody były naprawdę dobrym pomysłem. Claire rozejrzała się za kelnerką i zobaczyła jedną opierającą się o splekany kontuar, rozmawiającą z mężczyzną po drugiej stronie. Oboje wpatrywali się w Claire i jej przyjaciół i nie wyglądali zbyt przyjaźnie.

- Ehm, dzieciaki, może darujemy sobie lody i jednak wrócimy do samochodu?
- Zrezygnować z lodów? Ani myślę! - sprzeciwiła się

Eve, machnęła ręką na kelnerkę i się uśmiechnęła. Claire się skrzywiła. - Wyluzuj. Zawsze dogaduję się z ludźmi.

- W Morganville!
- To bez różnicy - odparła Eve. Wciąż się uśmiechała, ale z coraz większym trudem, ponieważ kelnerka dalej się na nich gapiła i ani myślała się ruszyć. Eve podniosła głos. - Cześć. Chciałabym coś zamówić. Hop, hoop!

Zagapieni na nich kelnerka i jej rozmówca zdawali się przymurowani do swojego miejsca. I nagle ktoś ich zasłonił. Trzech mężczyzn, dużych i napakowanych, o bardzo nieprzyjaznych minach.

Shane, który do tej pory siedział rozwalony obok Claire, wyprostował się.

- Mamusia nie nauczyła dobrych manier? - zapytał pierwszy facet. - Czekajcie na swoją kolej. Sherry nie lubi, jak się na nią krzyczy.

Eve mrugnęła, po czym powiedziała:

- Ja nie...
- Skąd jesteście? - przerwał jej. Mężczyźni ustawili się w mur, odgradzając ich od reszty pomieszczenia. Shane

i Michael wymienili spojrzenia. Wampir przestał obejmować Eve.

- Jedziemy do Dallas - odpowiedziała Eve tak wesoło, jakby sytuacja nie przerodziła się wcale z niewesołej w groźną. - Michael jest znanym muzykiem. Jedzie nagrać swoją płytę.

Faceci zarechotali. To nie był ładny dźwięk i Claire poznała go natychmiast - był niższy, ale tego samego typu, co śmiech Moniki Morrell i jej przyjaciółek, gdy zaczynały polowanie. To nie była wesołość. Raczej dziwna forma agre-sji - śmianie się z ciebie, nie z tobą.

52

- Muzyk, tak? Jesteś w jednej z tych chłoptasiowych kapel? - odezwał się drugi facet, niższy i bardziej przysadzisty, ubrany w brudną pomarańczową bejsbolówkę i poplamioną bluzę bez rękawów Uniwersytetu Teksaskiego. - My tu kochamy takie kapele.

- Jak ja spotkam kiedy tych Jonas Brothers, to dam im taki wycisk... - odezwał się trzeci mężczyzna. Wydawał się bardziej wkurzony niż pozostali, z oczami jak czarne dziurki w zasuszonej, sztywnej twarzy. - Dzieciak nie może przestać o nich nadawać.

- Doskonale cię rozumiem - przyznała Eve ze sztuczną słodyczą, na dźwięk której Claire znów się skrzywiła. - Od czasów New Kids on the Block nie ma już kogo słuchać, prawda?

- Co? - Utkwił w niej spojrzenie tych ciemnych, martwych oczu.

- Och, więc nie jesteś też fanem New Kids on the Block.

Jestem w szoku. No dobra, raczej nie Marilyn Manson, to może... Jessica Simpson? Albo... - Głos Eve ucichł, gdy Michael zacisnął jej dłoń na ramieniu. Odwróciła się do niego, a on pokręcił głową. - Rozumiem. Zamknąć się. Przepraszam.

- Czego chcecie?

- Twoja mała wampirza przyjaciółka musi się nauczyć, kiedy trzymać buzię na kłódkę.

- Kogo nazywasz małą? - zapytała Eve.

Shane westchnął.

- Eve, zamknij się.

Spojrzała na niego wkurzona, ale wykonała ruch, jakby zamykała usta na kluczyk, splótła ramiona na piersi i oparła się o krzesło.

Michael wpatrywał się w oczy trzeciego mężczyzny, tego wkurzonego. Walczyli na

spojrzenia. Trwało to chwilę, aż Michael się odezwał:

- Dlaczego nie dacie mi i moim przyjaciołom zjeść lodów? Potem wrócimy do samochodu i odjedziemy. Nie chcemy problemów.

- Och, nie chcecie? Szarpidruty! - Wkurzony facet odsunął pozostałych dwóch i z impetem położył na stole dłonie, nachylając się nad Claire i jej przyjaciółmi. - To po co tu przyszliście?

- Na lody? - odpowiedziała bardzo cichutko Eve.

- Mówiłem, żebyś się zamknęła. - Spróbował ją uderzyć wierzchem dłoni.

Tylko spróbował, bo Michael pochylił się w ułamku sekundy i złapał rękę mężczyzny tali szybko, że Claire nawet tego nie zauważyła. Atakujący najwyraźniej też nie, bo wyglądał na lekko zaskoczonego, że nie może ruszyć ręką i dopiero po chwili zorientował się, co się dzieje, i spojrzał na Michaela.

- Nie - odezwał się Michael. Powiedział to spokojnie, ale zabrzmiało to jak ostrzeżenie. - Jeśli jeszcze raz spróbujesz ją skrzywdzić, to wyrwę ci ramię.

Nie żartował. Kłopot w tym, że tu nikt nie żartował. Podczas gdy Michael przytrzymał wkurzonego faceta, ten w pomarańczowej czapce sięgnął do

53

kieszeni, otworzył duży, błyszczący składany nóż i złapał Eve za włosy. Pisnęła, uniosła podbródek i próbowała go kopnąć. Doskonale unikał jej ciosów. Tak jakby miał to wyćwiczone.

- Puść Berle'a - powiedział ten w czapce. - Albo tej stanie się większa krzywda. Jak chcę, jestem bardzo kreatywny.

Shane kłął pod nosem i Claire wiedziała dlaczego. Był uwięziony w rogu, ona siedziała przed nim, a on z tego miejsca nie miał jak pomóc Michaelowi. Musiał po prostu siedzieć - a w tym nie był zbyt dobry. Claire ani drgnęła, ale spojrzała

głęboko w oczy temu w pomarańczowej czapce i powiedziała:

- Proszę pana - odezwała się grzecznie, tak jak uczyła ją mama. - Proszę pana, proszę nie robić krzywdy mojej

przyjaciółce. Ona nie miała nic złego na myśli.

- Nie lubimy tutaj takich wygadanych wariatek. Tu jest po naszemu.

- Tak proszę pana, teraz to rozumiemy. Chcieliśmy

się tylko trochę pobawić. Nie będziemy sprawiać kłopotów, obiecuję. Proszę puścić moją przyjaciółkę. - Mówiła

dalej spokojnie, słodko i rozsądnie, dokładnie tak, jak do

Myrnina, gdy dostawał ataku.

Facet w pomarańczowej czapce mrugnął, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu:

- Lepiej znajdź sobie lepszych przyjaciół, dziewczyno

ko - powiedział. - Nie powinnaś się prowadzić z takimi dziwakami. Gdybyś była moją córką...

Ale już nie był taki wkurzony. Puścił włosy Eve, wytarł dłoń w brudne džinsy i złożył nóż. - Wynosić się stąd. Ale już. A ty puść Berle'go, to pozwolimy ci przejść. I nikomu nie stanie się krzywda.

- Już idziemy - zapewniła natychmiast Claire i złapała

Shane'a za rękę. Michael puścił Berle'a, który szybko poderwał ramię i zaczął je rozcierać, jakby go bolało. I pewnie tak było. Claire widziała białe ślady w miejscu, gdzie trzymał go Michael. A wampir pewnie i tak się hamował, na pewno bez trudu mógłby mu złamać tę rękę.

- Proszę pana? - znów odezwała się do faceta w czapce, traktując go jak szefa, a ten skinął głową i klepnął kumpli po ramieniu.

Odsunęli się.

Claire wysunęła się z boksu i precyzyjnie przecisnęła między mężczyznami, ciągnąc za sobą Shane'a. Eve i Michael poszli za nimi. Odeszli od stolika, przez sklep i Claire otworzyła drzwi, aby wyprowadzić ich na zewnątrz, na białe ostre światło stacji benzynowej i do samochodu.

Odwróciła się w stronę baru. Trzej faceci, ludzie pracujący w restauracji i właściwie wszyscy, którzy byli w barze, patrzyli na nich przez szyby.

Claire odwróciła się najpierw do Eve.

- Zwariowałaś? - krzyknęła. - Po prostu nie mogłaś zamilknąć, tak? A ty! - Wskazała na Michaela. - Już nie jesteś w Morganyille. Tam byłeś ważny, ale tu

54

jesteś tym, czym my byliśmy tam. Bezbronny. Więc musisz przestać myśleć, że ludzie są ci winni szacunek tylko dlatego, że jesteś wampirem.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ale ja nie...

- Właśnie że tak - przerwała mu. - Zachowywałeś się jak wampir, Michael.

Tak, jak zachowują się wampiry, gdy im podskakuje człowiek. Przez ciebie mogła nam się stać krzywda. Eve mogła przez ciebie zginąć!

Michael spojrzał na Shane'a, który wzruszył ramionami w przeproszającym geście.

- Ona ma rację, bracie.

- To nie tak - upierał się Michael. - Ja po prostu starałem się... No, ale to Eve

zaczęła.

- Tak, a mnie tu kaktus rośnie!

Shane znów wzruszył ramionami.

- A teraz Michael ma rację. Hej, to mi się podoba, przynajmniej raz to nie ja nie mam racji.

- Zamknij się, Shane - warknęła Eve. - A co z tobą, panno och, proszę pana, proszę puścić moich przyjaciół, jestem taką biedną dziewczynką? Coś ty za kit wciskała, Claire!

- Ach, więc teraz się wkurzasz, bo nas stamtąd wyciągnęłam? - Claire poczuła, że policzki jej płoną, i dosłownie trzęsła się ze złości. - Ty to zaczęłaś, Eve! Ja tylko próbowałam nie dać cię zabić. Wybacz, że nie zrobiłam tego w odpowiednim stylu.

- Ty po prostu... nie potrafisz się bronić!

- Hej - wtrącił delikatnie Shane i dotknął ramienia

Eve. Odwróciła się gwałtownie z zaciśniętymi pięściami,

ale Shane uniósł ręce w geście poddania. - Broniła ciebie. Może weź to pod uwagę, zanim nazwiesz ją tchórzem.

Akurat tym nigdy nie była.

- No pewnie, bierz jej stronę.

- To nie jest strona. A nawet jeśli, to też powinnaś po niej być.

- Michael przyglądał im się i uspokajał (a przynajmniej zamilkł), a teraz wyciągnął ręce i położył je na ramionach Eve. Spięła się, po czym rozluźniła, zamknęła oczy i wypuściła gwałtownie powietrze.

- Świetnie - stwierdziła. - Teraz mi powiesz, że nie mogę się denerwować tym, że prawie odcięto mi twarz.

- Nie. Ale nie możesz się wyzywać na Claire. To nie jej wina.

- Moja wina.

- No... - westchnął. - Moja trochę też. Podzielimy się?

Eve odwróciła się do niego.

- Lubię moją winę. Wtulam się w nią jak w ciepły, puszysty kocyk.

- Puść - odezwał się i pocałował ją delikatnie. - Zabrałaś mój kawałek winnego kocyka.

- No dobra, bierz połowę. - Eve uspokoiła się trochę w objęciach Michaela. - Kurczę. To było głupie, prawda?

Prawie nas zabili przy lodach.

- To kolejna rzecz, której nie chcę na swoim nagrobku.

- A są jeszcze inne? - zapytała Claire.

Uniósł palec.

- Myślałem, że jest nienaładowany - powiedział i podniósł drugi palec. - Daj zapalniczkę, to sprawdzę, czy bak nie przecieka. - Trzeci palec. - Zabity przy lodach. Właściwie jakkolwiek śmierć, która wymagałaby najpierw wykazania

się głupotą.

- To w jakim stylu jest ta dobra wersja? - Michael pokręcił głową.

- No wiesz. Jakieś bohaterские akcje, które sprawią, że pokażą mnie w CNN. Na przykład jak ginę, ratując autokar pełen supermodelek. - Claire trzepnęła go w ramię. - Auć! Ratując. A myślałaś, że co?

- No to... co teraz? Bo mam wrażenie, że lody raczej nie wchodzą w grę, chyba że chcecie je z drobnym dodatkiem przemocy?

- W mieście musi być coś jeszcze - stwierdził Michael. - No chyba że chcecie tu okupować dystrybutor, aż

Oliver załatwi swoje brudne sprawy.

- Kazał nam tu czekać.

- No, ja tam się zgadzam z Michaelem - rzucił Shane. -

Jakoś nie mam ochoty słuchać Olivera. A to ma być nasza, nie jego, wycieczka. On jest tylko przy okazji. Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że powinniśmy się stąd ruszyć, nawet jeśli Oliver się wkurzy.

- Ty naprawdę prosisz się o śmierć.

- Uratujesz mnie. - Pocałował Claire w nos. - Mikey, prowadzisz.

Rozdział 5

Durram w Teksasie było małym miasteczkiem. Naprawdę małym. Mniejszym niż Morganville. Składało się z jakichś sześciu kwartałów, nieustawionych nawet w kwadrat, raczej w rozchwiany

owal. Lodziarnia Dairy Queen była zamknięta, podobnie jak fast food Sonic. Był jakiś bar, ale Michael szybko zawetował tę

56

propozycję (oczywiście Shane'a). Jeśli wpakowali się w kłopoty, prosząc o lody, to zamówienie piwa równałoby się śmierci.

Claire trudno było zaprzeczyć tej logice, poza tym żadne z nich nie było tak naprawdę w wieku, w którym w Stanach wolno kupować piwo. Aczkolwiek jakoś wątpiła, żeby ludzie z Durram bardzo się tym przejmowali. Jakoś nie wyglądali na takich, co to restrykcyjnie przestrzegają prawa. A snucie się po ulicach zdawało się kompletną stratą czasu. Nie spotykali żadnych samochodów, nawet w oknach tylko gdzieniegdzie paliło się światło. Durram wyglądało na bardzo nudne miasteczko. Zupełnie jak Morganville, ale tam przynajmniej miało się porządny powód, żeby nie wychodzić po zmroku.

- Hej! Tam! - Eve podskoczyła na przednim siedzeniu i palcem wskazywała przed siebie. Claire wytężyła wzrok.

W oknie palił się maluteńki neon - możliwe, że była to jakaś informacja o lodach.

- Wiedziałam, że żadne szanujące się miasteczko w Teksasie nie zamknie na noc lodziarni.

- To bez sensu.

- Zamknij się, Shane. Jak możesz nie mieć ochoty na lody? Z tobą jest coś nie tak!

- Najwyraźniej urodziłem się bez lodowego genu. Na szczęście.

Michael zatrzymał samochód przed malutką lodziarnią. Kiedy zgasił silnik, otoczyła ich ponura cisza. Poza skrzypieniem na wietrze znaków drogowych w całym Durram było kompletnie cicho.

Eve nie zwracała na to uwagi. Prawie wyfrunęła z samochodu i pognała do drzwi. Michael podążył za nią, zostawiając Claire i Shane'a na tylnym siedzeniu.

- To wszystko dzieje się zupełnie inaczej, niż myślałam - westchnęła Claire. Shane wziął jej rękę, uniósł do ust i pocałował.

- A myślałaś, że jak będzie?

- Nie wiem, rozsądniej?

- Gdzie ty byłaś przez ostatni rok? Bo wiesz, rozsądek to jest z innej bajki. - Skinął głową w stronę lodziarni. - Masz na coś ochotę?

- Tak. - Ale nie próbowała wysiąść z samochodu.

- To na... och. - Nie wyglądał na niezadowolonego. Mówił prawdę, pomyślała Claire. Rzeczywiście nie miał lodowego genu.

Ale na pewno miał gen całowania i nie potrzebował wielkiej zachęty, żeby zacząć z niego korzystać dla dobra ich obojga. Schylił się i na początku ich wargi lekko otarły się o siebie, potem nastąpił miękki, wilgotny delikatny pocałunek, a potem mocniejszy. Miał takie cudowne usta.

Sprawiły, że cała w środku płonęła, i czuła się, jakby grawitacja się wzmogła, wciskając ich w fotel.

Sytuacja mogła się ciekawie rozwinąć, gdyby nie to, że nagle dało się słyszeć pukanie w okno i do wnętrza wpadło światło, oświetlając ich. Claire krzyknęła cicho, poderwała się gwałtownie i odsunęła od Shane'a, który też próbował usiąść prosto. Na zewnątrz stał mężczyzna w jasnobrązowej koszuli, jasnobrązowych spodniach i dużym teksaskim kapeluszu... Dopiero po chwili przerażony umysł Claire

57

zarejestrował, co się dzieje, gdy zauważyła lśniąca gwiazdę przypiętą do koszuli mężczyzny.

Oj joj, niedobrze.

Miejscowy szeryf:

Znów zapukał w okno latarką i ponownie ich oślepił. Claire zmrużyła oczy i otworzyła okno. Oblizała wargi i poczuła smak ust Shane'a. Jakże niestosownie!

- Pokażcie jakieś dowody tożsamości - rzucił mężczyzna. Nie brzmiał zbyt miło. Claire wymacała plecak, wyciągnęła z niego portfel i podała trzęsącymi się dłońmi szeryfowi. Shane dał swoje prawo jazdy.

- Masz siedemnaście lat? - Światło latarki skupiło się na Claire.

Skinęła głową. Tym razem światło padło na Shane'a.

- Osiemnaście?

- Tak, proszę pana. Stało się coś złego?

- No nie wiem, chłopcze. Myślisz, że nie ma niczego złego w wykorzystywaniu niepełnoletniej dziewczyny na ulicy?

- On nie...

- Moim zdaniem tak to wyglądało, panienko. Oboje wychodzić z wozu. To twój samochód?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Shane. Sprawiał wrażenie przybitego. Dopadła ich rzeczywistość. Claire uświadomiła sobie, że popełnili ten sam błąd, co Michael - zachowywali się tak, jakby byli w domu, w Morganville, gdzie wszyscy ich znali. Tutaj byli parą przysparzających problemy nastolatków, z których jedno było nieletnie, zabawiających się na tylnym siedzeniu samochodu.

- Macie jakieś prochy?

- Nie, proszę pana - powtórzył Shane. Claire mu przytaknęła. Jej usta, przed chwilą takie ciepłe i przyjemne, stały się zimne i zdrętwiałe. To się nie może dziać. Jak mogliśmy być tak głupi? Przypomniała sobie listę Shane'a o sposobach, w które nie należy ginąć. Może to powinien być punkt czwarty.

- To nie macie nic przeciwko, żebym przeszukał samochód?

- To... - Claire spojrzała na Shane'a, a on na nią, szeroko rozwartymi oczami. Claire mówiła

dalej. - To nie nasz

samochód, proszę pana. Jest naszego przyjaciela.

- A gdzie ten przyjaciel?

- Tam, w środku. - Claire miała ściśnięte gardło i trzymała Shane'a mocno za rękę. Jeśli przeszuka samochód, otworzy lodówki. A jeśli je otworzy i znajdzie krew

Michaela...

Wskazała na drzwi lodziarni. Szeryf spojrział na nie, potem znów na nią, potem na Shane'a. Skinął głową, wyłączył latarkę i rzekł:

- Nigdzie nie odchodźcie.

Gdy rozmawiali, Claire nie przyjrzała mu się specjalnie, wiedziała tylko, że jest niezbyt stary, niezbyt młody, nie za gruby ani chudy, nie za wysoki czy niski, po

58

prostu przeciętny. Ale kiedy odszedł, z kajdankami i kluczami pobrzękującymi przy pasie, poczuła, jak robi jej się zimno i brakuje jej tchu. Zupełnie tak jak wtedy, gdy stanęła twarzą w twarz z Bishopem, najbardziej przerażającym z wampirów.

Mieli kłopoty. I to duże.

- Szybko - rzucił Shane, gdy tylko za szeryfem zaczęły się zamykać drzwi do lodziarni. Otworzył bagażnik, zła-

pał lodówkę Michaela i rozejrzał się, gdzie ją schować. -

Podejdź do drzwi. Osłaniaj mnie.

Claire podeszła do drzwi lodziarni. Zajrzała przez brudną szybę, zasłaniając widok na to, co działo się za nią. Zrobiła z dłoni daszek, jakby trudno jej było dojrzeć, co się dzieje w środku. Nie było trudno. Szeryf podszedł wprost do Michaela i Eve, którzy wciąż stali przy kontuarze lodziarni.

Eve trzymała rozek z zielonymi lodami miętowymi, ale sądząc z wyrazu jej twarzy, kompletnie o nim zapomniała.

Claire spojrzała za siebie. Shane'a nigdzie nie było widać. Kiedy zajrzała znów do lodziarni, szeryf wciąż rozmawiał z Michaelem, który grzecznie odpowiadał na pytania, a Eve miała wypisane przerażenie na twarzy.

Claire prawie krzyknęła, gdy ktoś dotknął jej ramienia. To był Shane.

- Schowałem ją w uliczce obok, za śmietnikiem. Zasłoniłem stertą gazet. Nic więcej nie mogłem zrobić.

Szeryf zakończył rozmowę i wraz z Eve i Michaelem wyszedł z lodziarni. Claire i

Shane podeszli do samochodu. Claire oparła się o Shane'a, czując, jak wali mu serce. Wyglądał tak

spokojnie. Ale to tylko pozory.

Eve nawet nie wyglądała na spokojną. Wyglądała na, cóż, zdenerwowaną.

- Ale my nic nie zrobiliśmy - mówiła, kiedy wychodzili na zewnątrz. - Proszę pana...

- Dostałem raport o jakiś zajściach na stacji benzynowej - odpowiedział szeryf. - Ludzie pasujący do waszego opisu grozili klientom. I, prawdę mówiąc, nie pasujecie do tej okolicy.

- Ale my nie... - Eve przygryzła wargę, próbując temu zaprzeczyć, bo jednak grozili. A przynajmniej Michael. - Nie chcieliśmy nic zrobić. Mieliśmy tylko ochotę na lody.

Naprawdę.

Jej porcja zaczynała się topić i spływać zielonymi strużkami. Eve zaskoczona spojrzała na nie, po czym zlizwała roztopione lody z palców.

- Może lepiej zje to pani, nim się całkiem roztopią - za^o sugerował policjant.

Tym razem brzmiał spokojnie i prawie

po ludzku. - Czy mam pani zgodę na przeszukanie pojazdu?

- Hm... - Eve spojrzała na Shane'a, który stojąc za szeryfem unosił w górę kciuki. - Tak myślę.

Szeryf zdawał się zaskoczony. Może nawet zawiedziony.

59

- Proszę usiąść tam, na krawężniku. Wszyscy.

Usiedli. Eve miała pewien problem, aby siąść elegancko w swojej bombkowej spódnicy, ale kiedy wreszcie jej się udało, zaczęła pochłaniać lody. W połowie przerwała i klapnęła się dłonią w czoło.

- Oj joj joj.

- Lodowy ból głowy? - zapytała Claire.

- Nie, po prostu zastanawiam się, jak to możliwe, że jesteśmy tacy beznadziejni - odpowiedziała Eve. - Mieliśmy

po prostu pojechać do Dallas. To nie powinno być aż takie trudne, prawda?

- Oliver zmusił nas do postoju.

- No, ale skoro nie potrafimy unikać kłopotów...

- To był lodowy ból głowy, prawda? Nie tętniak?

- Czyli jak coś ci pęka w mózgu? Pewnie tak. – Eve westchnęła i wgrzyza się w rożek po lodach. - Jestem zmęczona. A wy?

Michael nic nie mówił. Patrzył na samochód i przeszukującego go policjanta, zagląającego do walizek, torebek, nawet do schowków pod fotelami. W końcu spojrzał na Shane'a.

- A broń?

Shane otworzył usta, po czym je zamknął.

- Hm...

W tym momencie policjant otworzył walizkę Claire i wyciągnął z niej ostry srebrny kołek. Podniósł go i spytał:

- A to co?

Przez chwilę nikt nie odpowiadał. W końcu odezwała się Eve:

- To do kostiumu. Bo wie pan, jedziemy na ten zlot. Ja będę wampirem, a oni będą na mnie polować! Świetna zabawa.

To brzmiało prawie przekonująco.

- Ale to jest ostre.

- Te gumowe wyglądały strasznie tandetnie. A jest nagroda, wie pan? Za autentyzm.

Spojrzał na nią przeciągle, po czym wrzucił kołek z powrotem do walizki Claire, poszperał jeszcze trochę we wnętrzu, aż wreszcie ją zamknął. Zostawił torby i walizki na ulicy, a po obmacaniu wnętrza nadkoli i zajrzeniu do koła zapasowego, w końcu potrząsnął głową i powiedział:

- No dobra, puszcę was, ale musicie natychmiast odjechać.

- Co?

- Chcę, żebyście opuścili granice miasta i osobiście tego dopilnuję.

O kurczę.

- A co z Oliverem? - wyszeptała Claire.

- Raczej nie możemy użyć go jako wytłumaczenia - odpowiedziała stanowczo

Eve. Dojadła rożek i uśmiechnęła

się do policjanta. -Jesteśmy gotowi, proszę pana. Tylko musimy spakować rzeczy. Michael pociągnął za sobą Shane'a i schyleni nad olbrzymią walizką Eve odbyli krótką rozmowę. Eve poderwała się na nogi, potknęła o jakąś torbę i upadła z krzykiem, który przerodził się w jęk.

Szeryf, wykazując, że jednak nie jest kompletnym idiotą, błyskawicznie podszedł do niej i schylił się, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało.

To dało Michaelowi wystarczająco dużo czasu, by mógł z wampirzą prędkością zabrać lodówkę zza śmietnika, wsadzić do samochodu i sięgnąć po kolejny pakunek, nim szeryf zdążył pomóc omdlewającej Eve stanąć na nogi.

- Przepraszam - powiedziała zdławionym głosem Eve i uśmiechnęła się słabo do Michaela. - Wszystko w porządku. Trochę się tylko posiniaczyłam.

- Jasne. Więcej lodów nie dostaniesz – zapowiedział Shane.

Skończyli pakować samochód, a Claire posłała ostatnie spojrzenie pustym ulicom i bladym światłom. Po Oliverze nie było ani śladu.

- No? - odezwał się szeryf. - Ruszajmy.

- Tak jest. - Eve wsiadła za kierownicę, zamknęła na moment oczy, po czym sięgnęła po klucze i odpaliła silnik. Michael usiadł na siedzeniu obok kierowcy, a Claire i Shane z tyłu.

Zgodnie z tym, co powiedział, szeryf wsiadł do radiowozu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy i odpalił koguta, ale przynajmniej nie włączył syreny.

- Dzięki. - Michael posłał Eve uśmiech. - Świetny pomysł z tym potknięciem. Dzięki temu mogłem skoczyć po krew.

- W takim razie żałuję, że tego nie planowałam. - Wrzuciła wsteczny. - I czy poza Morganville nie mógłbyś

używać jakiegoś innego określenia na krew? No nie wiem.

Czekolada? Albo ciasto wiśniowe?

- Dlaczego słodczy? - spytał Shane.

- Zamknij się, Collins. To było wyłącznie przez ciebie.

Wzruszył ramionami i objął Claire.

- Wiem, przepraszam.

- To co robimy z Oliverem? - zapytała Claire.

Nikt nie umiał jej odpowiedzieć.

Szeryf przypomniał im się, włączając na moment przeraźliwie wyjące syreny. Eve przełknęła ślinę, włączyła wsteczny i wycofała się w uliczkę.

- Zdaje się, że będziemy się zastanawiać w drodze - stwierdziła. - Czy ktoś ma do niego telefon?

- Ja mam - równocześnie odezwali się Claire i Michael i wymienili pełne

skruchy spojrzenia. Michael wyciągnął komórkę i wysłał esemes, podczas gdy Eve prowadziła samochód z prędkością znacznie niższą, niż była dozwolona, co zdaniem Claire było bardzo rozsądnym pomysłem. A kiedy minęli tablicę informującą o opuszczeniu miasta, samochód szeryfa się zatrzymał. Kogut nadal mrugał na niebiesko i czerwono.

61

- Jechać dalej? - spytała Eve. - Co robimy?

- Jedź dalej. - Shane pochylił się do przodu. - Nie możemy zawrócić, póki nas obserwuje. O ile w ogóle zawrócimy. Głosuję za tym, żeby tego nie robić.

- Mam lepszy pomysł - odezwał się Michael i wskazał na coś po lewej stronie bardzo ciemnej, wąskiej drogi. - Tani jest motel. Zameldujemy się i zaczekamy tam na Olivera. I tak musimy gdzieś przeczekać dzień.

- Tam? - Eve zdawała się zszokowana. A Claire specjalnie jej się nie dziwiła. Nie był to Ritz. Nie wyglądał na

wet tak dobrze jak motel w filmie Psychoza. Był to niewielki rząd pokoi zbudowanych z pustaków, z zapadającym się

gankiem, neonowym napisem i wielkim reflektorem oświetlającym parking.

A parking był pusty.

- Chyba nie mówicie poważnie? - spytała się Eve. - W takich miejscach pożerają ludzi. A w najlepszym razie zamkną nas w pokoju i zrobią nam okropne, wstrętne rzeczy, które potem umieszczą w necie. Widziałam filmy.

- Eve - odezwał się Michael. - Horrorzy to nie filmy dokumentalne.

- Ale i tak uważam, że w tym miejscu grasuje seryjny zabójca. Nie, nie zamierzam...

Zabrzącał telefon Michaela. Spojrzał na ekran i przeczytał esemes.

- Oliver każe nam się tu zatrzymać. Dołączy za jakąś godzinę.

- Żartujesz sobie!

- Hej, to tobie zachciało się lodów. I zobacz, w co nas to wpakowało. Teraz będziemy przynajmniej bezpieczni w pokoju z drzwiami, które da się zamknąć. A ten napis oznacza, że mają tu HBO.

- To skrót od Horrendalnie Bezlitosne Ozgrozo - odpowiedziała Eve. - Czyli sposób, w jaki zabijają. Kiedy myślisz, że nic ci nie grozi.

- Eve! - Claire też zaczynała się bać. Eve na moment uniosła rękę, po czym opuściła je na kierownicę.

- Dobrze. Tylko nie mówcie, że was nie ostrzegałam, jak już będziemy krzyczeć i płakać. Śpię w ubraniu. Z kołkiem w każdej ręce.

- Motel raczej nie prowadzą wampiry.

- Po pierwsze, chcesz się założyć? - Eve zahamowała i wjechała na parking. - A po drugie, ostre, spiczaste rzeczy działają też na wszystko inne. Z kanibalami prowadzącymi motele włącznie.

Siedzieli w milczeniu, podczas gdy silnik stygł. Aż w końcu Shane odchrząknął:

- No dobra, to co, wchodzimy?

- Możemy zostać w samochodzie.

- Taa, to dopiero bezpieczne miejsce.

- Przynajmniej będziemy widzieć, gdy będą się zbliżać.

I zdołamy uciec.

Claire westchnęła, wygramoliła się z auta, podeszła do małej recepcji i uderzyła w dzwonek na ladzie. Brzmiał bardzo głośno. Usłyszała, jak za jej plecami zatraskują

62

się drzwi - Shane, Michael i Eve w końcu postanowili do niej dołączyć. Biuro okazało się ładniejsze niż budynek z zewnątrz. Wyłożone w miarę nową wykładziną, z wygodnymi krzesłami i płaskim telewizorem, który wisiał na ścianie i wyświetlał coś z wyłączonym dźwiękiem. To miejsce pachniało... wanilią.

Z zaplecza wyszła starsza pani o zebranych w kucyk siwiejących włosach. Claire nie mogła sobie wyobrazić, jak można wyglądać bardziej niewinnie. Tak naprawdę wyglądała jak typowa babcia, miała nawet niewielkie okrągłe okulary. Wycierała ręce w ściereczkę, a dzinsy i kraciastą koszulę okrywał jej fartuch.

- Słucham, skarbie? - zapytała i odłożyła ściereczkę. Widząc pozostałych, lekko się zaniepokoiła. - Potrzebujecie pokoju?

- Tak, proszę pani - odpowiedziała Claire. Michael i Shane starali się z całych sił wyglądać na grzecznych chłopców, a Eve, no cóż, była sobą. Uśmiechała się. - Może dwóch, jeśli nie są zbyt drogie?

- Och, nie są drogie. - Kobieta pokręciła głową. - To nie Hilton. Trzydzieści pięć dolarów za noc, ze śniadaniem. Robię tosty i duszone kielbaski. No i jest kawa. Trochę płatków. Nic specjalnego, ale to porządne jedzenie.

Michael podszedł do kontuaru, wpisał się do książki i odliczył pieniądze. Kobieta przeczytała do góry nogami jego wpis.

- Glass? Jesteś stąd?

- Nie, proszę pani. - Odpowiedział. - Po prostu przejeżdżamy. Jedziemy do Dallas.

- To co was napadło, żeby zjechać aż tu? - zapytała. - Zresztą nieważne.

Cieszę się, że jesteście. W pokojach jest

świeża pościel i ręczniki, mydło, jakiś szampon. Jakbyście

czegoś potrzebowali, dzwońcie. Śpijcie dobrze, dzieci.

A, tylko żadnych rozrób. Może i jesteśmy za miastem, ale ja osobiście znam szeryfa. Pofatyguje się tutaj, jeśli go poproszę.

- Dlaczego wszyscy myślą, że mamy nie po kolei w głowie? - Eve przewróciła oczami. - Naprawdę, jesteśmy mili.

Nie każdy w naszym wieku musi być anarchistą.

- Byłabyś, gdyby oferowali darmowe lody – zauważył Michael. Wziął dwa klucze i się uśmiechnął. - Dziękuję, proszę pani...

- Mam na imię Linda - przerwała mu kobieta. – Pani to była moja matka. Ale pewnie dla was jestem dość stara, żeby robić za panią. Tym gorzej. No to lećcie. A ja dokończę pieczenie. Zajrzyjcie później. Będą świeże ciasteczka z czekoladą.

Eve opadła szczęką. Nawet Michael był pod wrażeniem.

- Ehm, dziękujemy. - Wrócili na parking, gapiąc się na siebie. - Piecze ciasteczka...

- Tak, to przerażające - odparł Shane. - To jak to robimy?

- Dziewczyny mają własny pokój. - Eve zabrała Michaelowi jeden z kluczy. -

Oj, nie rób takiej miny. Wiesz, że tak właśnie powinniśmy zrobić.

- No wiem - odpowiedział. - Wygląda na to, że są obok siebie.

63

I były. Pokój numer 1 i 2, z łączącymi je drzwiami. W środku, podobnie jak biuro Lindy, pokoje były naprawdę ładne. Claire obejrzała łazienkę. Była ładniejsza niż u nich w domu. I czystsza.

- Eve? - zawołała, wyglądając z łazienki. - Mam się zacząć bać teraz czy dopiero później?

- Oj, zamknij się. - Eve usiadła na jednym z dwóch łóżek, krzyżując nogi w kostkach, gdy sięgała po pilota do telewizora. - No dobra, to nie jest może Piekielny Motel.

Przyznaję. Ale mógł być. Hej, zobacz! Na HBO leci maraton Pity

Świetnie. Tego im właśnie brakowało. Claire przewróciła oczami, wyszła do samochodu i pomogła chłopakom wyjmować potrzebne rzeczy, co oznaczało właściwie wszystkie ich bagaże. Eve nie zniżała się do takich zajęć i skupiła się na skakaniu po kanałach i wyszukiwaniu najwygodniejszej poduszki.

Shane przytachał jej walizkę do pokoju i postawił przy jej łóżku.

- Hej, czarna królowo? Twoje badziewie.

- Ugryź się. Czekać, twój napiwek. - Dała mu kuksańca, nie odrywając oczu od telewizora. - Świadomość, że po- za Morganville możemy być w takich samych stosunkach, jest naprawdę miła,

prawda?

- Prawda - zaśmiał się.

Spojrzał na Claire, która oparła swoją walizkę o ścianę i rozglądała się po pokoju.

- No to chyba już najwyższa pora powiedzieć sobie dobranoc?

- Tak sądzę - zgodziła się. - No chyba że chcecie pooglądać z nami filmy?

- Przyniosę chipsy.

Dwie godziny później wszyscy leżeli na łóżkach, oparci o sterty poduszek, krzycząc, krzywiąc się i piszcząc do telewizora. Dźwięk był mocno podkreślony i przy całym tym wrzasku, piłach łańcuchowych i tym podobnych dopiero po kilku sekundach dotarł do nich jakiś odgłos spoza pokoju. Oczywiście pierwszy dosłyszał coś Michael, poderwał się z łóżka i odsłonił okno. Eve sięgnęła po pilota i wyłączyła fonię.

- Co? Co się dzieje?

Z parkingu dało się teraz słyszeć pohukiwania, przepity głos i dźwięk gnieczonego metalu. Claire i Shane zeskoczyli z łóżka, a na koniec dołączyła do nich Eve.

- Hej! - krzyknęła tak głośno, że Claire się skrzywiła. - Hej, dupki, to mój samochód!

To byli ci trzej goście ze stacji benzynowej, o jakiś sześciopak piwa głupsi, co w teorii wydawało się już niemożliwe. W praktyce dwuręcznym młotem i dwoma kijami bejsbolowymi właśnie rozwalali samochód Eve. Przednia szyba pękła od uderzenia młotem zadanego przez tego Wkurzonego. Facet w pomarańczowej czapeczce zamachnął się kijem i zrobił kolejne głębokie wgniecenie w mocno już zniszczonej masce auta. Trzeci wyłamał boczne lustro, posyłając je jednym wprawnym uderzeniem gdzieś daleko w pole.

Ten w czapce posłał Eve pocałunek, po czym wyciągnął z tylnej kieszeni spodni szklaną butelkę wypełnioną lekko różowym płynem przypominającym lemoniadę...

- Benzyna! - krzyknął Michael. - Muszę ich powstrzymać.

64

- Zabiją cię. - Shane zagroził mu drogę. - Nie ma mowy. To nie Morganville, a jeśli skończysz w więzieniu, umrzesz. Rozumiesz?

- Ale mój samochód! - jęknęła Eve. - Nie... nie... nie...

Ten w pomarańczowej czapeczce wylał benzynę na siedzenia samochodu i wrzucił do środka zapalnik.

Auto Eve stanęło w płomieniach, zupełnie jak ognisko na zakończenie roku szkolnego. Eve znów wrzasnęła i spróbowała ominąć Shane'a. Cofnął się, by zagrozić drzwi i zrobił unik, żeby nie oberwać od Eve.

- Claire! Pomożesz? - krzyknął, kiedy Eve w końcu go

dosięgła. Claire złapała przyjaciółkę za ręce i odciągnęła ją do tyłu. Nie było to łatwe. Eve była

od niej większa, silniejsza i w tym momencie kompletnie oszalała. - Puszczaj! - wrzasnęła.

- Nie! Uspokój się. Już za późno. Już nic nie poradzisz!

- Skopię im tyłki!

Michael doszedł już do tego samego wniosku, co Shane, i kiedy Eve wyrwała się Claire, zastąpił jej drogę i objął ją, zmuszając do zatrzymania się.

- Nie - powiedział. - Nie, nie możesz.

Miał czerwone ze złości oczy, zamrugał i wziął kilka głębokich oddechów, nim się uspokoił i stał z powrotem niebieskookim i opanowanym Michaeliem.

Na parkingu trzech facetów wrzeszczało i podskakiwało, patrząc na płonący samochód Eve. Gdy otworzyły się drzwi od recepcji motelu, wsiedli do swojego olbrzymiego pikapa.

W wejściu stała babcia Linda. Wyglądała jak sam Gniew Boży w fartuchu. W ręku trzymała śrutówkę, którą wycelowwała w niebo i wystrzeliła. Huk był przerażająco głośny.

- Wynocha, kretyni! - krzyknęła za uciekającymi facetami. - Następnym

razem, jak was zobaczę, skończycie ze

śrutem w zadzie.

Wystrzeliła jeszcze raz, ale nie musiała przeładowywać broni. Pikap już odjeżdżał, sypiąc żwirem spod opon. Wyjechał szybko z parkingu, z trudem zawrócił i pognął z powrotem w stronę Durram.

Babcia Linda wsadziła śrutówkę pod pachę, zmarszczyła brwi, patrząc na płonący samochód, i wróciła do biura. Po chwili wyszła z gaśnicą i szybko zagasila pożar kilkoma uderzeniami białej piany.

Shane otworzył drzwi i natychmiast Eve go wyminęła. Tuż za nią Michael. Shane i

Claire szybko podążyli za nimi. Claire zrobiło się niedobrze. Samochód był kompletnie zniszczony. Po ugaszeniu ognia widać było potłuczone okna, pogniecioną i poskręcaną karoserię, zniszczone światła i sflaczałe opony. W niektórych miejscach ogień pozostawił z siedzeń tylko sprężyny.

Samochody na złomowiskach były w lepszym stanie.

- Ta trójka nie ma nawet tyle rozumu, co bakteria... - powiedziała Linda. -

Zadzwońię po szeryfa i powiem mu, żeby tu przyjechał. Przykro mi, kochanie.

65

Eve płakała, cała się trzęsła, patrząc na wrak swojego ukochanego samochodu. Claire objęła ją, a Eve odwróciła się i wtuliła twarz w jej ramię.

- Dlaczego? - załkała wściekła i zdezorientowana. - Dlaczego nas śledzili? Czemu to zrobili?

- Przestraszyliśmy ich - odezwał się Michael. - A przestraszeni ludzie robią różne głupie rzeczy. Pijane i przestraszone zbiry robią nawet głupsze.

Linda skinęła głową.

- Masz racje, chłopcze. Ale to straszna szkoda. To okropne, żeby takie coś przydarzyło się takim miłym, nie-

wadzącym nikomu dzieciakom. Tacy ludzie po prostu muszą na kimś się wyżyć, a wszyscy wokół mają już ich dość.

Najwyraźniej uznali, że będziecie ich nową zabawką.

- No to się pomylili - wycedził Michael i przez moment oczy znów zalśniły mu czerwienią. - Ale mamy problem. Co zrobimy z samochodem?

- Ciesz się, że wyjęliśmy nasze rzeczy - odezwał się Shane, a Michael, rozumiejąc, co przyjaciel miał na myśli,

wyglądał przez chwilę, jakby zrobiło mu się niedobrze, po

czym skinął głową. - Wybiorę się jutro z Eve na zakupy.

Zobaczmy, co w tym mieście można dostać.

Eve pociągnęła głośno nosem i otarła oczy, rozmazując sobie tusz po twarzy.

- Nie mam pieniędzy na nowy samochód.

- Coś wymyślimy - powiedział Shane takim tonem, jakby to miało sens i przydarzało mu się całkiem często. A Claire pomyślała, że znając jego przeszłość, nie było to wcale tak mało prawdopodobne. - Chodźcie, mazanie się nic nam nie da. Możemy równie dobrze iść spać. I tak nigdzie nie pojedziemy. Linda westchnęła.

- To okropne - powtórzyła. - Cholerni idioci. Poczekajcie tu chwilkę.

Odniosła gaśnicę do biura i wróciła z miseczką pełną...

- Ciasteczka! - krzyknął Shane i wziął je od niej. - Dzięki Lindo.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić. - Kopnęła jakiś kamień i, marszcząc brwi, potrząsnęła głową. - Cholerni idioci. Będę czuwać przez resztę nocy i dopilnuję,

żeby już tu nie wrócili.

Claire jakoś nie wierzyła, żeby się odważyli. Linda wyglądała naprawdę groźnie z tą strzelbą.

Przeszła im ochota na filmy, ale ciasteczka okazały się ciepłe i przepyszne. Eve obeschły łyzy, a ich miejsce zajęła wściekłość. Aby nad nią zapanować, wzięła długi prysznic i kiedy wyszła w obłoku pary z łazienki, pozbawiona swojego gotyckiego wizerunku, wyglądała na małą i bezbronną.

Claire przytuliła ją i dała ciasteczko. Eve zjadła je i opatuliła się swoim czarnym jedwabnym kimonem, po czym weszła do łóżka.

- Chłopcy sobie poszli? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała Claire. - Będziesz miała coś przeciwko, jeśli...

- Nie, leć. Ja tu posiedzę i popatrzę na zgliszcza mojego samochodu. - Eve spojrzała ponuro w stronę okna, które na szczęście było zasłonięte.

Claire pokręciła głową, wzięła swoje kosmetyki i poszła wziąć prysznic. To była ekspresowa kąpiel, bo Claire obawiała się, że podczas jej nieobecności Eve znajdzie jakiś sposób, żeby znów wpakować się w kłopoty. Ale kiedy wyszła z łazienki zaróżowiona od gorącej wody i z mokrymi

włosami, zastała przyjaciółkę tam, gdzie ją zostawiła, zmieniającą programy w telewizorze.

- To najgorsza wyprawa, na jakiej byłam – stwierdziła Eve. - I przegapiłam koniec filmu.

- Przecież wiesz, że piła zawsze zwycięża.

Dało się słyszeć jakiś hałas za drzwiami do pokoju. Tak jakby drapanie, a potem uderzenie. Eve wyprostowała się gwałtownie.

- Co to było? Bo ja podejrzewam, że seryjny morderca!

- To Shane próbuje cię wystraszyć. Albo wrócili ci faceci - odpowiedziała Claire. - Cii.

Podeszła do okna i ostrożnie wyrzała zza zasłony. Za drzwiami było dość ciemno, ale ujrzała jakąś sylwetkę opartą o ścianę. Samotną.

- Tylko jeden facet. Nie widzę go dokładnie.

- Czyli pomysł z seryjnym mordercą jest nadal aktualny? Nowa zasada: tych drzwi się nie otwiera.

Obie podskoczyły, gdy ktoś uderzył pięścią w drzwi.

- Wpuśćcie mnie! - usłyszały głos Olivera. - Już.

- Och. W takim razie nowa zasada - powiedziała Eve. - Poza tym w zasadzie on jest seryjnym mordercą, prawda?

Claire nie chciała się specjalnie nad tym zastanawiać, bo obawiała się, że Eve może mieć w tym względzie rację.

Odsunęła zamki i otworzyła drzwi. Oliver wszedł do środka, zrobił dwa kroki i osunął się na ziemię.

- Nie dotykaj go! - krzyknęła Claire, gdy Eve wstała z łóżka, by do niego podejść. Był pokiereszowany i zakrwawiony. - Idź po Michaela, szybko!

Nie było potrzeby. Michael i Shane już otwierali swoje drzwi. Cała czwórka stanęła nad Oliverem, który przekręcił się na bok, a potem na plecy i wpatrywał się w przestrzeń.

Źle wyglądał. Był blady, a na twarzy i rękach miał otwarte rany. Ubranie też miał podarte i przesiąknięte krwią. Nie odzywał się. Michael skoczył z powrotem do pokoju i wrócił z przenośną lodówką. Ukłąkł przy Oliverze, po czym spojrzął przez ramię na pozostałych.

- Idźcie do drugiego pokoju. Już. Szybko.

Shane złapał dziewczyny i wyprowadził z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Claire próbowała się odwrócić.

- Nie! - rzucił Shane i zaprowadził je do swojego pokoju. - Doskonale o tym wiesz. Jeśli potrzebuje krwi, to niech

- Co mu się stało? - Eve zadała przerażające, logiczne pytanie, które Claire cały czas próbowała od siebie ode-

pchnąć. - To Oliver. Chodzący drań. I ktoś mu to zrobił.

Jak? Czemu?

- Myślę, że będziemy musieli mu to pytanie zadać - stwierdził Shane. - O ile nie ma własnie ogromnej ochoty

na nocną przekąskę.

- Cholera - zauważyła Eve. - Skoro o tym mówisz...

zostawiłam tam ciasteczka. A nie zaszkodziłoby mi jeszcze

jedno. A tak w ogóle, to jak bardzo mamy przechlapane?

- Biorąc pod uwagę samochód i to, w co się wpakował Oliver? Bardzo. Ale to w końcu norma, prawda?

- Chwilowo wolałabym, żeby to nie była norma.

Grali w pokera, dopóki nie wrócił Michael, a wraz z nim

Oliver. Znów mógł chodzić, ale wyglądał tak, jakby wrzucił ubrania do niszczarki.

I nie wyglądał na zadowolonego. Nie żeby kiedykolwiek sprawiał takie wrażenie, jeśli akurat nie udawał hipisa, ale tym razem zdawał się naprawdę niezadowolony. - Musimy się stąd wynosić. Szybko.

- Z tym będzie pewien problem - odezwał się Shane. - Biorąc pod uwagę, że nasz samochód nie ma już przyciemnionych szyb, nawet gdyby nie przeszkadzały nam spalone siedzenia. Nawet bagażnik nie nadaje się do użytku po ciosie młotem. A za dwie godziny wszędzie słońce. Nijak nie da rady.

- Oliverze, nadeszła pora, żebyś nam wyjaśnił, dlaczego tu w ogóle przyjechaliśmy. I co ci się stało - powiedział

Michael.

- Nie wasza sprawa.

- Przepraszam, ale skoro ściągnąłeś nas tutaj, to powie- działbym, że jest to też nasza sprawa.

- A to moja sprawa zniszczyła wasz samochód? Nie, to wasz brak myślenia. Powtarzam, wy nie musicie wiedzieć, a ja nie muszę wam nic mówić. Daruj sobie. - Mówił prawie jak dawny Oliver, ale jednak przygaszony, i przysiadł na łóżku, jakby stanie go męczyło, a to nie było w jego stylu.

- Wszystko w porządku? - zapytała Claire.

Podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się na moment. Claire zobaczyła w nich coś zaskakującego - strach. Wszeghogniający, zmęczony, przedwieczny strach. Zszokowało ją to. Nie sądziła, że Oliver może się bać czegokolwiek.

- Tak, w porządku. Rany się goją. Ale to, co się stanie, jeśli pozostaniemy tutaj, nie. Nie możemy czekać na ratunek z Morganville. Musimy się stąd wydostać, nim znów zapadnie zmrok.

- Albo? - zapytała Claire.

- Albo będzie gorzej. Z nami wszystkimi. - Był znękanym i bardzo zmęczonym. - Muszę odpocząć. Znajdźcie jakiś samochód.

68

- Ehm... Wiesz, nie tarzamy się w gotówce.

Oliver bez słowa wyjął z kieszeni spodni portfel, skrzywił się, widząc, jak bardzo był zniszczony i go otworzył. W środku znajdował się plik zielonych banknotów.

Setki.

Oddał im wszystko.

- Mam więcej - dodał. - Weźcie to. Powinno starczyć na w miarę porządną woz. I upewnijcie się, że ma dość miejsca w bagażniku.

Po krótkim wahaniu Eve wzięła pieniądze.

- Oliver, serio, na pewno wszystko w porządku?

- Będzie - rzucił. - Michael, myślisz, że dałoby się załatwić jeszcze jeden pokój, gdzie mógłbym posiedzieć do naszego odjazdu?

- Zajmę się tym. - Michael wyszedł w kierunku recepcji. Oliver zamknął oczy i oparł się o podgłówek. Wyglądał tak nędznie, że Claire, odruchowo, wyciągnęła rękę i z dobrego serca położyła mu dłoń na ramieniu.

- Claire - nie otwierając oczu, wyszeptał Oliver. - Czy pozwoliłem ci się dotykać? Szybko zabrała rękę.

- Po prostu... zostawcie mnie samego. Chwilowo nie jestem sobą.

Według Claire zachowywał się prawie tak samo jak zawsze, ale nie ciągnęła tematu. Eve przeliczała pieniądze. A w miarę obliczeń jej oczy robiły się coraz większe.

- Boże - szepnęła. - Za taką kasę mogłabym kupić wypasiony jacht. Nieźle. Nie sądziłam, że można tyle zarobić na kawiarni.

- Nie można - sprostował Shane. - Najprawdopodobniej ma w domu materace wypchane pieniędzmi. Miał mnóstwo czasu, żeby się wzbogacić, Eve.

- I wystarczająco dużo, żeby raz czy dwa wszystko stracić - dodał Oliver. - Jak już przy tym jesteśmy: byłem bogaty.

Teraz... nie jestem tak biedny jak kiedyś. Ale też nie tak dobrze sytuowany. Efekt wojen i polityki. Trudno jest utrzymać to, co się miało, szczególnie jeśli jest się wyrzutkiem.

Claire nigdy wcześniej nie zastanawiała się, skąd wampiry brały pieniądze.

Podejrzewała, że nie było to wcale takie łatwe. Przed oczami stanęły jej wszystkie te wiadomości o ludziach, którzy uciekali z całym dobytkiem z terenów objętych wojną.

Swego czasu tak samo mógł uciekać Oliver. I Amelie i Myrnin. Pewnie nieraz tak było. Ale jakoś udało im się to przetrwać.

Ocaleli.

- Co tam się stało? - zapytała, nie oczekując, że odpowie.

Jak się spodziewała, Oliver nie odpowiedział.

69

Rozdział 6

Kiedy Oliver dostał własny pokój, z numerem 3, Claire, Eve i Shane zajęli się zabezpieczeniem przed słońcem pokojów obu wampirów. Nie wymagało to specjalnych na-kładów pracy - zasłony spełniały swoje zadanie, a po oklejeniu ich taśmą po brzegach było pewne, że w pokoju będzie ciemno, no i oczywiście powiesili na drzwiach plakietkę z napisem „Nie przeszkadzać”.

- Zasuwka i łańcuch. - Shane poinstruował Michaela, kiedy opuszczali jego pokój. Na wschodzie niebo zaczynało się różowić. - Zadzwoń do ciebie na komórkę, jak będzie - my pod drzwiami. Nie otwieraj nikomu innemu.

- Powiedziałeś to Oliverowi?

- A wyglądam na głupka? Niech sam się o siebie martwi.

Michael pokręcił głową.

- Bądźcie ostrożni. Nie podoba mi się, że wysłałam was samych.

- Linda będzie miała na wszystko oko, jej śrutówka

też - odezwała się Eve. - I to dosłownie! Bierze ze sobą broń.

- Podwiezie nas. Powiedzieliśmy, że postawimy jej

śniadanie i pomożemy nosić zakupy. Całkiem niezły

układ, zwłaszcza że chyba wszyscy ją lubią. Nikt nie będzie chciał nam zrobić

krzywdy, jak będzie z nami Linda.

Mogły to być pobożne życzenia, ale Michael słysząc to, trochę się odprężył. Przybili z Shane'em piątkę i zamknął drzwi. Usłyszeli jeszcze, jak zasuwają zamki.

- Oto i początek pięknego dnia - stwierdziła Eve - w którym nie zmrużyłam oka, spalono mi samochód i nawet nie mogę zrobić sobie makijażu. Po prostu świetnie. To Shane wpadł na to, żeby nie robiła makijażu i Claire musiała mu przyznać, że pomysł był dobry. Eve była najbardziej

rozpoznawalna z ich grupy, ale bez ryżowego pudru, czarnej kredki do oczu i ostrej szminki wyglądała, jak ktoś zupełnie inny. Claire pożyczyła jej trochę mniej gotycka koszulkę, chociaż Eve uparła się, że ma być fioletowa. Ale w niebieskich dżinsach wyglądała prawie... normalnie. Nawet związała włosy w kucyk.

Ani jednej czaszki w polu widzenia, aczkolwiek jej buty nadal robiły wrażenie.

- Pomyśl o tym, jak o tajnej akcji - rzucił Shane. – Na terenie wroga.

- Łatwo ci mówić. Ty musiałeś tylko włożyć koszulkę moro i bejsbolówkę. Brakuje ci tylko tytoniu do żucia.

- Ja się nie przebrałam - wtrąciła Claire.

Eve prychnęła.

70

- Kochanie, ty żyjesz w przebraniu. Na nasze szczęście.

Chodźcie, może Lindzie zostało trochę ciasteczek.

- Na śniadanie?

- Nigdy nie mówiłam, że jestem zatwardziałym dietetykiem.

Kiedy weszli do biura, Linda nie spała, ale była wyraźnie zmęczona i ziewając, popijała kawę. Kiedy Eve powiedziała dzień dobry, Linda wskazała jej talerz ciastek. Eve wyraźnie ulżyło.

- Och... a mogłabym też prosić o kawę?

- Jest w dzbanku. Nalej sobie zdrową porcję. Ten dzień

już i tak jest długi. - Linda przebrała się w nową koszulkę,

też w kratę, ale w innych kolorach. Poza tym wyglądała prawie tak samo.

- To jak, zdrzemnęliście się choć trochę?

- Niewiele - odparł Shane z pełnymi ustami, pud. .

gdy Eve nalewała sobie wielki kubek kawy. Wyciągnął rękę

w niemej prośbie. Przewróciła oczami, odstawiła dzbanek na podstawkę i minęła go w drodze do talerza z ciasteczkami. - Stąd u niektórych muchy w nosie.

- I to mówi ktoś, komu nie chciało się nawet wstać po

własną kawę.

Shane wzruszył ramionami i poszedł po napój, podczas gdy Eve zajęła się pożeraniem ciasteczek. Claire też zaczęła jedno skubać. Pomyślała, że powinna czuć się bardziej zmęczona. I pewnie tak będzie, później, ale na razie, czuła się... przejęta? Może lepszym określeniem byłoby zdenerwowana.

- Gdzie tu się kupuje samochody?

- W Durram? - Linda pokręciła głową. - Jest kilka komisów. Po nowe jeździmy do miasta. Nie żeby teraz było

tu wiele nowych samochodów. Durram było miastem ropy za czasów swojej świetności. Dużo jej tu było, ale kiedy się skończyła, miasto podupadło. Od tego czasu ludzie zaczęli wyjeżdżać. To nigdy nie było wielkie miasto, ale to, co jest

teraz, to ledwie połowa tego, co było tu pięćdziesiąt lat temu, a poza tym wiele budynków stoi pustych.

- Dlaczego zostałeś? - zapytał Shane, popijając kawę.

Linda wzruszyła ramionami.

- A gdzie się miałam wynieść? Mój mąż jest tutaj pochowany. Przysłali mi go w trumnie z wojny w Iraku, tej pierwszej. Tu żyje moja rodzina, w tym Ernie, mój wnuczek.

Ernie prowadzi jeden z komisów i myślę, że tam uda nam się dla was coś znaleźć o tak wczesnej porze - uśmiechnęła się szeroko. - Jeśli staruszka nie jest w stanie zmusić swojego wnuka, żeby dla niej wstał przed świtem, to nie ma sensu

żyć. Ruszamy, jak tylko skończę kawę.

Wypiła ją szybciej niż Shane i Eve, a po jakiś pięciu minutach cała czwórka wpakowała się na siedzenie pikapa Lindy, który miał więcej rdzy niż odłóżającej farby i zapadające się siedzenia. Claire usiadła na kolanach Shane'a, co z jej perspektywy

71

nie było wcale takie złe. A sądząc z tego, jak ją trzymał, jemu też specjalnie to nie przeszkadzało. Linda odpaliła ze zgrzytem silnik, po czym potoczyli się przez wysypany żwirem parking w stronę wąskiej drogi biegnącej do Durram.

- No, no - odezwała się Linda, gdy mijali znak, na którym z trudem można było się doczytać nazwy miasta spomiędzy dziur po kulach. - Zazwyczaj stoi tu rano radiowóz.

Najwyraźniej ktoś zasnął. Pewnie Tom. Lubi sobie długo posiedzieć w barze. Ale mu się za to dostanie.

- Wyleją go?

- Wyleją? Nie w Durram. Tu nie grozi ci zwolnienie, ale wstyd. - Linda minęła kilka domów, pustych sklepów i jedną pustą stację benzynową, po czym skręciła w prawo, a następnie w lewo.

- Jesteśmy na miejscu.

Napis głosił, że to „Komis Hurleya”, i miał jakiś milion lat. Wyglądało na to, że on też dostał kiedyś ze śrutówki, ale sądząc z ilości pokrywającej go rdzy, było to dawno temu. Może przed urodzeniem Claire. A może nawet przed urodzeniem jej matki. Kilka kiepskich, starych samochodów stało zaparkowanych przed niewielkim budynkiem z pustaków, wyglądającym, jakby został zbudowany przez tę samą osobę, co motel Lindy.

I najprawdopodobniej tak właśnie było.

Pustaki zostały pomalowane na bladoniebieski kolor, a wokół okien i brzegu dachu pociągnięte

ciemnoczerwoną obwódką, ale wraz z upływem czasu wszystko przybrało lekko szarawy odcień. Linda zahamowała z piskiem, otworzyły się drzwi do komisu i wyszedł z nich młody człowiek. Zamachał do nich.

- Och, słodki - wyszeptała do Claire Eve. Claire przytaknęła. Był starszy, może miał dwadzieścia lat z hakiem. Miał ładną twarz i piękny uśmiech, zupełnie jak... jego babcia.

- Och, jaki słodki! - zapiszczał Shane. - Jej, może się z nim umówimy?

- Zamknij się, mądralo. Claire, przyłóż mu!

- Udajmy, że przyłożyłam - odparła Claire. - Spójrz! Krwawi.

Shane parsknął.

- Nieprawda. No dobra, wyłazić z wozu, zanim to się zrobi śmieszne.

Linda zignorowała ich, wysiadła już z samochodu i podeszła do wnuka. Gdy ściskali się na powitanie, Claire zsunęła się z kolan Shane'a. Shane zeskoczył obok niej, a za nimi podążyła Eve.

- No, no. - Obrzuciła spojrzeniem samochody przed wejściem. - To jest po prostu...

- Smutne.

- Miałam zamiar powiedzieć, że przerażające, ale też, pasuje. Możemy uznać, że miniwany nam nie pasują?

- Jak najbardziej - zgodził się z nią Shane.

72

Zaczęli się kręcić po parkingu. Dość szybko obejrzeliby wszystko, co stało od frontu i sądząc po minie Eve, Claire była przekonana, że jej przyjaciółka nie znalazła tu nic, czym zgodziłaby się jeździć, nie umierając ze wstydu. A raczej jeżdżąc z umarlakiem. - Do kitu - westchnęła Eve. - Jedyne, co ma odpowiedniej wielkości bagażnik, to to różowe coś.

I to nie troszkę różowe. To coś wyglądało, jakby zwymiotowała na to fabryka rózu. Akurat podeszli Linda i jej wnuk, który usłyszał koniec wypowiedzi Eve i pokręcił głową.

- I tak bym wam tego nie polecał - stwierdził. - Należał do Janie Hearst. Przejechała nim trzydzieści tysięcy kilometrów bez zmiany oleju. Uważa, że jest Paris Hilton Durram. Cześć, jestem Ernie Dawson. Słyszałem, że szukacie samochodu. Przykro mi z powodu tego, co stało się z waszym. Ci ludzie to przekleństwo, byli tacy, od kiedy pamiętam. Dobrze, że nikomu nic się nie stało.

- No... Teraz chcemy się stąd po prostu wynieść - odezwała się Eve. - To był mój wóz. I był naprawdę ładnym, klasycznym cadillakiem. Czarnym, ze skrzydłami. Myślisz, że znalazłby się tutaj ktoś, kto by go naprawił? I za kilka tygodni mogłabym go zabrać?

Ernie skinął głową. Miał zielone oczy, które wyraźnie kontrastowały z jego opaloną skórą, i brązowe, kręcone włosy, które wpadały mu wciąż do oczu. Claire od razu go polubiła, po czym przypomniała sobie ostatniego nieznanego, który był słodki i zrobił na niej dobre wrażenie. Okazał się wcale nie taki miły. A raczej bardzo, ale to bardzo niemiły, co skończyło się dla Claire utratą sporej ilości krwi.

Więc nie uśmiechała się do Erniego za bardzo.

- Myślę, że to się da załatwić - stwierdził. - Earle Weeks z warsztatu pewnie będzie mógł nad nim popracować, ale będziecie mu musieli zostawić spory zadatek. Będzie musiał zamówić części.

- Jeśli uda nam się ubić interes i kupić jakiś porządny samochód, który nie jest różowy, to nie ma sprawy.

- No cóż, to mniej więcej wszystko, co mam do zaoferowania, no chyba że... - Przyglądał się Eve przez dłuższą

chwilę i pokręcił lekko głową. - Nie, nie będziesz zainteresowana.

- Czym?

- Czymś, co trzymam na zapleczu. Nikt tu tego nie ku-

pi. Próbowałem go sprzedać jednej firmie w Dallas. Ale skoro mówiłaś, że duży, klasyczny cadillac...

Eve podskoczyła w miejscu.

- Jak słodko! Pokaż!

- Uprzedzam tylko, że to ci się nie spodoba.

- Jest różowy?

- Nie, zdecydowanie nie, ale... - Ernie wzruszył ramio-

nami. - No dobra, chodźcie za mną.

73

- Lepiej żeby był tego wart - mruknął Shane i wyciągnął z kieszeni ciastko.

Przełamał je na pół i poczęstował Claire.

- Nie mogę się doczekać - odpowiedziała i zjadła szybko ciastko, bo Linda była mistrzynią w ich pieczeniu. - Nie wierzę, że jem na śniadanie ciastka.

- A ja nie wierzę, że utknąłem w Durram w Teksasie, ze spalonym samochodem, dwoma wampirami i tak pysznymi ciastkami.

I... coś w tym było.

Eve miała minę, jakby właśnie znalazła świętego Graala albo jego gotycki odpowiednik. Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami, usta miała rozchylone, a uśmiech na jej twarzy był dziwnie zaraźliwy.

- Jest na sprzedaż?

Claire uznała, że Eve stara się być twarda, ale kompletnie jej to nie wychodziło.

- Za ile?

Ernie nie dał się zwieść. Potarł usta palcem, popatrzył na Eve, a potem na samochód i w końcu stwierdził:

- No cóż... Mógłbym go oddać za trzy tysiące. Bo jesteście przyjaciółmi babci.

- Nie próbuj mi tu oszukiwać dziewczyny - wtrąciła

się Linda. - Wiem, że zapłaciłeś za to stare pudło Mattowi z przedsiębiorstwa pogrzebowego siedemset dolarów. I że od pół roku tylko się tu kurzy. Powinieneś jej go sprzedać najwyżej za tysiąc.

- Babciu!

- Żadne babciu! Bądź grzeczny. Komu innemu sprzedasz tutaj karawan?

- No... Próbowałem go przerobić na niezłą brykę do zabaw.

Karawan był olbrzymi. Czarny, ze srebrnymi wykończeniami i zawijasami, i wyblakłymi białymi zasłonkami w tylnych oknach. Babcia Linda miała rację - był pokryty kurzem pustyni, ale pod spodem krył się wspaniały wóz, naprawdę ostry.

- Bryka na zabawy?

- Tak, zajrzyj.

Ernie otworzył tylne drzwi do części, gdzie zwykle umieszczano trumnę. W środku zamiast szyn na trumnę była podłoga wyłożona czarną puchatą wykładziną.

Po bokach wbudowane były niskie siedzenia, po dwa z każdej strony.

- Wstawiłem trzymadełka na kubki - dodał. - Miałem też zrobić składany ekran DVD, ale zabrakło mi kasy.

Eve, jak w transie, sięgnęła do kieszeni i wyjęła pieniądze. Odliczyła trzy tysiące i wręczyła je Erniemu.

- Nie chcesz się najpierw przejechać? - zapytał.

- Na chodzie?

-

-

-
-
Tak, całkiem niezłym.

Ma klimatyzację?

Oczywiście, z przodu i z tyłu.

Kluczyki. ~ Wyciągnęła do niego rękę. Ernie podniósł

74

palec, pobiegł do biura i wrócił z kluczykami, które wręczył jej z uśmiechem.

Eve otworzyła drzwi i odpaliła karawan. Trochę się krztusił, po chwili zaczął miarowo warczeć.

Eve pogłaskała kierownicę, a następnie ją uściskała. Dosłownie.

- Mój - powiedziała. - Mój, mój, mój.

- No, to mnie zaczyna naprawdę niepokoić - odezwał się Shane. - Czy możemy pominąć fragment z okazywaniem sobie uczuć i przejść do części z jeżdżeniem?

- Możecie się nim przejechać - zaproponował Ernie. -

A ja się zajmę papierkową robotą. Za piętnaście minut dokumenty będą gotowe do podpisania.

- Spluwa! - krzyknął Shane sekundę szybciej niż

Claire. Mrugnął do niej. - A ty możesz zająć miejsce dla umarlaków.

- Ale śmieszne.

- Poczekaj, aż usiądą tam prawdziwe umarlaki.

Mówienie o tym przy Ernie'em i Lindzie było niebezpieczne i po chwili Claire zobaczyła, że Shane to sobie uświadomił. Zamrugnął i dodał:

- No, może nie. Ale byłoby śmiesznie.

- Przeszabawnie - przytaknęła mu Claire i poszła do

tyłu. Wsiadanie wymagało trochę trudu, ale kiedy już się

działa, miała wrażenie, że tak właśnie powinno się czuć

w limuzynie. Rozejrzała się za pasem bezpieczeństwa i się

nim przypięła. Nie było sensu ginąć w wypadku samochodowym w karawanie. To

brzmiało zbyt ironicznie, nawet

dla Eve.

- Hej, tu naprawdę są uchwyty do napojów.

- Przeznaczenie - westchnęła Eve.

- Nie wydaje mi się, żeby przeznaczenie musiało ci spalić samochód, żeby cię do siebie przekonać - zauważył Shane, zapinając pas.

- Nie, nie to. Karawan. Nazwę go Przeznaczenie. Shane zagapił się na Eve, po czym powoli potrząsnął głową.

- Rozważałaś jakieś leczenie albo...

Trzepnęła go w ramię.

- Ach, wszystko wróciło do normy. Super.

Eve ostrożnie wyprowadziła samochód na ulicę, przyzwyczajając się do jego rozmiarów. - Pewnie pali strasznie dużo, ale kurczę, jest taki mroczny!

Claire odsłoniła zasłony, żeby wyjrzeć przez tylne okno, kiedy przejeżdżali przez parking. Linda i Ernie stali przed komisem i machali, więc im odmachwała.

- Jestem pewnie pierwszą osobą, która do kogoś macha

75

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

z karawanu - stwierdziła. - To dziwne.

- Nie, to cudowne! Cudowne w tym wspaniałym, upiornym sensie. No dobra, trzymać się, ruszamy... - Eve nacisnęła na gaz i karawan przyspieszył. Shane przytrzymał się

deski rozdzielczej.

- Hej, nieźle! Myślałem, że on jeździ tylko z prędkością, no wiesz, pogrzebową.

- Nie zamierzasz tego serio nazywać?

- Oczywiście! Będzie Przeznaczeniem.

- To przynajmniej nazwij go Powalacz. Jakoś fajnie.

- Mój samochód - uśmiechnęła się Eve. - Moje zasady.

Możesz sobie kupić ten różowy.

Shane wzruszył ramionami i zamilkł.

Eve bez problemów objechała kwartał domów i pięć minut później podjechała powoli na podjazd przed komisem. Kiedy zgasiła silnik, westchnęła i zaczęła się kręcić z satysfakcją w fotelu.

- To najlepsza wycieczka, na jakiej byłam.

Shane wyskoczył z wozu. Kiedy Claire wysiadała z tyłu, czekał już na nią, złapał w pól i pomógł wyjść. I wcale jej od razu nie puścił. To było miłe i poczuła, jak przysuwa się do niego, jakby ziemia pochyliła się jego stronę.

- Może lepiej wejdziemy do środka i upewnimy się, że nie zapłaci mu jeszcze więcej - odezwał się Shane. - Bo jest do tego zdolna.

- Tak, lubi dawać - zgodziła się Claire. - No i może

Lindzie zostało jeszcze trochę ciastek.

- Słuszna uwaga.

W środku Eve już podpisywała papiery. Na stole leżało jej prawo jazdy i dowód ubezpieczenia. Ernie powiedział im cześć, po czym wziął dokumenty i skserował je na zapleczu. Biuro było małe, ciasne i dość zakurzone. Wyglądało na to, że pracuje tu tylko Ernie, przynajmniej na ogół. Linda opierała się o ścianę i patrzyła na parking, głęboko zatopiona w myślach.

- Coś nie tak? - zapytała Claire. Linda spojrzała na nią i pokręciła głową.

- Pewnie nie - odparła. - Po prostu dziwi mnie, że jeszcze nie widziałam szeryfa. Zwykle dość często objeżdża miasto, a jeszcze go tutaj nie było. Nie ma też jego zastępcy. Dziwne.

Ernie wypełnił dowód zakupu i oddał Eve wraz z pozostałymi papierami i jej dokumentami. Eve zwinęła wszystkie papiery, po czym uścisnęli sobie dłonie. Ernie uśmiechnął się do niej zalotnie.

- Dzięki - powiedział. - Na długo zostajesz w mieście?

- Och, ach, nie. Ja, my właśnie wyjeżdżamy. Do Dallas. Z moim chłopakiem - odpowiedziała niezbyt stanowczo Eve. Claire pomyślała, że słusznie, bo Ernie nie był zły. A Eve była słodka, nawet jeśli nie zrobiła się akurat na Gotkę.

76

Ernie się skrzywił.

- Powinienem był się domyślić - stwierdził. - No cóż, niech ci dobrze służy to auto. I czuj się jak u siebie.

- Już się tak czuję - odpowiedziała poważnie i wyszli na parking.

Linda poszła prosto do swojego samochodu.

- Hej - krzyknął Shane. - A co ze śniadaniem? Mieliśmy ci...

- Nie trzeba - wsiadła do auta i przez otwarte okno rzuciła. - Jadę zobaczyć się z szeryfem i dowiedzieć się, co się dzieje. Jeśli nie spotkamy się przed waszym odjazdem, życzę wam bezpiecznej podróży. I dzięki za ubarwienie tygodnia. Ha, właściwie to całego miesiąca.

- Nie, to my dziękujemy - odpowiedział Shane. - Masz świetny motel.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zawsze tak uważałam - stwierdziła. - To na razie.

Odjechała, strzelając zwirem spod kół i wzniecając kłęby kurzu. Ernie, który wyszedł wraz z nimi przed biuro, westchnął.

- Moja babcia, kierowca Formuły Pierwszej. Miłej podróży.

Podziękowali mu, wsiedli do karawanu i pojechali do motelu.

Ale tam nie dotarli. Kiedy minęli rogatki miasta i wjechali na niewielki pagórek, Claire zauważyła przed nimi błyskające czerwone i niebieskie światła.

- Oho... - rzuciła.

Eve zahamowała i wymieniła z Shane'em spojrzenia.

- To przy motelu, prawda? Są w motelu.

- Na to wygląda - stwierdził Shane. - Niedobrze.

- Tak myślisz? - Eve przygryzła wargę. - Dzwon do Michaela.

- Może oni...

- Co? Akurat tam są i szukają kogoś innego? Dzwon do niego, Shane!

Shane wykręcił numer do Michaela, poczekał chwilę, po czym zamknął komórkę. - Zajęte - rzucił. - Musimy się tam dostać.

- I co niby zrobić?

- Nie mam pojęcia! Chcesz, żeby twojego chłopaka przerobili na słońcu na grzanek?

Na to pytanie Eve nie odpowiedziała. Z udręczoną miną bębniła palcami w kierownicę, po czym rzuciła:

- Przepraszam będę później.

Wdepnęła gaz do dechy i karawan zaczął przyspieszać, zjeżdżając z górki. Minął motel, zdecydowanie przekraczając dozwoloną prędkość.

Jeden z radiowozów - na parkingu były dwa - wycofał się i ruszył za nimi w pościg. Eve nie zwalniała. Znow przycisnęła gaz.

- Eve, co ty, u licha, robisz? Przecież nie uciekniemy im w karawanie, i to pośrodku pustyni!

77

- Nie zamierzam - odrzyknęła. - Claire, obserwuj, co tam się dzieje. Powiedz mi, gdy drugi samochód też za nami ruszy.

Po kilku chwilach Claire zobaczyła, że pojawił się za nimi drugi komplet czerwonych i niebieskich świateł.

- Oba za nami jadą - krzyknęła. - I jak ma nam to właściwie pomóc?

- Wyślij esemes do Michaela. - Eve zwróciła się do

Shane'a. - Napisz mu, że droga wolna i ma się stamtąd zabierać.

- A co z Oliverem?

- Michael jest zbyt grzecznym chłopcem, żeby mu tego nie przekazać. Nie bój nic.

Shane szybko napisał wiadomość.

- To nie zmienia faktu, że jest raczej słonecznie.

- Oliver jest starszy - wtrąciła Claire. - Może przebywać na słońcu znacznie dłużej niż Michael. Może uda mu

się odciągnąć policję albo coś?

- To już ich sprawa - odpowiedziała Eve. - Muszę tylko jak najdłużej jechać. Im bardziej wkurzymy tych ludzi, tym większe szansę na ucieczkę mają Michael i Oliver.

Kiedy radiowozy się rozpędziły, szybko okazało się, że karawan Eve rzeczywiście nie był stworzony do wyścigów. Dwa kilometry dalej zostali wyprzedzeni, a po kolejnych dwóch otoczeni.

Eve w końcu się poddała, zdjęła nogę z gazu i zaczęła hamować.

- Dobra, umawiamy się tak - stwierdził Shane. - Ręce na kierownicy i zachowuj się grzecznie. Po prostu spanikowałaś. Mówiliśmy ci, żebyś się zatrzymała, ale ciebie kom-
pletnie zablokowało, dobra?

- To nie pomoże.

- Owszem, jeśli będziesz grać słodką idiotkę. Postaraj się Eve. Już i tak mamy dość problemów.

Dalszy ciąg był jak żywcem wyjęty z programu w reality show. Policja kazała im wyjść z wozu i nim Claire się obejrzała, została pchnięta na samochód i maskę. To było upokarzające. Eve zaczęła płakać - czy grała, trudno było powiedzieć. Eve płakała z błahszych powodów. Shane odpowiadał na pytania spokojnym, opanowanym głosem, ale on sporo czasu spędzał na potyczkach z policją w Morganville. Dla Claire było to niejako nowe doświadczenie i raczej nie-zbyt przyjemne. Nią, jak sądziła, zajął się zastępca. Był wysoki i szczupły, w źle dopasowanym mundurze i zdawał się zdenerwowany, szczególnie, gdy zakuwał ją w kajdanki.

- Hej - rzucił Shane, gdy skuwano mu ręce za plecami. - Hej, proszę jej nie robić krzywdy. To nie jej wina!

- Nikt nikomu nie robi tu krzywdy - odezwał się szeryf,

78

którego poznali poprzedniej nocy. - No dobra, uspokójmy się. A teraz nazwiska. Ty?

- wskazał Claire.

- Claire Danvers. -No i jakiegokolwiek szansę na dostanie się na MIT przepadły.

Zrobią jej zdjęcie policyjne, które wyląduje na pewno na Facebooku. Ludzie będą się z niej nabijać. Będzie zupełnie jak w liceum. Tylko milion razy gorzej.

- Adres?

Podala mu adres w Morganville, na Lot Street. Nie wiedziala, co zrobia inni. Moze nalezalo sklamac, wymyslic cos. Ale nie smiala sprubowac. Jak powiedzial Shane, mieli juz dosc problemow.

Eve podala swoje nazwisko drzacym glosem. Ostatni odpowiadal Shane. Oboje podali adres Domu Glassow.

- Czyli co? Mieszkacie razem? - zapytal szeryf.

A gdzie ten blondyn, co byl z wami wczoraj?

- Ja... - Eve przygryzla warge i zamknela oczy. -

Poklóciliśmy się. Bardzo. On... wyjechał.

- A niby jak? Skoro wasz samochód się dopala na tamtym parkingu i raczej nie nadaje się do jazdy? Tędy nie jeżdżą żadne autobusy, moja panno.

- Złapał stopa. Ciężarówkę. Nie wiem jaką. Słyszałam ją tylko.

- Ciężarówkę... - powtórzył szeryf. - Aha. Czyli raczej

nie został w motelu Lindy, zamknięty w pokoju?

- Nie, proszę pana.

To, pomyślała Claire, może nawet okazać się prawdą, bo jeśli akcja Eve zadziałała, to Michael i Oliver powinni już być gdzie indziej. Ale gdzie, to już inna historia.

- No dobra, zaczekamy na powrót Lindy. A potem otworzymy drzwi i zobaczymy, co jest grane. Może być?

- Tak, proszę pana - odpowiedziała Eve. - A czemu kajdanki?

- Bo wasza trójka to, moim zdaniem, trzy niezłe ziółka. Najpierw nabroiliście wczoraj w nocy, potem dostałem raport, że wasz samochód został zniszczony przez tych samych ludzi, którzy mówili, że im groziliście, a rano okazuje się, że mam tu jednego trupa i dwóch zaginionych. Zabitego znaleziono jakiś kilometr od waszego motelu.

- Ja... - Eve zamarła. - Ehm... co?

- Morderstwo - powtórzył szeryf, wolno i dobitnie. -

I wy ostatni widzieliście ich żywych.

Rozdział 7

Przez długi, długi czas wszyscy milczeli, aż w końcu odezwał się Shane:

- Chyba nie sądzicie...

- Starczy, chłopcze. Nie chcę tutaj żadnych błędów w procedurze. - Szeryf odchrząknął i wyrecytował coś

o prawach i zachowywaniu milczenia. Claire nic z tego nie rozumiała. Było jej niedobrze i słabo.

Była aresztowana.

Była aresztowana za morderstwo.

Eve ogarnął niepohamowany atak płaczu, ale Claire nie mogła jej pomóc. Sobie też nie.

Shane był zaskakująco milczący, kiedy pakowali go na tylne siedzenie radiowozu, a potem dosadzali tam Claire i Eve. Szeryf nachylił się do nich, nim zamknął drzwi.

Wyglądał teraz prawie miło. Ale to nie poprawiło samopoczucia Claire.

- Mój zastępca odwiezie wasz... hm... pojazd z powrotem do miasta. Nie możemy go tu zostawić. Mógłby go ktoś ukraść, a już jeden samochód w Durram straciliście. Nie chcemy, żeby to się powtórzyło.

I zatrzasnął drzwi. Claire poczuła, że Eve wstrząsnął dreszcz.

- Oddychajcie głęboko - powiedział cicho Shane. -

Eve, opanuj się. Nie możesz się tak rozsypać. Nie teraz.

Szeryf wsiadł za kierownicę, po drugiej stronie kraty. Zapiął pas i spojrzał w lusterko wsteczne.

- Bez gadania.

Pojechali z powrotem do motelu, gdzie właśnie podjechała Linda. Była blada i zaniepokojona, ale nie dała po sobie poznać, co czuje, widząc jej trzech byłych gości na tylnym siedzeniu radiowozu. Wysłuchiwała szeryfa, przytaknęła i poszła do biura po klucze.

Otworzyła wszystkie trzy wynajmowane przez nich pokoje. Shane odetchnął z ulgą, zanim jeszcze szeryf wszedł do środka.

- Nie ma ich. Uciekli. Jakoś.

- Skąd wiesz?

- Bo Michael jest mądrzejszy ode mnie i znalazł sposób.

Och, Eve, przestań się kręcić. Tu nie ma za wiele miejsca!

- Przepraszam - pociągnęła nosem Eve. Miała czerwone i zapuchnięte oczy, podobnie jak nos. I w ogóle nie wyglądała najlepiej. Claire trąciła ją delikatnie w ramię.

- Hej - rzuciła. - Będzie dobrze. Przecież my tego nie zrobiliśmy.

- Taa, bo przecież niewinnych nigdy nie skazują

w Teksasie na śmierć - zachnęła się Eve. - Nie okłamuj się.

80

Wpakowaliśmy się w kłopoty. I to duże. W takie, z których nawet Amelie nas nie wyciągnie.

Znów zaczęło jej się zbierać na płacz. Claire znów ją trąciła w ramię.

- Przestań. Będzie dobrze. Jakoś to wyjaśnimy.

- Urodzona optymistka z ciebie, co? - Eve pociągnęła nosem. - Masz jakieś wyposażenie? Na przykład do poło- wy pełną szklankę i cytryny, żeby z nich zrobić lemoniadę?

- Nie jestem optymistką - sprostowała Claire. - Po prostu nas znam.

- Właśnie - dodał Shane. - Słuchajcie, na komisariacie nas rozdziela. Nic nie mówcie. Na żaden temat. Po prostu rozglądajcie się i słuchajcie, dobra? Cokolwiek powiedzą, nie odzywajcie się.

- Oglądałam filmy kryminalne - stwierdziła obrażona

Eve. - Nie jestem głupia.

Shane pochylił się i spojrzał na Claire.

- Jasne, Eve wygada wszystko, co wie, jak tylko na nią groźniej spojrzą. A ty?

- Będę cicho jak myszka - obiecała Claire. Serce jej waliło jak młotem i nie była pewna, czy uda jej się dotrzymać obietnicy, ale w końcu przed Bishopem ukryła różne tajemnice.

A to nie mogło być równie straszne. Prawda?

Biuro szeryfa w Durram, w Teksasie, składało się właściwie z dwóch pomieszczeń i łazienki. Była tam niewielka otwarta przestrzeń z kilkoma biurkami i komputerami, na ścianach wisiały tablice korkowe obwieszane ogłoszeniami i zdjęciami, a za tym wszystkim były drzwi z metalowymi kratami. Ale zanim zaprowadzono ich do cel, Claire i Shane zostali posadzeni na drewnianej ławce. Wyglądała zupełnie jak kościelna, tyle że na obu końcach miała metalowe bolce, do których ich przykuto. Jak dla Claire, zbyt daleko od siebie. Naprawdę pragnęła, żeby Shane ją teraz objął. -

Proszę pana? Czy mogę iść do łazienki? - zapytał

Shane.

- Dopiero po przesłuchaniu.

- Ale ja nie żartuję, naprawdę muszę. Proszę? Czy woli pan sprzątać?

Zastępca szeryfa popatrzył na niego, zmęczony i pełny wątpliwości, na co Shane skrzywił się tak przekonująco, że nawet Claire nie była pewna, czy oszukuje. W końcu zastępca szeryfa westchnął, odpiął go od ławki i odprowadził do niewielkiej łazienki.

W tym czasie zaprowadzono Eve do biurka szeryfa, gdzie zaproponowano jej duże pudełko chusteczek i szklankę wody.

Claire zastanawiała się, co ma robić, kiedy w oknie komisariatu, za plecami szeryfa, ujrzała czyjąś

twarz. Wysoka, smukła osoba w długim czarnym płaszczu, kapeluszu i rękawiczkach.

81

Oliver. Ubrany na słońce. Działął, zbierał informacje na temat tego, gdzie są i co się stało. Zauważył, że Claire mu się przygląda i skinął jej lekko głową, co nie znaczyło kompletnie nic, nie oznaczało nawet nie martw się. Po czym zniknął.

Zadzwiećwał jej telefon. Rozejrzała się wokół, ale najwyraźniej ani szeryf, ani jego zastępca nic nie zauważyli. Eve owszem, ale po tym, jak raz mimowolnie spojrzała w jej stronę, siedziała odwrócona plecami i wpatrywała się w przestrzeń, ściskając w dłoniach chusteczkę.

Claire pokręciła się na ławce i udało jej się wyjąć komórkę z kieszeni tak, że nikt nie zwrócił na to uwagi.

Dostała od Michaela esemes z tekstem: „Niedługo was wyciągniemy. Na razie bądźcie cicho”.

Mniej więcej to samo zalecał Shane. Chciała w to wierzyć, ale jej wnętrzości wciąż się skręcały. Kompletnie nie nadawała się na kryminalistę.

Dobra, będzie tu siedziała i... myślała o czymś innym. Na przykład nauce. Niektórzy ludzie, żeby odwrócić od czegoś swoją uwagę, recytowali wyniki meczów. Claire lubiła powtarzać tablicę pierwiastków, a kiedy z tym skończyła, zabrała się do alchemicznych symboli i właściwości, których nauczył ją Myrnin. To pomagało. Sprawiało, że przypominała sobie, iż jest coś więcej niż tylko ta sala, ta chwila, że są ludzie, którym naprawdę zależy, aby wróciła.

Shane wrócił z łazienki i został znów przykuty do ławki. Przysunął się trochę bliżej do Claire, pochylił. Oparł łokcie na udach, a głowę spuścił tak, aby włosy zasłoniły

mu twarz.

- W łazience jest okno - powiedział. - Niewielkie, ale ty się przecisniesz. Tyle że się nie otwiera. Musiałabyś je wybić, a to oznaczałoby hałas.

Claire kaszlnęła i zakryła dłonią usta.

- Nie zamierzam uciekać z więzienia. Zwariowałaś?

- Tak tylko pomyślałem. To znaczy wydawało mi się, że to niezły pomysł. - Usiadł prosto, zmarszczył czoło i spojrział na nią. - Nie chcę, żebyś tu była. To nie... - Pokręcił głową. - To po prostu nie w porządku. Ja i Eve, no tak, ona się w to wpakowała na własne życzenie, a ja zawsze mam jakieś kłopoty. Ale ty...

- W porządku. - Wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na policzku. Poczowała ukłucia zarostu. To ją uspokoiło.

Sprawiało, że zapragnęła być gdzieś indziej. Na przykład w motelowym pokoju, za zamkniętymi drzwiami. - Nigdzie bez ciebie nie idę.

- Mam na ciebie taki zły wpływ.

- Sugerując, abym uciekła z więzienia? No, masz.

- No, przynajmniej tego nie zrobiłaś. Zawsze to coś. Zastępca szeryfa wstał zza biurka i odpiął Shane'a od ławki.

- Porozmawiajmy, panie Collins.

- Oczywiście - odparł Shane z udawanym entuzjazmem.

Puścił oko do Claire, co wywołało na jej twarzy uśmiech, do-

póki nie przypomniała sobie, że tu rzeczywiście nastąpiła tragedia - jeden człowiek był martwy, a dwóch zaginęło. Nie by-

li to najmiłsi ludzie na świecie, ale mimo wszystko...

Uświadomiła sobie, z zimnym potem w okolicy kręgosłupa, że nie ma pojęcia, co robił Oliver w momencie, gdy ci ludzie ginęli.

Zielonego pojęcia...

Po godzinnym przesłuchaniu szeryf zamknął ich w celach na zapleczu. Shane'a w jednej, a Eve i Claire razem w drugiej. Oczywiście zabrano im wszystkie rzeczy osobiste, łącznie z telefonami komórkowymi. Claire skasowała esemesy, choć wiedziała, że odzyskanie ich przez szeryfa to tylko kwestia czasu. Dowie się, że Michael gdzieś tam ucieka przed prawem.

Taka ucieczka może i byłaby romantyczna, gdyby nie fakt, że Michael był wampirem, był środek dnia, a on nie miał żadnej kryjówki.

Miała nadzieję, że obaj z Oliverem nie zapomnieli o lodówce z krwią. Mogli jej naprawdę potrzebować, zwłaszcza, gdyby zostali poparzeni.

I tak siedzę tutaj, martwiąc się o parę wampirów, które doskonale potrafią sobie dać radę, pomyślała. Powinnam zacząć się martwić, co się stanie, gdy szeryf zadzwoni do moich rodziców. Na pewno to zrobi, a wtedy cała sprawa stanie się milion razy gorsza.

- Hej - rzucił Shane zza kraty. - Wymienię papierosy na batonika.

- Bardzo śmieszne - skwitowała Eve. Już prawie wrócił jej gotycki urok. Tylko na policzkach i wokół oczu miała czerwone plamy. - Jak to się dzieje, że zawsze lądujesz za kratkami?

- I kto to mówi? Ja przynajmniej nie próbowałem uciekać policji w karawanie. - Ten karawan

miął konie mechaniczne. - Eve się rozmarzyła. - Kocham ten karawan.

- Taa. No cóż. Mam nadzieję, że ze wzajemnością, bo jak nie, to jest to po prostu smutne. I trochę chore. - Shane zabębnił palcami w kratę. - Nie jest tak źle. Przynajmniej tym razem mam lepsze towarzystwo. - Faktycznie, nikt nie planował przerobić go na wampira ani spalić żywcem, ale tym nie musiał wspominać. - I mają nawet papier toaletowy.

- Doprawdy, Collins, ta informacja nie była mi niezbędną. - Eve westchnęła, objęła się ramionami i znów zaczęła

83

przechadzać się po celi. - To mówi mi zdecydowanie za wiele o twojej przeszłości.

Claire wyciągnęła ręce za kraty. Shane zrobił to samo

1 ich palce się dotknęły. Spletli dłonie.

- Hej, to już przerabiałem.

- A ja nie - odparła. - Zwykle nie jestem za kratkami.

- Świetnie ci idzie.

Claire uśmiechnęła się do niego i wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Muszę ci coś powiedzieć. To ważne.

Shane mocniej ścisnął jej dłoń i zaczął głaskać palcem wskazującym po jej srebrnym pierścionku z kolorowym kamieniem.

- Wiem.

- Nieprawda, nie wiesz. Widziałam Olivera - wyszeptała tak szybko i cicho, jak tylko się dało. Najwyraźniej nie

tego spodziewał się Shane, bo zaczęły nim targać różne emocje, zanim przeważyła irytacja.

- Świetnie. Kiedy?

- Za oknem, gdy z tobą rozmawiali.

- Był upieczony?

- Nie, miał na sobie długi płaszcz i kapelusz. Ale nie sądzę, żeby był zachwycony tym, że musiał być na zewnątrz.

- Pewnie nie było co liczyć na to, że się upiecze. - Shane zamilkł, aż w końcu pokręcił lekko głową. - Zaczekają do

wieczora. Muszą, bez względu na to, co planują. Michael jest zbyt wrażliwy w ciągu dnia. Szkoda, że nie wiem, co planują.

- Podejrzewam, że to samo myślą o nas - odpowiedziała Claire. - Bo pewnie nie mają pojęcia, co się stało. Pewnie myślą, że to wszystko efekt szalonej jazdy Eve.

- Hej, słyszałam to! - odezwała się Eve.

Shane uśmiechnął się na moment. Nie odrywał oczu od Claire.

- To mi się nie podoba - powiedział. - Nie podoba mi się, że tu jesteście.

- Taa, no cóż, witaj w moim świecie - odpowiedziała Claire. - Ja też nie byłam zachwycona, widząc cię za kratkami. - Zaśmiała się ponuro. - A to miała być taka fajna wyściczka, prawda? Powinniśmy być już w Dallas.

- Mój tata mawiał, że życie to podróż, tylko że ktoś nawalił i zgubił mapę.

Claire nie chciała teraz myśleć o jego ojcu. Wspomnienie o Franku Collinsie nie było tym, co powinno teraz zdominować ich rozmowę. Zwłaszcza że kolejny pobyt w więzieniu, zapewne przywoływał Shane'owi na myśl ojca. A te myśli nie były niczym przyjemnym. Był okropnym, agresywnym ojcem, a teraz stał się wampirem. Claire

84

nie uważała, żeby to pozytywnie wpłynęło na jego charakter ani na jej stosunek do Collinsa.

Nawet jeśli uratował jej kiedyś życie.

- Najważniejsze, że jesteśmy razem - powiedziała.

- A propos, gdy stąd wyjdziemy, możemy razem pojechać, dokądkolwiek zechcemy. To do rozważenia.

Shane mówił o tym, żeby nie wracać. O opuszczeniu Morganville. Claire również się nad tym zastanawiała.

- Ja... ja nie mogę Shane. Moi rodzice...

Nachylił się w jej stronę i zaczął mówić szeptem:

- Naprawdę myślisz, że oni chcą, abyś tam była?

Codziennie narażała życie? Nie sądzisz, że chcieliby, abyś się wydostała i była bezpieczna?

- Nie mogę Shane, po prostu nie mogę. Przykro mi.

Shane zamilkł na chwilę i westchnął głęboko.

- Jestem pewien, że gdybym wydostał się z tych krat to bym cię przekonał. - Znow by cię aresztowali.

- Bo jesteś strasznie pociągającą nieletnią - pocałował jej palce, czym wywołał u niej dreszcze. Jego wargi ogrzewały ją, sprawiając, że cudownie czuła się obok niego, w tej niekończącej się, niezwyklej ciszy.

- Nie możemy za wiele zrobić, dopóki... - zamilkł, marszcząc brwi, spojrzał na zakratowane drzwi prowadzące do biura szeryfa. - Słyszaliście?

- Co? - W tym momencie usłyszała warkot silnika. I to dużego. To musiała być jakaś ciężarówka, nie pikap, ale jakiś duży samochód dostawczy, a może nawet tir. Zapiszczały hamulce i silnik zamilkł. - Może coś im dostarczają?

Może... ale jakoś Claire wątpiła w to wyjaśnienie. Miała złe przeczucie. Shane wpatrywał się z niepokojem w drzwi więzienia i czuł to samo, co Claire.

A potem z pomieszczenia obok dało się słyszeć brzęk tłuczonego szkła, krzyki i śmiech.

Kolejny łoskot i dalsze krzyki.

Shane puścił Claire.

- Dziewczyny, przejdźcie na tył celi. - Kiedy nie zareagowały na jego słowa, krzyknął.

- Już!

Tym razem usłuchały, choć nie było tam zbyt wiele miejsca, by się cofnąć choć o kilka kroków. Usiadły obok siebie na jednej pryczy i wpatrywały się w drzwi, czekając, aż ktoś wejdzie.

Nie był to Oliver. Nie był to nawet Michael.

85

To był Morley, wampir z Morganville w pełnej krasie. Miał na sobie kilka warstw wymiętych ubrań, a na głowie duży kapelusz z rondem, spod którego wystawały zwichrzone, siwiejące włosy.

Spojrzał na okratowane drzwi więzienia, parsknął śmiechem i jednym szarpnięciem wyrwał je z zawiasów. Odrzucił je na bok jak piórko.

Morley przestąpił przez próg, omiótł trójkę więźniów spojrzeniem i zerwał z głowy kapelusz, wykonując niski, szarmancki ukłon. Claire zauważyła, że miał w tym sporo wprawy. Mógł być na tyle stary, aby żyć w czasach, gdy właściwym ukłonem można było załatwić wiele spraw.

- Jak ptaszki w klatce. Co prawda umawialiśmy się, że oddacie mi krew, ale doprawdy, to aż zbyt łatwe.

Uśmiechnął się...

Pokazując kły.

Claire wstała i podeszła do krat. Nie lubiła pokazywać Morley owi ani żadnemu innemu

wampirowi, że się boi. Kiedy pracowała z Myrminem, za czasów jego szaleństwa, przekonała się, że okazywanie wampirom strachu prowokuje je, i to bardzo.

- Co tu robisz? - zapytała. Przez kilka sekund miała niewiarygodną wizję, jak Oliver dogaduje się z Morleyeni, żeby ich uratować. Ale to było niemożliwe. Pomysł, żeby Oliver i Morley rozmawiali na takim poziomie, nic wspominając już o możliwości wspólnej pracy, był szalony. - Przecież nie wolno ci wyjeżdżać z Morganville!

- A, tak. Te ustanowione przez Amelie zasady...
Ostatnie słowo wypowiedział z lubością, a w jego oczach pojawił się czerwony błysk. - Biedna stara Amelie ostatnio ma jakieś problemy. Krążą pogłoski, że nie jest już w stanie kontrolować miasta. Postanowiłem to sprawdzić. I oto... jestem wolny!

Niedobrze, naprawdę niedobrze. Claire nie знаła Morleya zbyt dobrze, ale wiedziała, że pasuje do wyobrażenia wampira ze starych złych czasów - bierze, co chce, kiedy chce i nie zastanawia się nad skutkami. Odwrotnie do sposobu, w jaki działała Amelie, a nawet Oliver. Dla Morleya ludzie byli po prostu workami z krwią, które potrafiły mówić, a czasem uciekać, co tylko zwiększało jego apetyt i nadawało polowaniu smaczku.

- Będą cię ścigać - stwierdziła Claire. - Ludzie Amelie.
Zdajesz sobie z tego sprawę?

- I nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak ona na tym wyjdzie. - Morley przechadzał się w tę i z powrotem wzdłuż krat, nucąc jakąś piosenkę. Jego oczy migotały srebrnym blaskiem. Nie wyrażały głodu, raczej rozbawienie. - Moi drodzy, wydaje mi się, że jest wam cokolwiek ciasno. Może was wypuścić?

- Wbrew pozorom całkiem tu wygodnie - odezwał się Shane. - Z każdą chwilą czuję się tutaj coraz lepiej.

86

- Może... - Morley się odwrócił. - Ach, postanowiłeś być dżentelmenem, rozumiem. Oczywiście. Panie przodem.

- Nie! - Shane rzucił się na kraty. Morley wpatrywał się teraz w dziewczyny. Claire uświadomiła sobie z przerażeniem, że udawanie twardziela na niewiele się tu zda. Nie w przypadku Morleya.

- Zmieniłem zdanie. Oczywiście, że pójdę pierwszy.

Morley pogroził Shane'owi palcem i nie spuszczał oczu

z dziewcząt. - Nie, miałeś swoją szansę. A poza tym gardzę tymi, którzy uznają się za dżentelmenów. W ten sposób nie zyskuje się przyjaciół.

- Nie! - krzyknął Shane i uderzył dłonią w kraty.

Zadzwieczyły ponuro. - Chodź tu, ty zawszona kanalio.

Bierz, co chciałeś.

- Wszy wysysają krew - powiedział spokojnie Morley. -

Właściwie te małe spryciary są kuzynkami wampirów.

Właściwie nie czuję się urażony twoją inwektywą. Chłopcze,

musisz wymyślić jakiś lepszy sposób, żeby mnie obrazić.

Powiedz, że moja broda bardziej przypomina szczotkę do

podłóg albo że mam więcej włosów niż rozumu. Bądź godny swoich przodków, błagam.

Shane nie miał pojęcia, jak na coś takiego odpowiedzieć. Claire chrząknęła.

- Na przykład... Żeś jest kamiennym przeciwnikiem,

w którego sercu nadaremnie szukałbyś kropli ludzkiego

uczucia? - Nienawidziła Szekspira. Ale musiała się na-

uczyć fragmentu na pamięć, bo w liceum wystawiali Kupca

weneckiego.

I sądząc po zaskoczonej minie Morleya, było warto. Aż się cofnął o krok.

- To mówi! - zawołał. - I to śpiewnymi, wspaniałymi

słowy. Acz nie mam do tego barda wielkiej sympatii. Był żalonym kompanem, jeśli chodzi o picie. Zawsze gdzieś uciekał, żeby gryzmolić coś w samotności. Pisarze... Strasznie nudna rasa.

- Co tu robisz? Bo wiem, że nie przybyłeś, by nas ratować. - Claire podeszła i

zaciśnęła dłonie na kratkach, jakby

wcale się go nie bała. Miała nadzieję, że wampir nie usłyszy

bicia jej serca, ale wiedziała, że to mało prawdopodobne. -

Nie jesteśmy aż tacy ważni.

- No cóż, z tym ostatnim na pewno masz rację. To zupełny przypadek. Tak

naprawdę szukamy miasta. Raczej

małego, oddalonego od innych i łatwego do opanowania.

Zdawało nam się, że to tutaj będzie dobre, ale jest za duże

jak na nasze potrzeby.

Morley nie uciekł z Morganville sam. Claire przypomniała sobie odgłos wielkiego silnika na zewnątrz. Tak czy inaczej, pojazd na pewno był wypełniony wampirami, głównie tymi, o których wypuszczenie z Morganville ubiegał się Morley.

Było coraz weselej.

- Nie możecie się tu tak po prostu sprowadzić. - Claire starała się, by jej słowa brzmiały rozsądnie. Jakby to miało pomóc. Puściła kraty i cofnęła się, gdy Morley znów się do niej zbliżył. - Tu mieszkają ludzie.

- To prawda i nie zamierzamy tu się osiedlić. Za wiele kłopotu z podporządkowaniem sobie tak dużej populacji.

Ale potrzebujemy zapasów, a to miasto jest nieźle zaopatrzone. Wręcz doskonale! -

Nagle Morley rzucił się do przodu, złapał kraty celi i wyrwał je, ot tak. Zgrzytnęło

żelazo

i pękły łączenia.

Eve, chowająca się za plecami Claire, jęknęła.

Shane coś krzyczał. Claire nawet nie drgnęła, tylko z jakiegoś powodu szyja, w miejscu, gdzie ugryzł ją Myrnin i gdzie nadal miała brzydką bliznę, zaczęła ją boleć. Morley stał tam przez chwilę, opierając dłonie o framugę wyrwanych drzwi, po czym wszedł do środka. A raczej wślizgnął się jak pantera. Oczy mu poczerwieniały, tęczęwki się rozświetliły i rozbłysły krwiście.

- Padnij! - krzyknął ktoś za nim, a Claire rzuciła się natychmiast na podłogę. Dało się słyszeć ryk i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to odgłos wystrzału. Morley zachwiał się i upadł na jedno kolano.

Szeryf wyglądał na oszołomionego, po twarzy spływała mu krew, ale rewolwer trzymał pewnie.

- Na ziemię, draniu. I nie zmuszaj mnie, żebym znów strzelił.

Morley powoli osunął się na podłogę. Szeryf odetchnął z ulgą i machnął ręką w stronę Eve i Claire, żeby wyszły z celi. Claire szybko przeskoczyła wyciągniętą rękę wampira, ze strachem, że w jednej chwili ją złapie, jak na filmach.

Nie zrobił tego. Eve wahała się chwilę, po czym rzuciła się do ucieczki, przeskakując dobrych kilkanaście centymetrów nad Morleyem. Szeryf złapał je i odsunął na bok. Otworzył celę Shane'a.

- Wychodź - rzucił. -1 pomóż mi wsadzić go do środka.

- Nie ma sensu go zamykać - stwierdził Shane. -

Wyrwał już dwoje drzwi. Chce pan, żeby zajął się trzecimi?

Szeryf najwyraźniej starał się o tym nie myśleć.

- Kim są ci ludzie? - warknął. - To jakieś cholerne potwory!

- Jakieś... - odpowiedział Shane. Objął Claire, a po chwili przytulił też Eve. - Dzięki. Wiem, że pan nam nie wierzy, ale to nie my jesteśmy tymi złymi.

88

- Zaczynam podejrzewać, że mówisz prawdę.

- Co pana naprowadziło na trop? Kłty czy wyrwane drzwi? - Shane nie czekał na odpowiedź. - On wcale nie umarł. Tylko udaje.

- Co?

- Jego nie da się tym zabić - wtrąciła Eve. - Nie da się go nawet przyhamować.

Szeryf odwrócił się do leżącego na podłodze Morleya. Wycelował w niego broń i zastygł w bezruchu. Morley nie drgnął.

- Nie, nie żyje. - Szeryf podszedł i dotknął brudnej szyi Morleya. Szybko zabrał rękę i się cofnął. - Jest zimny.

Morley zaśmiał się, przewrócił na plecy i powoli wrócił do pozycji siedzącej, odgrywając scenę powstania z grobu niczym w kiczowatym filmie o Drakuli. Jego wygląd szaleńca potęgował efekt.

Szeryf znów się cofnął, aż pod samą ścianę, i wycelował w Morleya z rewolweru, po czym znów pociągnął za spust.

Morley strzepnął ubranie, nie zwracając uwagi na kulę, która go trafiła.

- Proszę - mówiąc to, błyskawicznie zbliżył się do szeryfa, wyjął broń z jego ręki i rzucił w kąt celi. - Nienawidzę hałasu. No chyba że to krzyki. Krzyki są w porządku. Pan pozwoli, że zaprezentuję.

Złapał szeryfa za szyję.

Przez próg przebiegło coś bladego i bardzo szybkiego. Okazało się, że to kolejny wampir, Patience Goldman. Była ciemnowłosą młodą kobietą, ładną, o dużych ciemnych oczach i skórze, która byłaby pewnie oliwkowa, gdyby jej właścicielka nadal żyła. Dodawało to jej bladości miodowy odcień.

Objęła smukłą dłoń nadgarstek Morleya.

- Nie - powiedziała Patience. Claire już kilka razy spotkała ją i rodzinę Goldmanów. Właściwie ich lubiła. Jak na wampiry, naprawdę przejmowali się innymi ludźmi. - Nie ma takiej potrzeby.

Morley wyglądał na urażonego i zamachnął się na nią drugą ręką.

- Nie dotykaj mnie, kobieto. To nie twoja sprawa.

- Przybyliśmy zdobyć... zapasy. - Patience wypowiedziała

te słowa z jakimś wstydem i skrępowaniem. Claire

natychmiast zrozumiała, że zapasy oznaczały ich krew. -

Mamy to, czego potrzebujemy. Chodźmy. Im dłużej będzie-

my zwlekać, tym większe wzbudzimy zainteresowanie. To

zbędne ryzyko.

Patience i Jacob, jej brat, od jakiegoś czasu kręcili się blisko Morleya i chcieli się

wyrwać z Morganville, spod kurateli rodziców - Theo Goldman nie był zły, ale raczej

surowy, przynajmniej jeśli chodziło o rodzinę. Claire bez trudu mogła uwierzyć, że

89

Patience i Jacob przyłączyli się do Morleya, skoro sam uciekał, ale odrzucała myśl,

że mogliby

nie sprzeciwić się zabijaniu ludzi. A przynajmniej zabijaniu bez potrzeby.

Wampiry jako takie miały pewne problemy z moralnością w tej kwestii - przypuszczalnie było to wynikiem instynktu drapieżnika znajdującego się na końcu łańcucha pokarmowego.

- Hm... - odezwał się Morley i spojrzał na szeryfa. -Ma trochę racji. Na twoje szczęście. - Puścił mężczyznę, który zatoczył się na ścianę, blady i roztrzęsiony. - Zostań. Jeśli się ruszysz, odezwiesz albo zirytujesz mnie w jakikolwiek sposób, skręcę ci kark.

Szeryf zamarł w bezruchu, biorąc sobie te groźby do serca. Claire mu się nie dziwiła. Pamiętała swoje pierwsze spotkanie z wampirami, gdy uświadomiła sobie, że świat wcale nie był tak dobrze uporządkowanym miejscem, jak jej zawsze wmawiano. Takie spotkanie mogło nieźle namieszać w głowie.

I jak się tak zastanowić, to nie była pewna, czy kiedykolwiek w pełni się z tego otrząsnęła.

Zaczynała się właśnie rozluźniać, gdy Morley złapał ją i Eve za ramiona. A kiedy Shane z krzykiem zaprotestował, Morley zacisnął dłoń tak mocno, że Claire aż poczuła, jak potworny ból przeszywa jej ramię. Jeszcze trochę, a złamałby je.

- Nie rób zamieszania, chłopcze, bo będę zmuszony

porachować trochę kości. Dziewczyny idą z nami. A ty, jak

chcesz, to uciekaj. Nie będę cię zatrzymywał.

Tak jakby rzeczywiście Shane miał jakiś wybór. Spojrzał ponuro na Morleya i rzekł:

- Jeśli je zabierzesz, to razem ze mną.

- Jaki dżentelmen - uśmiechnął się Morley. - Chyba

już ci mówiłem, co sędzę o dżentelmenach. Ale jak sobie

chcesz.

Poprowadził Claire i Eve do pokoju, który był główną salą policji. Biurka były przewracane, papiery porozrzucone po podłodze, a zastępca szeryfa Tom leżał za jednym z krzeseł. Claire nie widziała go za dobrze. Miała nadzieję, że jest tylko... nieprzytomny.

Ale jakoś nie bardzo w to wierzyła. Shane szedł za Morleyem. Patience obok niego. Mięśnie miał napięte, dłonie zaciśnięte w pięści i jedyne, co powstrzymywało go przed rzuceniem się na Morleya, był strach, że to Claire i Eve najbardziej na tym ucierpią.

Morley otworzył szklane drzwi kopniakiem i spojrzał na stojące w zenicie słońce.
- Będę wdzięczny za pośpiech. - Pociągnął Eve i Claire do stojącego niedaleko autobusu.

90

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Był to stary autokar z przyciemnionymi szybami. Chwilę później Claire została wepchnięta na strome, wąskie schody pojazdu. Następnie wsiadł wampir i pociągnął za sobą Eve. W środku było ciemno. Tylko kilka nikłych światełek rozjaśniało wnętrze. Aksamitne fotele były wytarte i postrzępione. Prawie wszystkie przednie siedzenia były zajęte przez wampiry.

W tyle znajdowali się głównie ludzie, związani, zakneblowani i przerażeni. Claire nie dostrzegła żadnych mieszkańców Morganville, ale z zaskoczeniem rozpoznała dwie twarze - faceta w pomarańczowej czapce i wkurzonego gościa z baru przy stacji benzynowej, którzy zniszczyli samochód Eve. Szeryf powiedział, że zaginęli. A ona założyła, że, podobnie jak ich przyjaciel pozostawiony w pikapie, byli martwi.

Złapał ich Morley. Claire podejrzewała, że ten trzeci, który zginął, stracił życie raczej przez przypadek niż w wyniku przemyślanego działania. No chyba że on też naraził się czymś Morleyowi. Naprawdę, trudno było powiedzieć.

Dwa cwaniaczki nie wyglądały już na tak pewnych siebie. Mieli szeroko otwarte oczy, ciekło im z nosów i ciągle szarpali więzy.

- Wasi kumple? - zapytał Morley, przyglądając się jej twarzy. - Sprawdzę, czy uda się was posadzić w tym samym rzędzie. Wolisz od strony okna? - Pchnął Eve pod okno, naprzeciwko faceta w pomarańczowej czapce, Claire posadził na wolnym miejscu obok. Następnie odwrócił się do

Shane'a.

Ten usiadł spokojnie w fotelu przed Claire. Patience, widząc to, przygryzła wargę i potrząsnęła głową, ale kiedy Morley rzucił rozkaz, wyciągnęła plastikowe kable i przywiązała nimi Claire i Eve do foteli, po czym odwróciła się do Shane'a:

- Przepraszam za to - wyszeptwała. - Powinieneś był uciec. Wezwać pomoc. Dopilnowałabym, aby nie stała im się krzywda.

- Nie-powierzę ich życia nikomu. Bez urazy.

- Oczywiście. - Patience westchnęła. - Ale Morley za-

żąda od ciebie krwi. Obiecał, że nie wysączy ani kropli od więźniów, ale chyba znasz jego humory. Opór nie jest wskazany.

Shane wzruszył ramionami i się odwrócił. Nie lubił oddawać krwi, nawet w banku krwi i w objazdowym punkcie krwiodawstwa, a co dopiero wampirowi. I to bez względu na to, czy wampiry używały do tego narzędzi medycznych, czy stosowały metody tradycyjne. Claire też nie była tą wizją zachwycona i знаła Eve na tyle dobrze, żeby przewidzieć, że przyjaciółka będzie zawzięcie walczyć.

- Wypuść nas - błagała Claire. Morley przeszedł akurat na przód autokaru i z kimś rozmawiał, a Patience schyliwszy się nad Claire, sprawdzała jej więzy. - Patience, proszę.

Wiesz, że tak nie powinno być. Po prostu nas wypuść.

- Nie mogę.

- Ale...

- Nie mogę - powtórzyła, tym razem stanowczo. -

Proszę, nie prosz mnie o to więcej.

91

Wyprostowała się i odeszła, nie oglądając się za siebie. Zostawiła ich związanych tak mocno, że chciało im się krzyczeć. Pamiętaj, nie krzycz. Dobra rada.

Shane przekręcił się na fotelu i spojrział ponad zagłówkiem.

- Hej - szepnął. - Wszystko w porządku?

- Ze mną tak. Eve?

Eve gotowała się ze złości, policzki jej płonęły, a w oczach wrzała furia.

- Doskonale - warknęła. Po chwili dodała trochę delikatniej. - Jestem wkurzona. Naprawdę wkurzona. Co to za głupia wycieczka? Do tej pory zostałam napadnięta, obrażona, aresztowana, a teraz jestem przywiązana do krzesła w autokarze kierowanym przez wampirów i robię za przekąskę. A mój chłopak jest nie wiadomo gdzie i ucieka przed słońcem. To wszystko jest do kitu!

- Och... - Claire nie wiedziała, jak pocieszyć przyjaciółkę. Spojrzała na Shane'a, który wzruszył ramionami. -

Nic mu nie będzie.

- Wiem - westchnęła Eve. - Po prostu... Potrzebuję go teraz, wiesz? Shane był na tyle elegancki, że poszedł z tobą.

A ja... czuję się opuszczona. To wszystko.

- Nikt cię nie opuści! - zaprzeczył Shane. - Nie złość się na Michaela. Trochę inaczej to wygląda, kiedy jest się

łatwopalnym.

Eve odwróciła się do okna i powiedziała:

- Wiem. Po prostu, no, nienawidzę bezsilności. Musimy się stąd wydostać.

Ale kiedy Morley usiadł za kierownicą autokaru, zatrzasnął drzwi i uruchomił silnik, Claire nie była wcale pewna, jakie mają możliwości. Morley nie był zainteresowany układami, a poza tym i tak nie mieli nic na wymianę. Nie mieli czym go zastraszyć, nawet Amelią. Już pokazał, co sądzi o Amelii, wynosząc się z Morganville, i najwyraźniej nie obawiał się, że ta postanowi ich gonić. Claire nic innego nie przychodziło do głowy. Kompletnie nic.

- Przeczekaj to - powiedział Shane, jakby wiedział, o czym rozmyśla. Coraz lepiej odgadywał jej myśli. - Poczekajmy i obserwujmy sytuację. Na pewno coś się wydarzy. Musimy wtedy być po prostu gotowi do działania.

- Cudownie - kwaśno skwitowała Eve. - Czekanie to moje ulubione zajęcie. Zaraz po kąpaniu w kwasie i wysysaniu ze mnie krwi.

- Przykro mi - zwrócił się Shane do Claire.

- Dlaczego?

- Że musisz siedzieć obok tego słoneczka. To nie będzie wesoła podróż.

Rozdział 8

Eve siedziała cicho, ale aż gotowała się ze złości. Claire czuła promieniującą z niej wściekłość, jakby to była elektryczność statyczna. I raczej nie zapowiadało się na to, aby szybko jej przeszło. Claire pomyślała, że Eve się denerwuje, aby nie czuć strachu. Strach w tej sytuacji by im nie pomógł. Na pewno nie pomagał facetowi w pomarańczowej czapce ani wkurzonemu gościowi, ani też pozostałej piątce ludzi, których dostrzegła Claire, związanych i zakneblowanych, czekających, aż któryś wampir zgłodnieje.

Widziała już jeden taki zabieg, ale został przeprowadzony poprawnie od strony medycznej. Jacob Goldman, brat Patience, a w innych okolicznościach całkiem sympatyczny facet, obwiązał opaską uciskową ramię człowieka siedzącego dwa rzędy przed Claire i wysączył z niego jakieś dziesięć fiolek krwi. Robił to nieźle. Pewnie nauczył go tego Theo, jego ojciec. Claire podejrzewała, że w pobieraniu krwi przez wampira zaletą jest to, że bezbłędnie trafia w żyłę i nie musi próbować ponownie.

Jacob nie wyglądał na szczęśliwego z powierzonego mu zadania, a na koniec nawet poklepał delikatnie po ramieniu swoją ofiarę, pragnąc dodać jej otuchy. Jeszcze trochę, a wręczyłby tabliczkę czekolady, ale zważywszy na to, że mężczyzna był zakneblowany, nie miałoby to wielkiego sensu.

- To się nie dzieje - wyszeptała obok niej Eve. - Nie, to się nie dzieje. To nie może się dziać. Gdzie, do cholery, jest Oliver. Podobno miał się nami opiekować.

Claire nie wiedziała i nie mogła pocieszyć Eve. Ją też ogarniało zwątpienie. Michael się nie pojawił, Oliver też nie, a to oznaczało, że sprawa musiała być poważna. Z jakiś powodów musiała... Oliver przynajmniej mógł przebywać na słońcu, widziała go przed więzieniem, nim Morley wkroczył do akcji. Ale w takim razie dlaczego się nie pokazywał?

Bo jesteś nieważna. Odezwał się głosik w głowie Claire. Bo jesteś tylko człowiekiem. Daniem na wynos.

Nieprawda. Nawet Oliver traktował ich... no, może nie życzliwie, ale przynajmniej miał do nich jakiś szacunek. A Eve nawet trochę lubił.

Nie mógłby po prostu stać i na to patrzeć. Chyba że uznał, że tu nie wygra, odpowiedział głosik, którego stwierdzenia były zbyt logiczne, aby Claire mogła im zaprzeczyć. Oliver nie należał do typów, co się poświęcają dla innych, no może,

może z wyjątkiem Amelie, i to też tylko w niektórych przypadkach.

Ale Michael owszem i na pewno by się pojawił, gdyby coś go nie zatrzymało. Albo ktoś. Claire chrząknęła.

- Jacob? Mogę cię o coś spytać?

93

Jacob wsunął fiolki z krwią do kieszeni kurtki i przeszedł na tył autobusu. Poruszał się z gracją, dostosowując się do ruchów autokaru. Nie przytrzymywał się nawet zagłówków. Przykucnął przy Claire.

- Bardzo mi przykro. Nie tak to zaplanowaliśmy. Nie zamierzaliśmy tego robić w ten sposób, ale nie udało nam się dostać ani do stacji krwiodawstwa, ani do punktu objazdowego. Były dobrze strzeżone. Musieliśmy wybierać między ucieczką bez zapasów a...

- Zaopatrywaniem się w spożywcza? - Claire starała się pohamować ironię w głosie, ale to było trudne. - Ale nie o tym chciałam rozmawiać.

Jacob skinął głową i czekał.

- Widziałeś Michaela?

- Nie - odpowiedział. Claire widziała, że wampir beznadziejnie kłamie. - Nie pojechał z wami?

- Jacob, dobrze wiesz, że nie - wyszeptała Claire, mając nadzieję, że Eve jej nie słyszy. - Czy coś mu się stało?

Jacob wpatrywał się w nią przez kilka długich, męczących sekund:

- Nie wiem.

Wstał i odszedł. Claire przygryzła język, aby pohamować olbrzymią potrzebę krzyknienia za nim. Pewnie i tak skończyłoby się to zakneblowaniem jej ust.

Shane siedział odwrócony w jej stronę na tyle, na ile pozwalały mu na to więzy, i patrzył na nią. On też wiedział.

Claire spojrzała w stronę Eve, ale dziewczyna wyglądała przez okno. Nie płakała. Już nie. Wyglądała tylko... na nieobecną, jakby odsunęła się od wszystkiego, co się wokół niej działo.

Shane miał rację. Nie mogli na razie nic zrobić, tylko czekać.

Claire nie bardzo potrafiła się do tego dostosować, ale postanowiła spędzić czas na rozmyśleniach. Co by zrobił Myrnin? Pewnie skonstruowałby z paznokci i nici wyprutych z kurtki urządzenie, którym można by przeciąć plastikowe kajdanki. Ale Myrnin złopałby też chętnie krew, więc może nie był akurat najlepszym wzorem do naśladowania. Sam. Co by zrobił dziadek Michaela? Też wampir, ale nigdy nie podobały mu się takie akcje. Bronił ludzi. Całe swoje życie, zarówno jako człowiek, jak i wampir.

I nigdy nie był przykuty do fotela, geniuszu, odezwał się głosik w jej głowie. A co z Hannah Moses? Claire nie umiała sobie wyobrazić, jak Hannah, jako marines, wydostałaby się z takiej

opresji, ale pewnie wiązałoby się to z użyciem ukrytego przy kostce u nogi noża.

A oczywiście Claire niczego ostrego nie miała.

Kołysanie się autokaru działało hipnotycznie. Okna były przyciemnione, poza przesuwanymi się cieniami niewiele dało się zobaczyć. Wampiry szeptały między sobą i Claire wyczuwała stłumione podniecenie. To dziwne, ale wyglądało na to, że wampiry też czuły się uwięzione w Morgamdlle, głównie z powodu panujących tam sztywnych zasad, ale Claire zdawała sobie sprawę, że im było trudno opuścić miasto, tak samo jak ludziom.

94

Claire odniosła wrażenie, że wampiry odczuwają taką samą radość po opuszczeniu miasta, co ona, Eve, Michael i Shane. To się wydawało... złe.

- Eve? - Claire spróbowała trącić ramieniem przyjaciółkę. Robiła to tyle razy, aż wreszcie wyrwała Eve z transu i przyciągnęła jej uwagę.

- Hej, jak leci?

- Świetnie. Przygoda życia.

Opuściła głowę na zagłówek i zamknęła oczy.

- Obudź mnie na masakrę. Za nic nie chciałabym tego przegapić.

Claire nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc też oparła głowę i zamknęła oczy. Odgłos jazdy zamienił się w jej głowie w biały szum, a potem...

Zasnęła.

Gdy się obudziła, autokar zwalniał. Claire wzdrygnęła się i spróbowała się przeciągnąć. Plastikowe kajdanki natychmiast przypomniały o sobie, wbijając się boleśnie w jej skórę. Wzięła głęboki oddech i spróbowała się rozluźnić, po czym rozejrzała wokół. Eve też się obudziła. Jej ciemne, zmrużone oczy błyskały w półmroku. Claire widziała, jak Shane próbuje zobaczyć coś za oknem.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała. Shane pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział. - Niewiele da się zobaczyć. Zdaje się, że w jakimś małym miasteczku, ale nie mam pewności.

- Nie potrzebują więcej, hm, zapasów. Nie ma wolnych miejsc.

- O tym samym pomyślałem.

Jego głos niczego nie zdradzał, ale Claire wiedziała, że jej chłopak niepokoi się tym postojem równie mocno, jak ona.

Z piskiem hamulców i szarpnięciem Morley zatrzymał autokar, po czym otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. Nadal było jasno. Światło wpadające przez harmonijkowe drzwi było mlecznobiałe i intensywne.

Żaden z wampirów za nim nie poszedł. Po prostu czekały. Morley wrócił, stanął naprzodzie autobusu i się uśmiechnął.

- Bracia i siostry. Zatrzymałem się po paliwo. Przegryźcie coś, podczas gdy ja zajmę się

tankowaniem.

- O nie... - wyszeptała Eve. - Nie, nie, nie!

Claire spróbowała po raz kolejny uwolnić rękę. Plastikowe kajdanki wbiły się jeszcze bardziej, tak że popłynęła jej krew i musiała przestać. W tym momencie uwalnianie zapachu krwi nie było wskazane.

Wampiry spoglądały na ludzi z tyłu autokaru i oczy zaczynały im błyszczeć.

Nie było pośród nich Patience ani Jacoba Goldmanów. Stali bliżej tyłu i szeptali coś między sobą. Patience była podenerwowana czymś, co mówił Jacob, ale on się upierał i kiedy pierwszy wampir wstał po swoją przekąskę, Jacob poderwał się z fotela i zastąpił mu drogę.

Wampir okazał się kobietą. Claire nigdy wcześniej jej nie widziała. Wampirzyca wyglądała na dość starą i nie była zbyt ładna. Jej też nie spodobała się interwencja

95

Jacoba i powiedziała do niego coś w języku, którego Claire nie знаła. Natomiast

Jacob musiał znać, bo natychmiast odpowiedział.

Patience w końcu podniosła się z miejsca i stanęła obok niego, wyraźnie dając wsparcie.

Jacob sięgnął do kieszeni i podał wampirzycy dwie fiołki krwi. Odezwał się po angielsku:

- To ci na razie wystarczy. Nie ma potrzeby nikogo zabijać i wiesz, co by się stało, gdybyśmy pozwolili na to, żeby każdy się sam pożywił. Weź to i wracaj na miejsce.

- Co ty sobie wyobrażasz, że jesteś Amelią? – Kobieta odstłoniła kły wszyderyczym uśmiechem. – Wyjechałam z Morganville, żeby uciec przed głupimi zasadami. Daj mi to, czego chcę, albo sama sobie wezmę.

- Zasady nie są głupie - powiedziała Patience. - Są rozsądne. Jeśli chcesz uprzedzić ludzi o naszej obecności i przywrócić dawne złe czasy, czasy, gdy uciekaliśmy, aby ratować życie, gdy nie posiadaliśmy niczego i byliśmy niczym, to poczekaj, aż dotrzemy do celu podróży. Wtedy będziesz mogła sobie iść i robić, co ci się podoba. Ale póki Jacob i ja jesteśmy tutaj, nie będziesz pasożytować na tych ludziach. Nie pozwolę, aby zginęli, bo ty nie potrafisz się opanować.

Mówiła z pełnym przekonaniem i tak stanowczo, że tylko kretyń mógł się z nią kłócić. Głodna wampirzyca zmarszczyła brwi, przemyślała jej słowa i zachnęła się sfrustrowana. Złapała dwie fiołki leżące na wyciągniętej dłoni Jacoba.

- Będę potrzebowała więcej - warknęła. - Lepiej zacznij ich doić. Masz mnóstwo gąb do wykarmienia.

Jacob nic jej nie odpowiedział.

- Kto jeszcze? Mogę dać jeszcze cztery.

Kolejne cztery wampiry wstały i wzięły fiołki. Jacob wyciągnął sprzęt medyczny i podał go Patience.

- Ja tu zostanę - powiedział. - Pobierz krew.

- Tak jest! I niech się nie ociągają! - krzyknął jeden z wampirów, a reszta odpowiedziała na to

śmiechem.

- Wystarczy tego. - W głosie Jacoba dało się usłyszeć wesołą nutę. - Wszyscy dostaną to, czego chcą. Tyle że nie teraz. I nie tu.

Obejrzał się przez ramię na Patience, która właśnie zakładała opaskę uciskową pierwszemu człowiekowi. Była to kobieta, która początkowo trochę się opierała, ale Patience wykazała się równie dużymi umiejętnościami przy pobieraniu krwi, jak jej brat. Nappełniła kolejne dziesięć fiolek, które podała Jacobowi, a sama przeszła do kolejnego dawcy.

I tak to szło. Nawet po tym, jak Morley wrócił do autokaru. Zobaczył, co się dzieje i pokręcił głową:

- Możesz zabrać wampira z Morganville... - Nie do-

96

kończył zdania i siadł za kierownicą. - Dobra, młodzieży, później będziemy się kąpać w krwi. Teraz jazda.

Claire miała cichą nadzieję, że wampiry najedzą się, zanim Patience dotrze do jej rzędu, ale niestety. Przy-najmniej zaczęła z lewej strony, od wkurzonego gościa, którego małe oczka i zduszone okrzyki zdawały się nie robić na niej żadnego wrażenia. Szybko upuściła mu krwi, schowała fiołki i przeszła do mężczyzny w pomarańczowej czapce. Łzy zalewały mu całą twarz. Z nosa też mu kapało.

Kiedy Patience z nim skończyła, odwróciła się do Claire. Patrzyła na nią przez dłuższą chwilę, po czym powiedziała:

- Nie wezmę twojej krwi. Ani od twoich przyjaciół. Jeszcze nie teraz. Siedząca obok Eve odetchnęła z ulgą. Shane także się rozluźnił.

Natomiast Claire nie.

- Dlaczego?

- Bo... myślę, że jesteśmy ci winni przysługę. Niech to będzie zapłata. - Ruszyła do następnego rzędu.

- Poczekaj! - krzyknęła za nią Claire. Ciemne, dziwne oczy Patience znów na nią patrzyły. - Zabiją nas wszystkich. Nie chcecie tego, ani ty, ani Jacob.

- Jacob i ja jesteśmy w mniejszości - odpowiedziała cicho wampirzyca. - Przykro mi, ale nie możemy zrobić wiele więcej ponad to, co już robimy. Wybacz.

- Musi być coś... - Claire zagryzła dolną wargę. Eve zaczęła przysłuchiwać się rozmowie, podobnie Shane, chociaż Claire starała się mówić szeptem. - Może nas uwolnisz? Obiecujemy, że nie powiemy Morleyowi.

- Dziecko, nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz - stwierdziła ze smutkiem Patience. - Złapie was, a wtedy dowie się wszystkiego, czego będzie chciał. Nie ma powodów, aby nie wydarł z was tej informacji. Już i tak może się wydać podejrzanę, że nie pobrałam od was krwi. Już teraz uważa, że Jacob i ja jesteśmy zbyt słabi. Narazacie zarówno nas, jak samych siebie.

- To jaki mamy wybór? - syknęła Eve, nachylając się tak daleko, jak mogła. - Mamy się dać zagryźć na śmierć? Nie, dziękuję. Daruję sobie. Jakbym chciała skończyć w tak makabryczny, okropny sposób, stanęłabym na jakimś rogu

w Morganville i zaoszczędziła sobie kłopotu! Patience wyglądała na jeszcze bardziej zmieszaną.

- Nie mogę wam pomóc - powtórzyła. - Przykro mi.

I najwyraźniej to była jej ostateczna odpowiedź. Claire patrzyła, jak wampirzyca dalej pobiera krew, najwyraźniej zadowolona, że spełniła już dziś dobry uczynek.

- Mamy przerabane - stwierdził obojętnie Shane i odwrócił się do dziewczyn. - Nadal chcecie wracać do Morganville? Bo jest tam tak samo jak tu.

Eve westchnęła, oparła czoło o okno i wyglądała, jakby zaraz miała się znów rozplakać. Ale nie. Claire prawie chciała, żeby to jej popłynęły. Ten nerwowy gniew zupełnie nie pasował do Eve. Sprawiał, że Claire zaczynała się denerwować, a ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, było przyspieszenie pulsu.

- Michael nas znajdzie - powiedziała Eve. - Przyjdą po nas.

97

Claire pragnęła mieć taką pewność.

Patience i Jacob rozdali całą pobraną krew, po dwie fiołki na wampira, a resztę oddali Morleyowi, który wypił je niczym drinki w happy hour w barze. Patrzenie na to, jak wampiry się posilają, było obrzydliwe. Claire ścisnął się żołądek i stwierdziła, że właściwie łatwiej jest patrzeć na swoje stopy, niż przyglądać się otoczeniu. Niektórzy ludzie pomdleli. Claire nie wiedziała, czy po prostu zasnęli, mieli zbyt niskie ciśnienie krwi, czy to efekt strachu. Ale przynajmniej zrobiło się ciszej. Morley dalej prowadził i zdawało się, że minęło wiele godzin, nim autokar znów zaczął zwalniać. Nie zatrzymał się. Morley wrzucił niski bieg i odwrócił się do wampira za sobą. Tamten skinął głową, kiwnął na trzy inne, by za nim poszły.

- Co się dzieje? - zapytał Shane. - Widzisz coś?

- Nie. - Gdy Morley otworzył drzwi autokaru, wydała stłumiony okrzyk. Autokar toczył się jakieś sześćdziesiąt, może siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Naprzodzie cztery wampiry włożyły długie płaszcze, kapelusze i rękawiczki - strój chroniący przed słońcem - i ustawiły się na schodach.

Po czym wyskoczyły jeden po drugim.

- Co się do cholery dzieje? - Shane niezgrabnie zaczął się kręcić, próbując uwolnić się z więzów. - Eve, widzisz coś? Co się dzieje?

- Nie... czekaj... mam wrażenie... - Eve zmrużyła oczy i przycisnęła twarz do szyby. - Mam wrażenie, że chcą dopaść coś za nami. Chyba samochód.

Cztery wampiry wyskoczyły w pełne słońce, aby zaatakować samochód, który jechał za nimi. A może ich śledził?

Claire stłumiła okrzyk, kiedy wzdłuż kręgosłupa przeszedł ją dreszcz. Michael.

Oliver. To musieli być oni. Wymyślili coś. Byli tuż za nimi.

Taa, odezwał się tragiczny, pesymistyczny głosik w jej głowie. Są tuż za nami, a za chwile cztery wampiry wywloką ich z samochodu i zostawią na słońcu, by się usmażyli.

- Widzisz? - Claire zadrżał głos. Eve nie odpowiedziała. - Eve!

- Próbuję! - warknęła Eve. - Widać same cienie. Ledwo dostrzegłam samochód. O nie...

- Co? - Claire i Shane krzyknęli jednocześnie, nachylając się nad Eve.

- Samochód. Wydaje mi się... on chyba się rozbił. Nie ma go już za nami. - Znow brzmiała nijako, pokonana. - Nie ma go.

- Cholera - rzucił Shane. - To pewnie był jakiś farmer jadący na targ. Nie miał nic wspólnego z tym wszystkim.

- Już nieważne - szepnęła Eve. - Nie ma ich.

Zaczęła płakać, a łkanie wstrząsało całym jej ciałem i sprawiało, że uderzała głową o szybę. Claire instynktownie próbowała ją przytulić.

- Hej - powiedziała, starając się brzmieć współczująco i kojąco. Cierpiała razem z Eve, która zdawała się taka... zagubiona. - Eve, proszę, przestań. Nie rób tego. Będzie dobrze. Wszystko jest...

- Nie, nie jest! - krzyknęła Eve i odwróciła się do Claire

98

zapłakana. - Nie jest dobrze! Michael! Michael!

Zaczęła się rzucać na siedzeniu. Shane też próbował ją uspokoić, ale Eve nie słuchała, nikogo.

Podeszła Patience i ze smutną, ale zdecydowaną miną pochyliła się i dała Eve zastrzyk w ramię. Zrobiła to tak szybko, że Claire nie zdążyła zareagować i ją powstrzymać. Eve przestała się rzucać i powiedziała zaskoczona:

- Aj...

Osunęła się bezwiednie, z głową pochyloną w stronę okna i pasmami włosów osłaniającymi twarz.

- Coś ty zrobiła? - Claire z trudem powstrzymywała się od krzyku. Już wiedziała, czym się kończy krzyk.

- Będzie spała - wyjaśniła Patience. - Nie jest ranna. Tak będzie lepiej. Gdyby nie to, mogłaby sobie zrobić krzywdę.

- Taa, nie możemy do tego dopuścić - gorzko rzucił Shane. - To wasza rola. O co chodziło z tym samochodem jadącym za nami?

Patience nałożyła z powrotem na igłę zatyczkę i schowała ją do kieszeni.

- Ktoś nas śledził. Ale już przestał. Nie musicie nic więcej wiedzieć.

Autokar znow zmienił prędkość, przyhamował z jękiem i toczył się teraz wolno. Drzwi otworzyły

się i do środka weszły dwa wampiry. Miały na sobie kapelusze, rękawice i długie płaszcze chroniące przed słońcem.

Ale mimo tej ochrony jeden z nich się dymił.

Drugi, trochę wyższy i szczuplejszy, złapał Morleya za szyję, wyciągnął z miejsca kierowcy i wyrzucił za drzwi.

- Leć! - krzyknął i zdjął kapelusz.

Tym wysokim był Oliver.

Michael, drugi dymiący się wampir, rzucił się wzdłuż przejścia, wpadł na Patience i Jacoba, przewracając ich. Nikt inny nie zdążył wstać, ale kilka wampirów próbowało złapać go za płaszcz. Tuż za nim biegł Oliver. Gdy dotarli do rzędów z ludźmi, Oliver odwrócił się gwałtownie i warknął na innych wampirów, nim te wstały.

Jacob poderwał się, rzucił ponure spojrzenie Oliverowi i wskoczył na zagłówek najbliższego fotela, przysiadając jak drapieżny ptak. To samo uczyniła Patience po drugiej stronie.

- Nie - rzekła beznamiętnie, gdy wampiry ruszyły w ich stronę. - Zostańcie na swoich miejscach.

Michael dotarł do uwięzionych i pierwszą uwolnił Claire. Zajął mu to kilka cennych sekund, bo plastik okazał się mocniejszy, niż przypuszczał, a starał się nie zrobić jej krzywdy. Gdy tylko ją uwolnił, pochylił się nad Eve i jednym silnym pchnięciem usunął szybę w oknie. Metal się pogięł i zgrzytnął, szkło popękało i całe okno z uszczelką wyleciało na szosę.

Do środka wpadło światło, parząc jego twarz. Michael szarpnął się do tyłu, hamując krzyk. Claire zobaczyła przelotnie poparzoną skórę.

99

- Wychodź! - krzyknął i złapał ją w pól, żeby pomóc jej dotrzeć do okna. Fragment skóry wystający między rękawiczkami a rękawem płaszcza skwierczał jak smażony bekon. Claire spojrzała za okno. Autokar wciąż jechał i przyspieszał, zjeżdżając z górki.

- Claire, skacz!

Nie miała wielkiego wyboru.

Skoczyła, wylądowała twardo. Udało jej się ochronić głowę i zwinąć w kulkę i zaczęła się toczyć po rozgrzanej szosie.

Autokar jechał dalej. Claire słyszała krzyki i odgłosy walki. Wybito kolejne okno, obok Shane'a.

- No już, wyskocz - wyszeptała i podniosła się z ziemi. Wszystko ją bolało i chyba skręciła kostkę, ale to nie miało teraz znaczenia.

Obserwowała autokar.

Nikt nie wyskoczył przez okno.

Claire zaczęła biec za autokarem, a raczej kuśtykać. Po paru metrach musiała się zatrzymać, bo nie mogła już ustać na chorej nodze.

- Shane! - krzyknęła. - Shane, wychodź! No już!

Całą uwagę skupiła na autokarze, ale dzięki ostremu treningowi w Morganville miała niezły instykt przetrwania. Wyczuła za sobą czyjąś obecność i w samą porę rzuciła się na ziemię.

To był Morley. Piekł się w upalnym słońcu - nie skwierczał jak Michael, ale wyraźnie przybierał kolor niezdrowej opalenizny. I był wkurzony. Machnął ręką i gdyby Clair nie zrobiła uniku, pewnie skręciłby jej kark. Przeturlała się i podniosła na nogi. Znow poczuła ból i zaczęła skakać na jednej nodze do tyłu.

Morley posłał jej dziki, paskudny uśmiech.

- Nikt nie opuszcza wycieczki. A już na pewno nie ty, dziewczynko. Jestem pewien, że Amelie chce cię z powrotem. Jesteś moim zabezpieczeniem. Nie wolno ci oddalać się od grupy.

Wyciągnął rękę w jej stronę. Claire kątem oka dostrzegła, że z wybitego okna wyskakuje jakiś ciemny kształt, który ruszył w ich kierunku. Na początku myślała, że to Michael, ale to był Oliver.

Uderzył z impetem w Morleya jak w mur i odrzucił go na jakieś piętnaście metrów. Morley potoczył się jak kula starych łachów. Kiedy Oliver zobaczył, że Claire kuleje, rzucił jej poirytowane spojrzenie, złapał ją i krzyknął w stronę autokaru:

- Michael, zostaw! Wyłaź!

Zza pagórka wyłonił się z rykiem samochód - radiowóz. Z porytego zadrapaniami dachu zwisały resztki policyjnego koguta.

100

Nie przyhamował na widok Morleya, tylko zatrzymał się w poprzek drogi z piskiem opon. Kierowca otworzył drzwi od strony pasażera i tylne. Oliver wrzucił Claire na tylne siedzenie, zostawił otwarte drzwi i pognął z powrotem do autokaru. Podskoczył i trzymając się okna, złapał Michaela i pociągnął.

Michael wypadł ciężko na szosę. Oliver jak kot zeskoczył obok i pomógł mu wstać. Zdjął swój kapelusz i włożył na blond czuprynę Michaela, ściągnął płaszcz i narzucił na chłopaka.

Michael starał się uwolnić, ale Oliver zaciągnął młodego wampira do radiowozu, wpakował do środka na tylne siedzenie i zatrzasnął drzwi, nie pozwalając mu wyjść. Od wewnątrz klamki oczywiście nie działały. Michael wylądował częściowo na Claire. Był ciężki i pachniał spalonymi włosami. Próbował wybić okno. Claire zauważyła, że okno jest pomalowane sprejem na czarno. Tylko przednia szyba była

czysta.

Oliver usiadł z przodu, odwrócił się i przecisnął pięść przez metalową siatkę odgradzającą przednie siedzenie od tylnego, oderwał część i złapał Michaela za ramię.

- Nie pomożesz im, ginąc. Próbowałaś. Spróbujemy

jeszcze raz. To nie koniec.

- Eve wciąż tam jest! Nie mogę jej tam zostawić! -

krzyknął Michael, wrywając się.

Oliver westchnął z niezadowoleniem, złapał Michaela za szyję i przycisnął do poplamionego fotela.

- Słuchaj! - Oliver zerwał kolejny kawałek metalowej siatki, by móc spojrzeć młodemu wampirovi w oczy. - Michael, przyrzekam, że nie opuścimy twoich przyjaciół. Ale musisz się opanować. To im nie pomoże, natomiast

zmniejszy twoją przydatność zarówno dla mnie, jak i dla tych, których kochasz.

Rozumiesz?

Michael nadal był spięty i gotowy do walki, ale Oliver trzymał go i wpatrywał mu się w oczy tak długo, aż w końcu chłopak uniósł ręce w geście poddania.

Ale Oliver go nie puszczał.

- Ruszaj! - rzucił w stronę kierowcy. - Jedź za autokarem. Morley wsiadł już z powrotem. Będzie jechał dalej, a my powinniśmy się trzymać poza zasięgiem jego wzroku.

- Jak mam go śledzić, jeśli nie będę go widział? - zaprotestował kierowca.

Claire uświadomiła sobie, że zna ten głos. Ale nie należał do szeryfa z Durram, ani nawet do jego zastępcy. Brzmiał...

Niemożliwe.

Claire pochyliła się i wyjrzała przez kratę.

- Jason? Jason Rosser? Brat Eve? Co ty tu, u diabła, robisz?

- Oliver potrzebował wsparcia, które nie byłoby łatwopalne. Poza tym tam jest moja siostra.

101

Eve nadal była w autokarze, dlatego Michael tak się szamotał. Claire czuła się teraz dziwnie zagubiona. Może uderzenie w głowę było mocniejsze, niż jej się zdawało.

Bolała ją prawa strona. W ogóle wraz ze spadkiem adrenaliny czuła się coraz bardziej obolała.

Shane. Shane też pozostał w autokarze. Dlaczego?

- Jason, użyj tego, żeby ich śledzić - odezwał się Oliver i wyciągnął coś ze schowka.

Wyglądało jak GPS. - Został tak ustawiony, aby śledzić ten autokar.

- Podłożyłeś im pluskwę?

- Nie, twojej siostrze. Podczas zamieszania wrzuciłem jej komórkę do kieszeni. Miejmy nadzieję, że będzie miała okazję jej użyć.

Podał urządzenie Jasonowi, który przypiął je do deski rozdzielczej i ustawił pod takim kątem, aby widzieć kolorowy wyświetlacz z mapą.

- Fajne - stwierdził. - Hej, a może byś jeszcze dał strzelbę? Też by się przydała.
- Nie. Broń to ostatnia rzecz, jaką dałbym ci do ręki.

Po prostu jedź.

Claire uświadomiła sobie, że ma problemy z koncentracją.

- Dałeś Eve telefon?
- Włożyłem do jej kieszeni. Jeśli jej nie przeszukają ponownie, to raczej nie powinni się zorientować. Sporo tam się działo.
- A co z Shane'em? Wszystko w porządku?
- Nie wiem. - Oliver dalej wpatrywał się w Michaela. -

W porządku?

- Uwolniłem mu jedną rękę - odpowiedział młody wampir. - Mogłem wyciągnąć ich oboje. Potrzebowałem tylko więcej...

- Jeszcze chwila, a rozszarpaliby cię na strzępy, a to na nic by mi się zdało - stwierdził Oliver. - Patience i Jacob się wycofali. Wiedzą, kiedy sprawa jest przegrana. A poza tym i tak nie wy dostałbyś ich oboje. Lepiej, że zostali razem, mogą sobie pomagać. To co, zaczniesz się wreszcie zachowywać rozsądnie? Czy znów mam ci pokazać, kto tu jest szefem?

Michael nie odpowiedział, tylko opuścił rękę. Oliver go puścił.

- Jak się czujesz?

Michael zaśmiał się cicho.

- A co, zaczęłaś się przejmować? - Claire uświadomiła sobie, że chłopak wygląda marnie, nawet w mdłym świetle wpadającym przez kawałek przedniej szyby. Był poparzony, miał spuchniętą twarz.

- Nie bardzo - odpowiedział Oliver. - Obawiam się, że możesz stać się ciężarem. A jak nie przestaniesz się zachowywać jak zakochany szczeniak, to na pewno tak skończysz. Jasne? Jeśli chcesz uratować swoich przyjaciół, musisz rozsądniej się zachowywać, gdy zagraża ci niebezpieczeństwo.

102

Trudno było ustalić, co wyrażała spuchnięta twarz Michaela, ale w oczach na pewno widoczna była nienawiść. Claire z trudem przełknęła ślinę. Michael odetchnął głęboko i odwrócił się do niej.

- Wszystko w porządku? - zapytał, ściągając rękawiczki. Dłonie miał blade, ale tuż powyżej miejsca, gdzie kończyły się rękawiczki, miał szerniałą i czerwonawą skórę.

Delikatnie dotknął jej twarzy, odwrócił w jedną, a potem drugą stronę. - Wygląda na to, że będziesz miała trochę ran wojennych, twardzielko. - Ale Claire wiedziała, czego tak naprawdę

szukał.

- Nie ma śladów kłów. No, w każdym razie żadnych nowych. Spójrz, nie ma nawet śladów po igle.

- Igle?

- Patience i Jacob uparli się, żeby pobierać krew igłą.

Zdaje się, że chcieli ją racjonować.

- Próbowali utrzymać was przy życiu. Z tyloma wampirami zamkniętymi w tak małej przestrzeni to by się musiało skończyć dziką orgią. Nikt z was by nie przeżył, zwłaszcza że byliście związani.

A Eve i Shane tam pozostali. Claire zrobiło się niedobrze. Czuła się też winna.

- Dlaczego ja? Dlaczego uratowaliście mnie, nie Eve?

Albo Shane'a?

- Bo byłaś najbliżej - odparł Michael. - I... jesteś najmłodsza. Eve i Shane skopali by mi zadek, gdybym próbował uratować najpierw ich, a nie ciebie. - Ale jego też przepełniało poczucie winy. Claire była pewna, że on także myśli o Eve. - Słyszałem, jak mnie wołała. To dlatego... dlatego postanowiliśmy wkroczyć.

- Mieliliśmy do wyboru to albo słuchać jego jęczenia przez całą drogę - wtrącił Oliver. - Nigdy w życiu nie byłem zakochany i coraz bardziej się z tego cieszę. Wygląda na to, że miłość ogłupia, a do tego sprawia, że stajesz się okropnie

męczący.

Jason parsknął. Może po prostu pohamował śmiech.

- Taa, świetnie to określiłeś.

Oliver plasnął chłopaka w tył głowy.

- Nie potrzebuję twojej aprobaty. Jedź!

Claire próbowała zebrać myśli.

- To... to co teraz zrobimy? - zapytała. - Po prostu będziemy za nimi jechać? A co jeśli... co jeśli coś się stanie w autokarze, a my będziemy tutaj?

- Tak - odpowiedział Oliver. - Bo gdybyśmy teraz zaatakowali, nie byłoby elementu zaskoczenia i Morley byłby przygotowany. Może nawet spróbuje nas sprowokować i zmusić do jakiejś głupoty. Będziemy ich śledzić, aż się zatrzymają. Kiedy wyjdą z autokaru, będzie nam dużo łatwiej coś zrobić.

- A gdyby tak, no wiesz, staranować autokar? - zaproponował Jason. - W tym słońcu raczej nie będą nas mogli ścigać piechotą. Przynajmniej niezbyt daleko.

- Staranowanie autokaru zakończy się tylko uszkodzeniem samochodu, a nie masz żadnej pewności, że również unieruchomi autokar - tłumaczył Oliver. - To musiałoby być coś większego. Znacznie większego. Poza tym to nierozsądne. Za duże niebezpieczeństwo dla waszych delikatnych ludzików na pokładzie.

- Ale...

- Po prostu zamknij się i jedź za nimi! Mam dość tej dyskusji. Koniec. Claire wiedziała, kiedy należy zamilknąć. Pokręciła się trochę i podciągnęła lewą nogawkę spodni. Kostka była spuchnięta i zaczynała sinieć. Tak. Była zwichnięta.

- Mamy tu zestaw pierwszej pomocy?

Oliver wyciągnął apteczkę i podał jej przez dziurę w kracie. Znalazła bandaż elastyczny i spróbowała obwiązać nim kostkę. Michael wyjął jej z ręki bandaż, zdjął but i skarpetkę, po czym bez słowa obandażował kostkę.

- Dzięki - powiedziała cicho. Po opatrzeniu kostka już jej tak nie doskwierała, ale nadal przy każdym ruchu przeszywał ją tępy ból. - Czy jest coś...

- Goję się. - Michael odłożył apteczkę i oparł głowę o zagłówek. - Cholera, nie tak wyobrażałem sobie tę wycieczkę.

- Naprawdę? - spytał Oliver. - A ja właśnie tego się spodziewałem. Niestety.

Rozdział 9

Zdawało im się, że jadą w nieskończoność, ale wbudowany w deskę rozdzielczą zegar informował, że minęło tylko kilka godzin. Autokar kręcił się nieustannie po jakichś bocznych drózkach, jakby czegoś szukali. W końcu się zatrzymał.

- Co to? - Jason puknął w ekranik, który się natychmiast powiększył. - Czy to jakieś miasto? - Claire nie widziała przez kratę nic oprócz kropki na ekranie. - Jeśli tak, to jest małe. Mniejsze niż to miejsce, gdzie was zaatakowano.

- Nie prowadzą do niego żadne inne drogi – powiedział Oliver, oglądając wyświetlacz. - Tak czy inaczej, zobaczą, że nadjeżdżamy. Tu jest płasko jak na patelni. I równie gorąco.

- Właśnie, kto wymyślił, żeby Wampirowo wybudować w Teksasie? Czyj to był poroniony pomysł?

- Amelie - odpowiedział Oliver. - I to nie wasza sprawa. Nie ma sensu czekać do zmroku... Będą mieli wyostrzone zmysły i łatwiej będzie im nas zauważyć. Lepiej zaatakować w dzień, o ile będziemy w stanie. Niestety, moja armia składa się z jednego nieodpowiedzialnego kryminalisty, nieletniej inwalidki i kompletnie postrzelonego młodego wampira z problemami skórnymi. Jakoś nie czuję się pewnie.

- Nie mamy wyjścia - odezwała się Claire. - Musimy to zrobić. Eve i Shane...

- Bardziej martwi mnie to, co robi Morley - przerwał jej Oliver. - Przeciwstawił się Amelie. Przeciwstawił się mnie. Nie mogę puścić tego płazem.

I tak sprowadzało się to do tego samego, na szczęście. Nie mieli wyboru - Oliver musiał pomóc. Rozmyślał nad tym przez kilka minut, podczas gdy radiowóz zbliżał się do miasta. W końcu kiwnął energicznie głową.

- Dobra. Wchodzimy. Teraz. Ale kiedy już wkroczymy, musicie działać szybko i bezwzględnie. Michael, skoro tak się upierasz, by ratować swoją dziewczynę i przyjaciela, to będzie to twoje zadanie. Claire, Jason, wy zostajecie ze mną. Możliwe, że będę potrzebował kogoś dla odwrócenia uwagi.

- Czyli przynęty - odezwał się Michael. - Nie użyjesz do tego Claire.

- Jest ranną sarną. Doskonale pasuje do tej roli.

- Nie użyjesz Claire. I nie ma żadnego ale. Nie obchodzi mnie, czy uważasz się za szefa, po prostu jej nie wykorzystasz. - Michael mówił z takim przekonaniem, że Oliver po chwili lodowatego milczenia, w końcu skinął głową na znak zgody.

- Dobrze. Użyję kryminalisty. Jego, jak sądzę, można?

Jason chrząknął.

- Dostanę śrutówkę, skoro robię za przynętę?

- Nie. Nawet o tym nie marz.

Nagle do Claire coś dotarło - jej mózg zaczął dochodzić do siebie po upadku z okna autokaru.

- Hej! Dojazd z Morganville do tego miejsca trwa strasznie długo. Jak Jason...

- Jason mówi, żebyś zamilkła - warknął brat Eve. - To nie twoja sprawa, jasne? Powiedzmy, że po prostu byłem w okolicy.

Oliver się nie odezwał. To oznaczało, że albo Jason próbował uciec z Morganville i dał się Oliverowi złapać, albo załatwiał dla Olivera jakieś sprawy. W każdym razie łączył ich jakiś związek, którego jeszcze miesiąc temu nie było.

Właściwie to Oliver całkiem jasno opowiadał się za grupą „wykończyć drania”. To jakim cudem Jason stał się nagle częścią jego drużyny? I to zaufaną, skoro dostał zgodę na opuszczenie Morganyille?

Claire uznała, że pewnie nigdy się tego nie dowie. Jason się obraził. A Oliver nigdy nie był gadułą, nawet gdy był w dobrym humorze.

Był zły, skupiony i bardzo, bardzo niebezpieczny.

- Zawieź nas tam. Wszyscy wiedzą, co mają robić. Jeśli będziecie w stanie, zdobądźcie popleczników z grupy Morleya, dowolnym sposobem. Zastraszcie, jeśli nie będziecie ich mogli przekonać. Nie dajcie się otoczyć. Uzbrójcie przyjaciół, zniszczcie wrogów. I bez względu na ofiary, zwyciężcie! Jasne? Ja zajmę się Morleyem.

Michael skinął głową. Jego twarz goiła się szybciej, niż Claire się spodziewała, ale podejrzewała, że nie będzie już tak dobrze wyglądał, jeśli znów wyjdą na światło dzienne. Zastanawiała się, ile on jeszcze zniesie, nim ból i obrażenia go pokonają. Miała nadzieję, że nie będzie okazji tego sprawdzić.

Jason prowadził zdecydowanie za szybko, zmuszając silnik do wysiłku jak podczas wyścigów, wzniecając kłęby kurzu i uśmiechając się jak maniak, którym pewnie był. Był gotowy do walki. Claire nigdy go takim nie widziała i uznała, że chłopak wygląda naprawdę przerażająco.

Michael milczał, zamknął się w sobie, skupił na opanowaniu bólu, który musiał dawać mu się we znaki. Oliver pewnie nic nie czuł. Wyśmiałyby każdego, kto posądziłby go o strach.

Claire było niedobrze, ale postanowiła być tak silna, jak się da. Przejrzała apteczkę i znalazła kilka bardzo mocnych tabletek przeciwbólowych. Zapytała też Michaela, czy może ma jakąś broń dla niej.

Bezszelestnie wyciągnął z kieszeni pokryty srebrem kołek i jej podał. Kołek był ostry jak brzytwa i można nim było zadawać rany, jak i pchnąć w serce. Był ciężki i zimny w dotyku, gdy zacisnęła na nim mocno palce.

- To ostatnia deska ratunku. Nie podchodź tak blisko, by musieć tego użyć, dobra?

- Dobra. - Spróbowała się uśmiechnąć. Prawie jej się

udało. - Czy to boli? Nieważne, głupie pytanie. Oczywiście, że boli. Przepraszam.

106

Złapał ją za rękę i powiedział:

- Claire, jesteś dobrą osobą. Wiesz o tym, prawda?
- Ty też.
- No, z technicznego punktu widzenia nie jestem już osobą, co zwykł przypominać Shane.
- Shane zachowuje się czasem jak idiota.
- Ale jest dobrym przyjacielem.
- To prawda - westchnęła. - Musimy ich odzyskać

Michael. Musimy!

- I odzyskamy. Obiecuję.

Może chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie samochód zwolnił. Jason zdjął nogę z gazu i powiedział:

- No to jesteśmy na miejscu. Tu są ze trzy ulice na krzyż. Wszystkich budynków będzie z trzydzieści. To jaki jest plan?
- Znaleźć autokar - odparł Oliver. - Nie mogli odjechać daleko.
- Dlaczego?
- Bo Morley to leniwy sukinsyn i nie będzie chciał się przemęczać. Znajdź największy budynek w okolicy, a najprawdopodobniej znajdziesz przed nim zaparkowany autokar.

Rzeczywiście, gdy minęli zakręt i wjechali do miasteczka, od razu zobaczyli autokar zaparkowany przed czymś, co przypominało gmach sądu w Morganyille w miniaturce - w stylu neogotyckim, z wieżyczkami i spiczastymi dachami, cały z szarych bloków kamienia. Wyglądało na to, że od jakiś dwudziestu lat nikt się nim nie zajmował. Otaczający posesję żelazny płot był zardzewiały, a za nim bujnie rosły trawa i chwasty.

Napis na drzwiach głosił: „Merostwo i Sąd Miasta Blacke”. Przed wejściem stał jakiś pomnik - duża i niezbyt udana statua z pozieleniałego brązu przedstawiała starego mężczyznę w niemodnym garniturze, z zadowolonym wyrazem twarzy. Tabliczka u stóp, widoczna nawet z ulicy, głosiła: „Hiram Wallace Blacke”. Pomnik nie trzymał się najlepiej. W brązie były dziury, a cała statua przechylała się niebezpiecznie w lewo, jakby zbudowano ją na nierównym gruncie. Brakowało tylko kilku centymetrów, aby Hiram wylądował twarzą w trawie.

Autokar wyglądał na pusty. Drzwi były otwarte na oścież. Nigdzie nie było widać Morleya, jego ludzi ani nikogo innego.

- Jak to się powiększa? A, już wiem. - Jason manewrował przy GPS-ie. - Wygląda na to, że telefon jest w tym budynku. Tam zabrali Eve.

- Wiecie, co robić. Michael, znajdź swoich przyjaciół i jeśli zdołasz, przyprowadź tutaj. Jeśli ci się nie uda, to znajdź dogodną pozycję obronną i czekaj na mnie.

- A ty co zamierzasz?

- Znaleźć Morleya. I wyjaśnić, jak głupim pomysłem

107

było zmuszanie mnie do pościgu. To nie potrwa długo.

Morley nie jest odważny i każe swoim ludziom się dostosować. Jedynym niebezpieczeństwem jest to, że coś się stanie,

nim go znajdę i... przekonam.

Sposób, w jaki wypowiedział ostatnie słowa, przyprowadził Claire o dreszcze. Oliver był zdolny do wielu rzeczy i niektóre z nich nie były zbyt cywilizowane. Widziała niektóre z nich. Na samo wspomnienie jej serce zaczynało szybciej bić.

Ale przynajmniej tym razem był nakierowany w dobrą stronę. Trochę jak armata.

- Ruszamy. - Oliver nie krzyknął, nie położył nawet specjalnego nacisku na to słowo, ale w jego głosie Claire usłyszała bezwzględny rozkaz. Wysiadł, otworzył drzwi od strony Michaela, po czym ruszył w stronę drzwi merostwa.

Szedł powoli, nie biegł, jakby nic go nie goniło i nic nie

mogło go powstrzymać. Jason wygrzebał się z samochodu i pognął za nim. Zapomniał otworzyć Claire drzwi, ale Michael prawie natychmiast zawrócił, otworzył je, narzucił sobie zapasowy płaszcz Olivera na głowę, aby ochronić się lepiej przed słońcem, i nakazał:

- Sprawdź autokar.

- Czekaj, gdzie...

Za późno. Michaela już nie było. Gnał przez wysoką trawę w stronę cienia rzucanego przez budynek. Kiedy tam dotarł, oparł się o ścianę, zgięty w pół i roztrzęsiony. Po chwili zdjął płaszcz i wybił szybę.

Claire zdziwiła się, że nikt nie wyszedł z żadnego budynku, by sprawdzić, co się dzieje. Nawet z merostwa. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Blacke raczej nie było gęsto zaludnione, ale musiało tu być co najmniej stu mieszkańców.

Nie mogli nic nie zauważyć, szczególnie jeśli Morley zachowywał się w typowy dla siebie sposób.

Claire podbiegła do autokaru, wskoczyła na stopnie i stwierdziła, że w środku nikogo nie ma. Więźniowie zostali wyprowadzeni, a na podłodze walały się porozcinane plastikowe sznury.

Wyszła z autokaru i pokuśtykała do wybitego okna. Michael na nią nie czekał. Jęknęła, gdy

zorientowała się, że parapet był mniej więcej na wysokości jej głowy. Nie mając czasu na rozczulanie się nad sobą, podskoczyła i złapała się futryny, ignorując wbijające się jej w dłoń szkło. Michael usunął większość, to, co zostało, nie raniło, tylko trochę kłuło. Ręce jej drżały z wysiłku, ale udało jej się podciągnąć, zaczepić palce lewej stopy o wyłom w murze i odbić tak, aby wylądować na szerokim parapecie. Nie spodziewając się, że będzie musiała zeskakiwać z takiej samej wysokości, zbyt mocno uderzyła o podłogę. Lewą kostkę przeszedł potworny ból, aż oparła się o zimną ścianę, aby odetchnąć.

Była w jakimś biurze, ale raczej nikt z niego w ostatnich latach nie korzystał. Biurka wyglądały, jakby pochodziły z przelomu wieków, ale nie były to antyki, raczej graty.

Drzewo było spróchniałe, szuflady połamane, a niektóre miały nawet odłamane nogi.

108

Z jednej z szuflad wyskoczyła mysz. Claire prawie krzyknęła, gdy zwierzątko puściło się biegiem po brudnej podłodze. Oddychaj głęboko. Spokojnie, weź się w garść, oni cię potrzebują. Shane cię potrzebuje.

Claire wyciągnęła posrebrzany kołek z kieszeni i włożyła do lewej dłoni, przygotowując się do ataku, a prawą ręką otworzyła drzwi. Korytarz był pusty. Usłyszała odgłos kroków. I hałasy na górze. To wcale nie oznaczało, że na dole nie było żadnych wrogów. Dzięki edukacji w Morganville - „Jak przeżyć 101 dni” - zawsze była przygotowana na to, że za rogiem może czaić się wróg.

Na górze coś się działo - było słychać odgłosy łamanych mebli, łoskot i szybkie kroki. Jacyś ludzie krzyczeli. Wyglądało na to, że właśnie tam udał się Oliver w poszukiwaniu Morleya.

Ale gdzie był Michael?

Claire otworzyła kolejne drzwi i znów trafiła do jakiegoś gabinetu, z biurkiem, komputerem i stojącą na jakiś papierach filizanką zapleśniałej kawy. Nie było tu nikogo. Za następnymi drzwiami podobnie, tym razem bez kawy.

Za trzecimi znalazła leżącą w kącie kobietę. Była nieprzytomna, ale na szczęście żyła. Claire sprawdziła jej puls - był silny. Claire położyła kobietę w wygodniejszej pozycji. Shane ją tego nauczył, niezle opanował zasady pierwszej pomocy.

Kobieta była dość wiekowa, raczej przy kości i wyglądała na zmęczoną, była blada. Błada!

Claire obejrzała jej szyję z obu stron, ale niczego nie zauważyła. Potem przyjrzała się jej nadgarstkom i zobaczyła brzydką lekko krwawiącą ranę. Claire przeszedł dreszcz. Odetchnęła głęboko kilka razy, aby się uspokoić, po czym rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mogła zatamować krwotok. Na biurku kobiety leżał szalik.

Claire starannie owinęła go wokół skaleczonego nadgarstka i mocno zawiązała. Kobieta wciąż była nieprzytomna, ale nie wyglądało na to, aby jeszcze coś jej dolegało.

- Będzie dobrze - obiecała Claire i poszła dalej. Zdenerwowała się, bo chociaż nie wykluczała, że Morley i jego drużyna mogli pożywiać się krwią napotkanych ludzi, to wiedziała, że ta kobieta została zaatakowana przez kogoś innego. Spływająca po ręku kobiety krew już prawie zaschła, rana zaczynała się goić, a autokar Morleya dopiero przed chwilą dojechał do miasta. To nie wyglądało dobrze.

Po wyjściu na korytarz stwierdziła, że na górze dalej toczy się walka, a kiedy podeszła ostrożnie do schodów, usłyszała łomot, zobaczyła ciało, które uderzyło o ścianę, po czym sturlało się po schodach wprost pod jej stopy. Był to wampir.

I nie był z grupy Morleya. Żaden z wampirów nie był w wieku Shane'a, ani nie nosił poplamionej krwią, obszarpanej koszulki piłkarskiej, która nawet z odległości pięciu metrów śmierdziała.

To nie był wampir z Morganville. Był jakiś obcy.

I właśnie podniósł się, wyszczerzył przerażająco długie kły i rzucił się w jej stronę z wściekłym, wygłodniałym rykiem radości.

109

Rozdział 10

Claire krzyknęła, cofnęła się i podniosła kołek na tyle szybko, by wbił mu się głęboko w pierś. Z olbrzymią siłą nieznajomy pchnął Claire na ścianę. Uderzyła mocno głową i poczuła przeszywający ból, ale znacznie bardziej niepokoiły ją krwistoczerwone oczy wampira oszalałego z wściekłości.

A potem osunął się na nią. Pchnęła go i padł na podłogę z szeroko rozłożonymi ramionami. Naprawdę cuchnął. Jakby od roku się nie kąpał i nie zmieniał ubrań. I śmierdział starą krwią, co przyprawiało ją o mdłości.

Miał otwarte oczy i wpatrywał się w sufit, ale Claire wiedziała, że jeszcze żył. Srebro z kołka sprawiało mu ból, a sam kołek na razie go unieruchamiał. Czy srebro go zabije, zależało od tego, w jakim jest wieku. Wydawało się, że był jakimś opryszkiem, który najwyżej kilka lat temu zamienił się w wampira.

Srebro go paliło. Zobaczyła, jak rana wokół kołka czernieje.

Próbował mnie zabić. Przełknęła z trudem ślinę i położyła rękę na kołku, ale po chwili ją zabrała. Powinnam pozwolić mu umrzeć.

Tyle że naprawdę potrzebowała kołka. Bez niego była bezbronna.

Claire sięgnęła po niego, gdy za nią odezwał się głos z doskonałym brytyjskim akcentem.

- Nie chcesz tego zrobić.

Morley. Musiał zejść po schodach, w czasie gdy walczyła. Był zakrwawiony, ubrania wisały na nim w jeszcze większych strzępach niż wcześniej, a na twarzy miał kilka zadrapań, które właśnie się zablizniały.

Claire złapała mocniej kołek i wyrwała z piersi wampira, odwracając się w stronę Morleya.

Morley westchnął.

- Czy wy naprawdę nigdy nie słuchacie? Mówiłem, żebyś tego nie robiła!

- Jest ranny - stwierdziła. - I raczej szybko nie wstanie.

- Nieprawda. Już nigdy nie wstanie. Ale prawdę mówiąc, nie ma takiej potrzeby.

Poczuła, jak coś zimnego ociera się o jej kostkę, po czym owija się o nią. Nastoletni wampir złapał ją i ciągnął do siebie.

Morley wyrwał jej kołek i zadał kolejny cios wampirowi, z co najmniej trzykrotnie większą siłą niż ta, której użyła Claire. Usłyszała zgrzyt kości. Morley wbił się aż w drewnianą podłogę.

Chłopak, który nie był nawet starszy od Shane'a, znów znieruchomiał. Jego skóra zaczęła się zwęglać od srebra.

- Nie możesz... - jęknęła Claire, gdy Morley odwrócił się do niej z kamienną twarzą.

- Mogłoby do ciebie wreszcie dotrzeć, że mogę - warknął. - Mogłabyś też zauważyć, że ten chłopak nie należy do

110

mojej grupy. Czy to cię wcale nie niepokoi, Claire?

- Ja...

- A powinno. Bo poza wampirami, które mieszkają w MorgaNVille, nie powinno być żadnych innych. Amelie, bez względu na to, co o niej myślisz, jest dokładna. Ci, którzy nie zgodzili się wziąć udziału w jej eksperymencie społecznym, zostali zabici. Nie ma na tym świecie żywych wampirów, których nie znam. - Tracił chłopaka butem. - Ale tego nie znam. Ani tej watahy szakali, która zeżarła mi właśnie zapasy.

- Watahy? - Claire spojrzała w górę i zamarła, zaskoczona kolejnym dochodzącym z góry łomotem. Morley zignorował ją i popędził jak strzała na górę. Dochodziły stamtąd krzyki.

- Hej, zaczekaj! Zjedli wasze... zapasy... nie chodzi ci o...

Zanim dokończyła, Morley dotarł na szczyt schodów i zniknął.

- Moich przyjaciół? - skończyła cicho, po czym zamrugała z niedowierzaniem, bo z ciemności wynurzyli się Michael i Shane.

Michael niósł Eve, która nadal wyglądała na nieprzytomną.

Zeszli szybko ze schodów. Claire wcale nie podobał się wyraz twarzy Michaela, ani Shane'a.

-

-

Musimy iść - rzucił Michael. - Już. Natychmiast.

A co z Oliverem? Co z Jasonem?

- Nie ma czasu. Ruszaj, Claire.

- Mój kolek...

- Zrobię ci nowy, śliczny i błyszczący... - obiecał

Shane. Z trudem chwycił powietrze. Złapał ją za rękę i pociągnął kuśtykającą za Michaela, który szedł w stronę pokoju z wybitym oknem, którym się tu dostali. – Wszystko w porządku?

- Pewnie. - Pohamowała jęk, kiedy znów źle postawiła chorą stopę. Czowała się na pewno lepiej niż ludzie na górze. - Co tam się dzieje?

- Morley ma wyjątkowo zły dzień - odpowiedział

Michael. - Opowiemy później. Teraz musimy się stąd wydostać, zanim...

- Za późno - stwierdził cicho Shane, gdy z ciemności

wyłoniły się dwa wampiry i zagroziły całej czwórce drogę. Pierwszy był staruszką o szalonych oczach i burzy siwych włosów. Drugi był młody, w koszulce piłkarskiej - pewnie był z tej samej drużyny, co ten, którego dźgnęła

Claire. Był wyższy i potężniejszy od Shane'a. Podobnie jak starzec wyglądał dziwnie... Wyglądał na szalonego, nawet jak na wampira.

- Daj - skamlał starzec dziwnym, ochryplym głosem. - Daj.

- O cholera, to trochę okropne - powiedział Shane. - No dobra, ktoś ma jakiś pomysł?

111

- Tutaj! - Michael kopnął drzwi po drugiej stronie korytarza i otworzył z okropnym zgrzytem zawiasów. Shane pchnął Claire do pokoju. Michael skoczył za nimi i zatrzasnął drzwi przed nosami wampirów. Oparł się o nie plecami i krzyknął:

- Barykadować!

- Robi się! - Shane skinął na Claire, żeby złapała z drugiej strony ciężkie biurko, które przeciągnęli w stronę drzwi.

Michael, z Eve w ramionach, wskoczył bez trudu na blat i zeskoczył z drugiej strony, gdy je przeciągali.

- Myślisz, że to wystarczy?

- Nie ma mowy. Widziałeś tego faceta?

Eve zaczęła się kręcić w jego ramionach i coś mamrotać. Spojrzył na nią z niepokojem. Kiedy odwróciła głowę, Claire zobaczyła zmierzwione w jednym miejscu włosy i prawie niewidoczną krew.

- Co się stało?

Michael pokręcił głową.

- Nie wiem.
- Naraziła się Morleyowi - wyjaśnił Shane. - Uderzył ją i poleciała na ścianę. Trafiała głową w róg. Myślałem... - Zamilkł na chwilę. - Wystraszyła mnie na śmierć. Ale nic jej nie jest, prawda?

- Nie wiem - powiedział Michael.
- No to użyj swoich nadprzyrodzonych mocy!
- Idioto, jestem tylko wampirem! Nie mam rentgena w oczach.
- Też mi superpotwór - westchnął Shane. - Stary, przypomnij mi, żebym cię wymienił na wilkołaka. Byłby pewnie teraz bardziej przydatny.

Claire zignorowała chłopaków i przeszła na drugą stronę pokoju pokrytego kurzem i martwymi owadami. Odblokowała jedno skrzydło okna, ale wcale nie chciało się ruszyć. Zorientowała się, że po drugiej stronie są okropnie brudne żelazne kraty.

- Michael, dasz radę je wyważyć?
- Może... Proszę, potrzyмай ją. - Podał Eve Shane'owi, który utrzymał ją na rękach z dużo większym trudem.

Spojrzał na skąpane w słońcu kraty. - To może być pewien problem.

Wciąż miał na sobie skórzaną kurtkę, ale rękawiczki miał w strzępach - wyglądały, jakby ktoś je rozszarpał pazurami. Przez dziury było widać jego bladą skórę.

Shane, który opierał się o biurko taranujące drzwi, prawie się przewrócił, kiedy wampiry z drugiej strony próbowały wdrzeć się do wnętrza. Biurko przesunęło się kilkanaście centymetrów, nim Shane zaparł się nogami i zaczął je pchać z powrotem. Przesuwało się powoli centymetr po centymetrze i w końcu Shane'owi udało się przycisnąć je do drzwi, przytrzymując ręce starego wampira.

- Myślcie szybko! - krzyknął Shane. - Kończy nam się czas!

112

Michael wziął głęboki oddech, złapał jedną ze starych zakurzonych zasłon i szarpnął nią w dół. Następnie owinął nią obie dłonie i chwycił kraty. Mimo jego starań, gdy uniósł dłonie, rękawy płaszcza opadły i Claire zobaczyła, jak zaczerwieniona od słońca skóra zaczyna skwierczeć. Michael aż zatrzęsł się z wysiłku, ale słońce go pokonało. Puścił kraty i cofnął się, dysząc. Oczy mu poczerwieniały i rzucały wściekłe błyski.

- Do cholery! - krzyknął i kopnął w kraty. To okazało się skuteczniejsze. Buty i dzinsy lepiej chroniły przed słońcem, a kopniak wygiął kraty i naderwał śruby.

Nie zdążył kopnąć drugi raz, gdy wampiry po drugiej stronie drzwi znów zaatakowały, tym razem tak skutecznie, że biurko wyjechało aż na środek pokoju, a Shane poleciał na Claire. Michael obrócił się w samą porę, by stanąć twarzą w twarz z młodszym wampirem.

Michael był szybki, ale tego dnia słońce mocno go osłabiło. Obcy wampir zaatakował pierwszy, uderzając tak mocno, że Michael zatoczył się aż na przeciwległą ścianę. Szybko się otrząsnął i poderwał na nogi, podczas gdy krwiożerczy sportowiec rzucił się na Claire.

Michael złapał go za tył koszuli i szarpnął tak mocno, że tamten zwałił się na plecy. Przycisnął go kolanem do podłogi, ale to nie wystarczyło. W tym czasie drugi wampir, starzec, wszedł do pokoju, powłócząc nogami i uśmiechając się półgębkiem. Zdawał się jeszcze bardziej martwy niż większość wampirów i Claire miała wrażenie, że w jego chaotycznych ruchach dostrzega coś znajomego... coś... Nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo starzec rzucił się na nich jak jakiś obrzydliwy pająk, wyciągając ręce z rozcapierzonymi jak szpony palcami. Shane odskoczył, nie wypuszczając z rąk Eve. Dzięki temu Shane i Eve znaleźli się bliżej drzwi. Shane rzucił za siebie zrozpaczone spojrzenie, po czym wyskoczył z pokoju.

- Claire, uciekaj! - krzyknął Michael. - Biegnij!

- Nie mogę biec - odpowiedziała z żalem. Kuśtykanie raczej nie miało sensu. Oba wampiry mogły ją w każdej chwili dopaść. Krok za krokiem odsuwała się od starego wampira i kierowała w stronę okna.

Najwyraźniej nie zorientował się, co planuje Claire, dopóki nie wszedł w snop światła i nie zaczął płonąć. Ale nawet wtedy musiało minąć kilka sekund, nim zorientował się, co się dzieje. Szedł dalej w jej stronę, podczas gdy jego skóra przybierała kolor różowy, następnie czerwony, aż wreszcie zaczęła dymić.

Dopiero wtedy zawył i skoczył w cień.

Claire, opierając się o framugę i nurzając w słońcu, odetchnęła z ulgą. Na chwilę.

- Sprytne - odezwał się Michael. Nie ruszył się z miejsca, przyciskając młodego wampira do ziemi i obserwując starszego zbliżającego się do Claire.

- Stój tam, gdzie teraz. Może spróbować cię złapać i ściągnąć ze słońca. Jeśli puszczę tego...

- Wiem. Panuję nad sytuacją.

Nie było to zgodne z prawdą, ale co miała zrobić? Rozejrzała się rozpaczliwie za czymś, co by jej pomogło, i mrugnęła. Możesz mi to rzucić?

113

Michael rozejrzył się i marszcząc brwi, podniósł coś z podłogi.

- To?

- Rzuć mi!

Tak zrobił, a Claire złapała to w momencie, gdy stary wampir rzucił się na nią z krzykiem.

Claire wbiła mu ołówek w pierś. Udało jej się wbić go pomiędzy żebra, dokładnie tak, jak uczył ją Myrnnin podczas jednej z lekcji samoobrony. Oczy starego wampira rozszerzyły się i padł u jej stóp, w słońcu. Claire odepchnęła go na bok, z ołówkiem w piersi.

- Ty chyba żartujesz... - stwierdził Michael i pokręcił głową. - To po prostu żenujące.

- Zauważyłeś u nich coś dziwnego? - Claire zaczęła się trząść, gdy fala adrenaliny zaczęła

opadać. Wampir, którego przyciskał Michael, zamachnął się na niego, ale bezskutecznie.

- Ci goście? Nie są zbyt bystrzy.

- Są chorzy. Rozpoznałam sposób, w jaki poruszał się ten starszy. Zauważyłeś, że oni tak naprawdę nie myślą?

Nie są w stanie. Pozostały im tylko podstawowe instynkty. Polować i zabijać. Zupełnie jak niektóre chore wampiry w Morganville.

Najwyraźniej Michael o tym nie pomyślał. Natychmiast zmieniła mu się mowa ciała i przez moment Claire miała wrażenie, że chłopak wstanie i odsunie się od chorego wampira, ale rozsądek wygrał ze strachem i Michael pozostał

w miejscu. On nigdy nie chorował na zarazę, która gnębiła pozostałe wampiry. Jako najmłodszy, nie miał okazji. Ale widział, co zrobiła z niektórymi wampirami w Morganville. Widział, w jakie potwory się zmienili.

- Bez obaw. Dostałeś szczepionkę. Nie sędzę, abyś mógł się zarazić.

Miała nadzieję, że to prawda. Jeśli to była nowa odmiana zarazy, to gorzej. Znacznie gorzej, zwłaszcza jeśli, jak podejrzewała, choroba atakowała szybciej i miała ostrzejszy przebieg niż ta u wampirów z MorgaNVille.

Shane wpadł z powrotem do pokoju, prawie się przewrócił o starego wampira i rozejrzał się zadziwiony.

- Ehm... co się stało?

- Gdzie Eve?

- Zostawiłem ją w pokoju obok. Nic jej nie jest.

- Zostawiłeś ją?! -warknął Michael. - Lepiej powiedz, że źle usłyszałem.

- Michael, wszystko z nią w porządku. Jest przytomna, w miarę. Zostawiłem

ją ukrytą pod biurkiem, z nożem do listów. Jest teraz bezpieczniejsza niż

którekolwiek z nas. - Shane spojrział na dźgniętego ołówkiem wampira. - Claire?

- Tak?

-

-

-

Dźgnęłaś wampira ołówkiem 2B...

Nie sprawdzałam grafitu.

Wspominałem ostatnio, jaka jesteś niesamowita?

114

Próbowała się uśmiechnąć, ale jej serce łomotało w nieprzyjemny sposób.

- Na komplementy będzie czas później. Musimy się stąd wynieść i dotrzeć do samochodu. Jakies pomysły?

- Znajdź jeszcze jeden ołówek i przyszpil tego - odezwał się Michael.

- Zdajesz sobie sprawę, jak to dziwnie brzmi, prawda? - zapytał Shane. -

Nieważne. Ołówek 2B nadchodzi. Dlaczego mam wrażenie, że piszemy klasówkę?

- Claire, idź do Eve. Upewnij się, że nic jej nie jest.

Claire skinęła głową i wykuśtykała za drzwi, przez korytarz. Drzwi do kryjówki Eve były tylko przymknij< Pchnęła je...

Aby natychmiast zrobić unik przed atakiem Eve, która stała, opierając się o krzesło, i ścisnęła w rękę lśniący srebrny nóż do papieru. Eve krzyknęła i wypuściła z ręki nóż, gdy tylko się zorientowała, że to Claire. Rzuciły się sobie w objęcia, płacząc z ulgi.

- Nic ci nie jest, nic ci nie jest - szeptała Eve i ścisnęła przyjaciółkę. - Przepraszam. Myślałam, że jesteś jednym z potworów.

- Nie tym razem - odpowiedziała Claire i skrzywiła się, widząc krew ściekającą po twarzy Eve.

- To musi boleć.

- Już nie bardzo. - Eve miała trochę mętny, rozbiegany wzrok, ale trzymała się na nogach, a to był dobry znak. -

Myślałam.. Myślałam, że widziałam Michaela. Ale potem był tu Shane i...

- Michael jest tutaj. Niósł cię, ale musiał walczyć.

Zaraz przyjdzie. Mówiłam ci, że tak będzie.

Eve zacisnęła na chwilę oczy.

- Dobrze - powiedziała w końcu. Miała silniejszy głos. -

Dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Z drugiego pokoju dobiegał dźwięk wyginanego metalu, a potem głośnie bing.

- Hej! - Głos Shane'a odbijał się od kamienia i drewna. - Dziewczyny, koniec imprezki. Wychodzimy!

- Chodź. - Claire wsunęła ramię pod pachę Eve, aby podtrzymać ją. - Pora się wynosić.

- A gdzie Jason? - Eve zdawała się już w pełni przytomna i w temacie, tylko że nie tym, co trzeba. - Musimy go znaleźć!

- Jest z Oliverem. Znajdziemy go. Ale najpierw musimy zadbać o to, żeby nie zginąć, prawda? To bardzo ważne.

Pokuśtykały razem przez korytarz do pokoju, w którym na podłodze leżały dwa pokonane ołówkami wampiry, a Michael i Shane stali przy oknie. Kraty były

wyrwane.

Michael rozsądnie stał z boku, z zasłoną owiniętą wokół ramion. Claire podejrzewała, że zamierzał ją sobie zarzucić na głowę.

Ale żadne z nich się nie ruszało.

115

- Co? - zapytała Claire, a gdy podeszła do okna, zrozumiała, gdzie tkwił problem.

Radiowóz płonął. Podobnie jak autokar.

I nikt, absolutnie nikt nie wyszedł popatrzeć. Nie pojawiła się policja, ani nawet ochotnicza straż pożarna. Blacke było wymarłym miastem. I to dosłownie.

- No to przerąbane - stwierdził rzeczowo Shane. - Plan B?

- Nie mamy - westchnął Michael.

- Wiecie, jakoś podejrzewałam, że tak będzie - odezwała się Eve. - I to mimo wstrząsu mózgu.

Stali przez chwilę, patrząc, jak samochód i autokar płoną, i przez kilka sekund nikt się nie odezwał. Aż w końcu Michael powiedział:

- Morley tego nie zrobił. Nie jest aż tak głupi.

- Oliver też nie - dodał Shane. - Co tu się, do diabła, dzieje?

- Powinieneś wiedzieć. Jechałeś z Morleyem. My tu dopiero dotarliśmy.

- Taa, wiecie, to zabawne, ale przez te więzy i szamotaninę z głodnymi wampirami jakoś nie zwracałem uwagi na szczegóły. Wiem tylko, że weszliśmy do tego budynku,

Morley zaczął przemawiać, a po chwili ktoś z grupy Morleya

krzyczał, że są atakowani. Złapałem Eve i próbowałem ją

ukryć, ale rąbnął ją Morley, bo weszła między niego a jakiegoś faceta, z którym walczył. Uderzyła się w głowę. - Shane

zamilkł i spojrzał na Michaela. - A ty jak się wytłumaczysz?

- Straciłem wątek jakiś czas temu. Mniej więcej wtedy, gdy Oliver skręcił bez powodu do Wariatkowa. No chyba że

tego właśnie od początku szukał.

- Czego? Miasta pełnego wampirów? - Kiedy Claire to wypowiedziała, nagle nabrało to sensu. - On ich szukał!

Wiedział, że gdzieś tu są. Szukał ich!

- Myślał, że są w Durram - zgodził się z nią Michael.

Dlatego wyszedł na poszukiwania w środku nocy. Ale nawet jeśli tam wcześniej były, to się przeniosły. Tutaj. Do mniejszego miasta. Łatwiejszego do kontroli. Zanim rozchorowały się na tyle, żeby przestało im zależeć.

- Ale ci tutaj raczej nie są bardzo starzy. - Shane skinął w stronę chłopaka w koszulce piłkarskiej. - To nie jest żaden przedpotopowy strój. Musiał stać się wampirem kilka miesięcy temu, najwyżej z rok. Więc jak...

- Bishop! - przerwała mu Claire. - Bishop szukał Amelie.

I wciąż stwarzał nowe wampiry, po czym je zostawiał. Musiał tędy przejeżdżać, albo nieopodal. - Bishop był ojcem Amelie,

zarówno biologicznym, jak i w sensie wampirycznym. I w obu tych przypadkach nie zasługiwał na tytuł Ojca Roku. Ani na

medal za humanitarne prowadzenie się. Pożywiał się napotkanymi ludźmi i to właśnie zostawiał za sobą.

116

Przerażające i obrzydliwe.

- Jeśli Oliver ich szukał, to musi mieć jakiś plan. -

Odezwała się Eve. Opierała się teraz o ścianę i trzymała się jedną ręką za głowę, która musiała ją boleć. Nadal zdawała się lekko nieprzytomna. - Znajdźmy go. Będzie wiedział, co robić.

- Może i miał plan, ale to było zanim Morley i jego wesoła drużyna idiotów włączyli się do akcji - odpowiedział

Shane. - A teraz jesteśmy po środku trójstronnej wojny wampirów. To byłaby świetna gra wideo, ale jakoś nie mam ochoty uczestniczyć w niej na żywo. Wizja przegranej jest przykra.

- No to musimy znaleźć inny samochód - powiedział

Michael. - Taki, który jeździ.

- Nie, stary, ja muszę znaleźć inny samochód - wszedł mu w słowo Shane. - I zaciemnić okna. I przyprowadzić go tutaj, żebyś nie stanął w ogniu podczas wizyty w komisie.

Plan wygląda tak: ty zajmiesz się dziewczynami, a ja zdobędę samochód.

- Kazałeś mi właśnie zostać z dziewczynami?

- Tak jest. I to prosto w twarz. Jak się z tym czujesz?

Przybili piątkę.

- Obaj jesteście kretynami, wszyscy tu zginiemy i do tego pęka mi głowa - westchnęła Eve. - Czy moglibyśmy się stąd wreszcie wynieść? Proszę?

Michael podszedł i objął Eve, która zatkała cicho, wtulając się w niego.

- Ciii. Już dobrze, kochanie.

- Nieprawda. I gdzie, do cholery, byłeś, kiedy porwano mnie i prawie zagryziono na śmierć?

- Goniłem za tobą. Wskakiwałem do autokaru.

Wybijałem okna. Prawie cię uratowałem.

- Tak. Ale ja przez cały ten czas byłem nieprzytomna, więc nie mogłam tak naprawdę docenić, jaki jesteś dzielny.

Ale jest dobrze. Być z tobą.

Shane wymienił spojrzenia z Claire i zacharczał, jakby go duszono, czym wywołał u niej salwę śmiechu. Potem wziął ją za rękę, potrzymał przez moment, a następnie uniósł do warg. Miał takie ciepłe i delikatne usta, że aż poczuła, jak każdy jej mięsień drży pod wpływem jego dotyku. Przesunął kciukiem po pierścionku przyjaźni, ich sekretnej cichej obietnicy.

- Zaczekaj na mnie - powiedział. - Jakies życzenia w kwestii samochodu?

- Coś przeciwpancerne? - zasugerowała. - A, no i żeby był telewizor w zagłówkach. Dodatkową zaletą byłby dźwięk stereo.

117

- I turbodopalacz - dorzucił Michael.

- Czyli jeden złoty hammer na gorąco z dodatkowym wyposażeniem niszczącym, zaraz podaję. - Shane jeszcze

raz delikatnie ścisnął jej palce i wyskoczył za okno. Claire

patrzyła, jak upada na trawę, wstaje i biegnie w popołudniowym słońcu.

Uświadomiła sobie, że słońce jest znacznie niżej niż poprzednio.

Było późne popołudnie, a słońce chyliło się ku zachodowi, szybko.

- Zmrok - stwierdziła. - Nie mamy za wiele czasu, nim zrobi się ciemno, prawda?

- Owszem. - Michael podszedł do niej, unikając światła wpadającego przez okno. - Ale jeśli zostaniemy w tym budynku, to będziemy mieli jeszcze mniej czasu. Sporo jest tych... innych wampirów. I raczej nie stronią od obcych.

Złapał dwa pokonane wampiry i wyciągnął do korytarza, gdzie porzucił je obok tego ze srebrnym kołkiem Claire. Ten na pewno już nie żył, spalony przez srebro. Claire starała mu się za bardzo nie przyglądać.

Michael ponownie zabarykadował drzwi i posadził Eve we w miarę bezpiecznym miejscu, na

krześle w kącie. - Zostań tu - zwrócił się do niej. - Odpocznij. Zerwał drugą zasłonę z okna i owinał nią Eve. Jeden z tych romantycznych gestów, tyle że lekko zniweczony przez atak kichania, który ją napadł, gdy otoczyła ją chmura kurzu.

Claire pozostała przy oknie i wyglądała na zewnątrz. Nie, żeby to miało jakoś pomóc. Nawet gdyby zobaczyła Shane'a, nawet gdyby zobaczyła, że potrzebuje pomocy, co mogła zrobić? Nic, ponieważ była człowiekiem, była powolna i miała skręconą kostkę.

Ale mimo to uważała, że to ważne, aby tam stała i go wypatrywała, tak jakby zawarli jakiś pakt, i gdyby go nie dotrzymała, to mogło go spotkać coś złego.

Przesady. No cóż, stoję w czymś na kształt pseudogotyckiego zamku z walczącą po korytarzach bandą wampirów. Może przesady tu się spełniają.

- Widziałeś Jasona? - zapytała Eve Michaela. Wszystko z nim w porządku?

Michael zachował się tak, jakby nie usłyszał pytania. Podszedł do Claire, ale pozostał w cieniu.

- Widzisz coś?

- To raczej nie jest odpowiedź na pytanie, prawda?

Michael rzucił jej groźne spojrzenie. Ale cokolwiek

chciał powiedzieć, przerwał mu łoskot z góry. Potężny. A zaraz za nim dało się

słyszeć coś jakby drapanie. Jakby bardzo ostrymi pazurami. Albo nożami.

Jakby coś próbowało się przekopać przez podłogę z pierwszego piętra.

- Ten dźwięk mi się nie podoba - powiedziała Eve. -

Michael?

Stał bez ruchu, patrząc w górę. W cieniu jego twarz zdawała się być koloru

marmuru.

118

Z sufitu posypał się kurz. Płatki starego tynku zaczęły spadać jak śnieg. Claire cofnęła się od okna, od tego dźwięku, aż do ciężkiego biurka odgradzającego ich od drzwi.

Nagle drzwi się uchylily. Ktoś uderzył w nie z potężną siłą i zawył. Znow dało się słyszeć drapanie, tym razem w drzwi. Michael ruszył do przodu i wepchnął biurko z powrotem na miejsce, przytrzymując je, gdy z drugiej strony ktoś napierał na drzwi. - Cholera - syknął. - Gdzie on jest?

Nad nimi coś pękło z suchym zgrzytem - to ktoś zrywał, łamał i odrzucał deski. Przekopywali się.

Eve wstała i oparła się o ścianę. Kopnęła nogę niewielkiego stolika, leżącego nieopodal jej krzesła. Noga ułamała się pod kątem, tak że powstał czubek, może nie tak ostry jak włóczni, ale też nie tak tępy jak pałki. Złapała nową broń w obie dłonie i spoglądała to na sufit, z którego tynk sypał się jak podczas śnieżycy, to na Michaela, który z trudem utrzymywał biurko barykadujące drzwi.

Zginiemy tutaj, pomyślała Claire. Dotarło to do niej z przeraźliwą jasnością, jakby już widziała przyszłość przez okno czasu. Eve będzie leżeć tam, z otwartymi, pustymi oczami, a Michael umrze,

próbując jej bronić. A ona skończy jako mała połamana stertka pod oknem, gdzie znajdzie ją Shane...

Nie.

Myśl, że w takim stanie znajdzie ją Shane, bardziej nawet niż sama wizja śmierci sprawiła, że Claire buntowała się w środku. Już dość widział. Dość się wycierpiał.

Nie zamierzała na koniec dodawać jeszcze tego. Nie zrobi mu tego.

- Musimy żyć - powiedziała głośno. Zabrzmiało to trochę obłądnie. Michael spojrział na nią, a Eve zaczęła się wręcz gapić.

- No oczywiście - stwierdziła Eve. - I to podobno ja dziś dostałam w głowę...

W końcu sufit się poddał i wraz ze zgrzytem drewna i deszczem tynku i gruzu spadły na dół trzy ciała, pokryte krwią wszędzie tam, gdzie nie były białe od pyłu. Wyglądały jak potwory, a kiedy najwyższy odwrócił się w stronę Claire, a ta zobaczyła błysk kłów, wrzasnęła.

Krzyk trwał tyle, co jedno uderzenie serca, po czym przyszło opamiętanie. I ulga.

- Oliver? - Po prostu cudownie. Czowała ulgę na widok Oliyera. Świat stanął na głowie, koty zaprzyjaźniły się z psami, a życie takie, jakim je знаła do tej pory, pewnie się skończyło.

Oliver wyglądał, no cóż... jak potwór. Jak potwór, który przedarł się przez piekło, krok po kroku i przy okazji, o dziwo, był zachwycony każdą minutą zmagania. Uśmiechnął się szeroko do Claire, pokazując kły, po czym odwrócił się do Eve, która rzuciła się na niego z zaostrzonym kijem. Odebrał go jej bez najmniejszego trudu i pchnął ją w stronę Michaela, który co prawda pohamował się od ataku, ale był równie zaskoczony, jak Claire.

119

- Żołnierze, spocznij - odezwał się Oliver. Prawie się śmiał. Obok niego Morley otrzepywał się z białego pyłu i wzniosł chmurę pyłu, która doprowadziła Claire do łez, kiedy wykaszła:

- Wygląda na to, że nadal jesteśmy sojusznikami.

Przynajmniej na razie.

- Zupełnie jak Rosja i Anglia podczas II wojny światowej - zgodził się z nią Morley, po czym zaczął się zastanawiać.

- A może to była pierwsza? Tak trudno zapamiętać

te szczegóły. W każdym razie naszym przeciwnikiem jest

wspólny, gorszy wróg. Możemy się pozabijać później.

Trzecim z grupy okazał się Jason, który wyglądał równie źle, jak pozostali. Ale nie był z tego powodu równie szczęśliwy. Trząsł się, i to wyraźniej, a prowizoryczny bandaż, którym miał okryty lewy nadgarstek, przesiąkł krwią.

Eve w końcu rozpoznała swojego brata i złapała go w objęcia. Jason przez moment stał nieruchomo, po czym niezgrabnie poklepał ją po plecach.

- Nic mi nie jest - powiedział. Claire pomyślała, że kłamie, ale było to odważne stwierdzenie. -

Masz krew na twarzy.

- Uderzyłam się w głowę - wyjaśniła Eve.

- A, no to nic się nie stało - stwierdził Jason i to było tak typowe stwierdzenie jak na brata, że Claire aż się uśmiechnęła. - A tak serio, to to źle wygląda, Eve.

- Nic nie jest złamane. Głowa mnie boli i trochę mi się w niej kręci. Ale przeżyję. A co się tobie stało?

- Nie pytaj. - Jason się odsunął. - Chłopie, potrzebujesz wsparcia?

Michael złapał biurko i znów podciągnął je pod drzwi, a teraz próbował je utrzymać w miejscu.

- Pewnie - rzucił. Nie żeby siła Jasona mogła tu wiele pomóc, pomyślała Claire. Był silny i żyłasty, ale nie tak silny jak wampiry.

- Wpuście ich - powiedział Morley i strzepnął resztę kurzu na wszystkich. - To moi ludzie. No chyba że nam nie ufacie?

- Nie, skąd ten pomysł? - zapytała słodko Eve, po czym odwróciła się do Michaela. - Nawet o tym nie myśl!

- Wolisz, żeby rozerwali ich tam na strzępy? - zapytał

Morley, nie kładąc na tę wypowiedź specjalnego nacisku, jakby tak naprawdę mu nie zależało. - Sądziłem, że ktoś tak współczujący nie będzie tak łatwo potępiał innych.

- Przepraszam, ale to wy nas przywiązaliście do foteli.

I kłuliście igłami. I piliście naszą krew. Nie, nie widzę żadnego powodu, żeby ci zaufać!

Morley wzruszył ramionami.

- No to pozwól im umrzeć. Jestem pewien, że ich krzyki nie będą ci przeszkadzały.

120

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Rzeczywiście, po drugiej stronie drzwi ktoś zaczął krzyczeć i zamiast łomotać, raczej pukał.

- Michael! Michael! Tu Jacob Goldman. Otwórz drzwi!

Nadchodzą!

Michael wymienił porozumiewawcze spojrzenia z Claire, a potem z Eve i Oliverem. Oliver skinął energicznie głową.

Michael złapał biurko i przyciągnął do siebie, prawie przewracając przy tym Jasona. - Hej! - zaprotestował Jason. -- Następnym razem ostrzegaj!

- Zamknij się. - Michael pchnął go mocno do tyłu.

Drzwi się otworzyły i do pokoju zaczął się wlewać potok wampirów.

Ludzie Morleya. Podobnie jak on sam nie wyszli z tego bez szwanku. Wszyscy, łącznie z Jacobem i Patience Goldmanami, wyglądali, jakby walczyli o życie. Niektórzy byli ranni, a Claire wiedziała z doświadczenia, że naprawdę trudno zranić wampira.

Jacob ścisnął zakrwawioną prawą rękę. Patience podtrzymywała go z drugiej strony. Nawet Eve trochę się przejęła, widząc jego bladą jak lód twarz i niewidzące spojrzenie. Wyglądało na to, że wampir naprawdę cierpi.

Patience posadziła go pod ścianą i kucnęła obok, podczas gdy Morley i Oliver, z pomocą Michaela, zczekali, aż do pokoju wejdą wszystkie wampiry, po czym stworzyli przed drzwiami barykadę.

Wampirów Morleya nie było już tyle, co wcześniej.

- Co się stało? - Claire zapytała Patience. Wampirzyca

podniosła na nią wzrok, w którym czaił się taki strach, że aż przyprawił Claire o dreszcze.

- Nie dało się ich zatrzymać - powiedziała. - Przyszli

po naszych więźniów. Oni nie... nie mogliśmy ich powstrzymać. Nawet kiedy zniszczyliśmy jednego, z cienia wychodziły kolejne dwa. To było... nie mogliśmy ich zatrzymać. - Spojrzała na Jacoba. Zamknął oczy. Wyglądał, jakby był

martwy, bardziej martwy niż inne wampiry. - Prawie urwały Jacobowi ramię, gdy próbował bronić ludzi. Ale nie mogliśmy nic zrobić.

Zdawała się zszokowana i zrozpaczona. Claire położyła rękę na ramieniu Patience, a tę przeszedł dreszcz.

- Już dobrze - powiedziała Claire. - Jesteśmy bezpieczni.

- Nie. Wcale nie jesteśmy. To nie są wampiry, Claire. To zwierzęta, wściekłe bestie. A my... a my jesteśmy dla nich taką samą zwierzyzną, jak wy.

- No dobra - odezwał się Morley, podnosząc głos na tyle, aby wszyscy go usłyszeli. -

Słuchajcie, zamknąć się! Nie możemy tu zostać...

- Autokar płonie... - rzucił ktoś spod okna. Morley zamilkł na moment, najwyraźniej nie spodziewając się takiego obrotu sprawy, po czym z prędkością światła przeszedł nad tym do porządku dziennego.

121

- W takim razie nie skorzystamy z autokaru. Ciemniaki.

Znajdziemy jakieś inne wyjście z tego cmentarzyska.

- W słońcu? - zapytał Jacob. Miał cichy, przepelniony bólem głos. - Nie wszyscy są w stanie długo wytrzymać na słońcu, a nawet ci będą cierpieć. Wiesz o tym.

- Macie wybór: iść i się poparzyć albo zostać i dać się rozszarpać. - Morley wzruszył ramionami. - Moim zdaniem poparzenia się goją. Natomiast nie wiem, jak z oderwanymi częściami ciała i jakoś nie mam ochoty sprawdzać.

- Coś się zbliża! - krzyknął głos spod okna. - Ciężarówka. Dostawcza.

Claire przepchnęła się przez tłum wampirów, ignorując ich zimny dotyk i niezadowolone prychnania i dotarła pod samo okno, gdzie ponad metr podłogi nadal oświetlało słońce. Eve już dawno zajęła tę miejscówkę, ale zrobiła trochę miejsca dla Claire.

Ciężarówka była duża i żółta. Przypuszczalnie do przewozu pieczywa z dużą skrzynią bez okien. Claire patrzyła, jak pojazd przeskakuje przez krawężnik, toczy się po trawniku, rozpędza i przewraca ogrodzenie wokół merostwa. Ominęła pomnik patrona miasta, ale wprawiała go w takie drzenie, że cały posąg zaczął się niepokojąco chwiać, aż w końcu grawitacja zwyciężyła i pomnik wylądował twarzą w trawie.

Na szczęście nie przed ciężarówką.

Ta zawróciła i podjechała tyłem tuż pod okno. Zatrzymała się przed murem, a z szoferki wyskoczył Shane. Podbiegł do okna i uśmiechnął się szeroko do Eve i Claire. Uśmiech znikł mu z twarzy, gdy tylko wzrok przyzwyczał się do ciemności i zobaczył stłoczone w pokoju wampiry.

- Co...

- Ludzie Morleya - wyjaśniła Claire. - Wygląda na to, że teraz wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

- Mnie... się to średnio podoba.

- Wiem. Ale wszyscy musimy się stąd wydostać.

Shane pokręcił głową. Potargane włosy przykleiły mu

się do spoconej twarzy, ale odwrócił się i otworzył tylne drzwi ciężarówki. W środku

nie było wiele miejsca, ale może wystarczy dla wszystkich wampirów.

- Wezmę tyle, ile się zmieści. Ale serio, jak tylko stąd wyjedziemy, każdy działa na własną rękę.
- Jasne - odezwał się Morley i wyszedł na słońce. Jeśli mu doskwierało, to tylko na tyle, by musiał zmrużyć lekko oczy. Złapał ramę okienną i wyrwał ją jednym szarpnięciem, po czym odrzucił w trawę.
- Dobra, najmłodszy przodem. Już!

122

Nastąpiła chwila wahania. Ale kiedy Morley warknął cicho, wampiry zaczęły wychodzić, szybko przeskakiwać przez nasłonecznioną przestrzeń i chować się w bezpiecznych ciemnościach ciężarówki. Po kilku sekundach w pokoju pozostali już tylko Claire, Michael, Jason, Eve, Morley i Oliver, a za oknem stał Shane.

- Mówiłem, że najmłodszy przodem - powtórzył Morley, łypiąc na Michaela. Michael uniósł blade brwi. - Idiota.
- Zostaję z przyjaciółmi.
- To wygląda na to, że będziesz się musiał z nimi opalać, bo w środku nie ma już miejsca.
- Nie - odezwał się Oliver. - Michael wsiada do tyłu.

A ty i ja jedziemy na zewnątrz.

- Na zewnątrz? - roześmiał się ponuro Morley.
- Jestem pewien, że rozumiesz, co mam na myśli. -

Oliver nawet na niego nie patrząc, złapał Michaela za ramię i prawie rzucił nim przez otwartą przestrzeń do ciężarówki. Michael upadł na niewielki kawałek pozostałej wolnej przestrzeni i został wciągnięty do środka przez Patience Goldman, która wyglądała na mocno zdenerwowaną, prawie przerażoną. Shane zatrzęsł tylne drzwi ciężarówki pobiegł do przodu.

- Dobra, ruszać się, drogie panie!

Jason nie czekał na to, aż dziewczyny się ruszą. Wskoczył z budynku i wsiadł pierwszy. Oliver wypchnął Eve przez okno, a ta pobiegła do szoferki, w której usadowiał się już Jason. Claire podążyła za nią, unikając jakiegokolwiek pomocy od Olivera, i kiedy stanęła na wysokim progu szoferki, zobaczyła, jak Oliver i Morley wyskakują z budynku i kładą się płasko na wierzchu ciężarówki, w pełnym słońcu, z szeroko rozstawionymi rękami i nogami, aby utrzymać równowagę. Zatrzęsła za sobą drzwi i wcisnęła się obok Eve, podczas gdy Jason siedział po jej drugiej stronie, obok Shane'a.

- Nie można było usiąść na zmianę? Chłopak, dziewczyna, chłopak? - zaczął narzekać Shane, uruchamiając silnik. - Cofnij się, dziwolągu.

Te ostatnie słowa były skierowane do Jasona, który najwyraźniej usiadł za blisko Shane'a. Claire próbowała przesunąć się bliżej drzwi pasażera, ale kabina nie była stworzona dla czterech osób, bez względu na to, jak szczupli by byli. A Shane nie należał do malutkich.

- Po prostu jedź, cwaniaczku - warknął Jason. Shane wyglądał, jakby rozważał, czy go nie walnąć. - No chyba że masz ochotę na dwa pieczone wampiry na dachu.

- Cholera - rzucił Shane i spojrzał na kierownicę tak, jakby go osobiście obraziła. Wrzucił bieg i ruszył przez trawę. Uderzył mocno w krawężnik, sprawiając, że Claire wylądowała na desce rozdzielczej, z trudem się podniosła, podczas gdy ciężarówka turlała się w przód i w tył, odzyskała przyczepność i pognąła w dół ulicy.

- Gdzie ty, do cholery, jedziesz? - krzyknął Jason.

123

- Twoja siostra może mówić. Ty nie.

- Gdzie ty, do cholery, jedziesz, Shane? - odezwała się Eve.

- Do biblioteki. Obiecałem, że oddam ciężarówkę.

Claire zamrugała, patrząc na niego i Eve, po czym pokręciła głową.

- Musi być zdesperowany. Shane jedzie do biblioteki. I mimo wszystko to było całkiem zabawne.

Rozdział 11

Biblioteka była jakiś kwartał dalej, po lewej. Minęli wiele pustych budynków zpowybijanymi oknami. Zniszczenia, które zdawały się nastąpić po okresie dobrobytu. Ale nie wyglądały na niedawne.

Wszystkie okna biblioteki były całe, a wejścia pilnowali ludzie - pierwsi żywi ludzie, jakich Claire widziała w Blacke. Doliczyła się czterech, uzbrojonych w strzelby i kusze.

- Mój typ biblioteki - stwierdził Shane. - Z tą całą bronią i wszystkim. Szukałem ciężarówki i oni mi ją udostępnili, ale tylko pod warunkiem, że ją odprowadzę. To wygląda na przyjemne miejsce. A przynajmniej dowiemy się, co tu się dzieje. I może złapiemy autobus albo coś.

Strażnicy przed biblioteką najwyraźniej byli czujni. Mężczyźni ze strzelbami trzymali nadjeżdżającą ciężarówkę na muszce i wyglądało na to, że nie zawahaliby się strzelić. Claire chrząknęła.

- Hm... Shane?

- Widzę. - Zwolnił prawie do zera. - Hm, podejrzewam, że zdanie: „Cześć, jesteśmy miłymi nieznajomymi z grupą wampirów w waszej ciężarówce

dostawczej" raczej im się nie spodoba.

Wrzucił wsteczny.

- To chyba jednak nie był taki dobry pomysł, jak sądziłem.

- Może powinniśmy...

Cokolwiek chciała zaproponować Eve, okazało się nieistotne, bo dwa radiowozy z kolejnymi uzbrojonymi ludźmi wyjechały z rykiem z bocznych uliczek obok biblioteki i zablokowały Shane'owi drogę. Shane zahamował. Ktoś otworzył drzwi od strony Claire i wielki facet ze strzelbą spojrzał na nią, złapał i wyciągnął na gorący chodnik. Przycisnął jej na moment palce do szyi, po czym krzyknął:

- Żywa!

- Ta też! - odkrzyknął jego kumpel, który wyciągnął

z szoferki rzucającą się i krzyczącą Eve. - Uważaj, dziewczyno!

- Sam sobie uważaj, zboczeńcu! Gdzie z łapami!

- Hej, zostaw ją! - To Jason wygrzebał się z szoferki za

124

Eve i wyglądał na takiego samego rozgorączkowanego małego maniaka, jakim Claire zapamiętała go z ich pierwszego spotkania. Może był trochę czystszy. Może... Najwyraźniej zdaniem uzbrojonego strażnika ruszał się za szybko, bo dostał kolbą w żołądek i padł na ulicę. Eve wykrzyczała jego imię, po czym ktoś ją podniósł i dosłownie zaniósł z Claire do biblioteki.

- Nie! - krzyknęła Claire i spojrzała w stronę ciężarów-

ki. Shane'a właśnie wyciągano zza kierownicy, a Jasona stawiano na nogach.

Nie wyglądało to dobrze. I gdzie u licha był Oliver i Morley? Nie było ich już na dachu ciężarówki.

Oliver zeskoczył z dachu biblioteki i kopnął faceta trzymającego Claire. Zepchnął ją z drogi, podczas gdy facet trzymający Eve wycelował kuszę i wystrzelił. Oliver złapał bełt w powietrzu i złamał grube drzewce w palcach. Uśmiechał się szeroko.

- Puść dziewczynę - zażądał. - Grałem już w tę grę

z wieloma lepszymi od ciebie. I wszyscy zginęli, przyjacielu.

Zaróżowił się od słońca, ale nie płonął. Jeszcze nie. Może czuł się nieprzyjemnie.

Strażnik rozejrzał się wokół, szukając wsparcia, i odnalazł je w postaci biegnących mu na pomoc dwóch innych mężczyzn w kowbojskich kapeluszach.

Ze strzelbami.

Claire rzuciła się do przodu, rozkładając ramiona. Eve wydała ostrzegawczy okrzyk, ale Claire stanęła przed Oliverem, gdy mężczyźni unieśli broń.

- Poczekajcie! - krzyknęła. - Poczekajcie moment! On jest z nami!

Strzelby skierowały się na Claire. O kurczę.

- Prowadzasz się z krwiopijcami? - zapytał jeden stanowczym, groźnym tonem. - Taka mała dziewczynka jak ty?

- On nie jest taki, jak... jak te stwory w sądzie. - Uniosła ręce w poddańczym geście i zbliżyła się do nich o krok. - Nie powinno nas tu być. Chcemy tylko stąd odjechać, dobrze?

Wszyscy. Chcemy opuścić miasto.

- No, ale nie opuścicie - oznajmił facet trzymający

Eve. - Ani ty, ani twoi zębaci przyjaciele. Nie pozwolimy, aby to coś się rozniosło. Blacke przechodzi kwarantannę.

Otworzyły się ciężkie drzwi biblioteki i wyszła niska, siwowłosa kobieta. Nie wyglądała na przywódcę - Claire nie zwróciłaby na nią uwagi w tłumie - ale wszyscy natychmiast spojrzeli w jej stronę, a Claire poczuła, jak centrum uwagi przenosi się w jej stronę.

- Charley? - zapytała kobieta. - Czy ty celujesz z broni do tej ślicznej dziewczynki? Słyszałam, że jest żywa.

- Jest z nimi!

- Charley, nie ma współpracowników. Wiesz o tym. Albo jest zarażona, albo nie. Nie ma nic pomiędzy. Tak więc opuść broń, proszę. - Miły głos kobiety zyskał stalowy

125

ton. - Opuść ją, natychmiast.

- Ten za nią jest zarażony! - odezwał się Charley. - To pewne.

- Tak naprawdę - odpowiedział Oliver - w sensie, o który ci chodzi, nie jestem zarażony. Nie w ten sposób, w jaki myślisz.

Starsza kobieta natychmiast zsunęła z ramienia pasek, załadowała bełtem kuszę i strzeliła wprost w pierś Olivera.

Przewrócił się i padł z głuchym odgłosem na ziemię. Claire krzyknęła i do niego podbiegła. Ale kiedy sięgnęła, by wyciągnąć mu z piersi bełt, kobieta złapała ją za ramię i szarpiącą się odciągnęła. Pchnęła ją w stronę jednego ze strażników, który mocno ją przytrzymał.

- Wiecie, co robić - zwróciła się do innego, skinąwszy głową w stronę Oliyera. - Wprowadźcie dzieci do środka.

Nie chcę, żeby to widziały.

- Nie, nie rozumiesz! - krzyknęła Claire. - Nie możesz...

- Rozumiem, że jest wampirem i że z jakiś dziwnych powodów chcesz go chronić - odpowiedziała kobieta. -

A teraz bądź cicho. Tu jesteś bezpieczna.

Claire pomyślała o wszystkich wampirach zamkniętych z tyłu ciężarówki. Michael. Nie mogła im o tym powiedzieć. Jeśli zamierzali tak po prostu zabić Oliyera, wołała sobie nie wyobrażać, co postanowiliby zrobić z uwięzionymi w ciężarówce wampirami. To byłoby zbyt proste. Słońce chyliło się ku horyzontowi. Może, jeśli schowa się za budynku i będzie dość cienia, wampiry zdołają wydostać się z ciężarówki i uciec.

Kobieta przyjrzała jej się uważnie.

- Zdajesz się nad czymś mocno zastanawiać - zauważyła. - Nad czym?

- Niczym.

- Aha. Jak się nazywasz? - A kiedy Claire nie odpowiedziała, kobieta westchnęła. - No dobrze, jestem pani Grant.

Jestem bibliotekarką. I w tym momencie stanowią władzę w Blacke, ponieważ nasi sędziowie pokoju i urzędnicy nie

żyją. Zachowujmy się po przyjacielsku. Powiedziałam ci, jak się nazywam. A ty jak masz na imię?

- Claire.

- I skąd jesteś, Claire?

Claire spojrzała jej prosto w oczy. I powiedziała:

- To nie twoja sprawa.

Siwiejące brwi pani Grant uniosły się, ale jej bladozielone oczy nie zdawały się zaskoczone.

- No dobrze. Wejdzmy z twoimi przyjaciółmi do środka, a potem powiesz mi,

dlaczego uważasz, że ten wampir

był kimś, na kim powinno ci zależeć.

126

Claire spojrzała przez ramię, podczas gdy wpychano ją do środka. Ludzie odnosili gdzieś Olivera, zupełnie bezwładnego.

A ona nic nie mogła zrobić.

W bibliotece było chłodno i ciemno. Oświetlenie było głównie naturalne, z okien, ale było też kilka fluorescencyjnych i diodowych lampek kempingowych, a na stołach stało trochę lamp naftowych w dawnym stylu. Biblioteka Blacke była większa, niż można się było spodziewać, z rzędami regałów i wieloma dodatkowymi salami. Po środku zostało stworzone coś na kształt kwatery głównej, z małym biurkiem, laptopem i jakimś generatorem prądu na pedały. Na okolicznych półkach leżała broń, w tym sterta srebrnych łańcuszków. Claire podejrzewała, że była

to biżuteria zebrana z całego miasta. Było też sporo środków pierwszej pomocy.

W bibliotece było jakieś dwadzieścia czy trzydzieści osób. Trudno było powiedzieć, bo ludzie siedzieli na łózkach polowych porozstawianych po całej bibliotece. Claire usłyszała czyjś szept, a potem płacz. Jakby małego dziecka, cztero- czy pięcioletniego.

- Co to? - zapytała, rozglądając się w koło.

Pani Grant zaprowadziła ją do długiego stołu dla czytelników i zaproponowała krzesło.

- Tyle zostało z naszego miasta. Ci ocaleli. Jesteśmy twardzi, mówię ci.

- Ale... - Claire oblizwała zaschnięte wargi i usiadła. - Co się tutaj stało?

Pani Grant zaczekała, aż pozostali - Eve, Shane i Jason - zostaną posadzeni na krzesłach, mniej lub bardziej delikatnie. Shane był wściekły i wyglądał tak, jakby poważnie myślał o porwaniu broni z któregoś regału. Najwyraźniej pani Grant to zauważyła, bo wskazała dwóch ze swoich krzepkich kowbojskich strażników i kazała im stanąć za Shane'em, odgradzając go od półek.

- Blacke nigdy nie było specjalnie na szlaku - odezwała się pani Grant. - Większość mieszkańców urodziła się tutaj, a ich rodziny mieszkały tu od wieków. Rzadko widzimy tu obcych.

Właściwie podobnie było w Morganville, ale tam przymamniej mieli atrakcję w postaci uniwersytetu. Podobnie z resztą było z wszystkimi innymi miasteczkami w okolicy. Claire skinęła głową.

- Pewnej nocy przybyli do nas goście. Stary mężczyzna w garniturze, z siostrzenicą i siostrzeńcem. Zagraniczni.

Może z Francji.

Claire spojrzała na Eve i Shane'a. Eve bezgłośnie powiedziała Bishop. To było potwierdzenie ich przypuszczeń - Bishop zaatakował Blacke po drodze do Morganville.

I dobrze się bawił.

- Zatrzymali się w gospodzie Pod Żelazną Lilią - mówiła dalej pani Grant. - To najbardziej zbliżone do hotelu miejsce, jakie tu mamy. A raczej] mieliśmy. Należało do pani Gonzalez. Robiła też najlepszą na świecie szarlotkę. -

Pokręciła głową. - Następnego dnia zginęła. Nie pojawiła się w szkole - pracowała tam w biurze. Szeryf John poszedł do hotelu i znalazł jej zwłoki. I ani śladu po tych... ludziach.

Claire pomyślała, że pani Grant nie opowiedziała im wszystkiego. Wiedziała, jak się stwarza wampiry i jeśli wysączono całą krew z pani Gonzalez, nie mogłaby wrócić. Dlatego dalej milczała. Pani Grant najwyraźniej się nie spieszyła, a Claire starała się nie myśleć o tym, co może się dzieć na zewnątrz, z Oliverem. Podejrzewała, że Morley uciekł. I nie miała pojęcia, co się stało z wampirami ukrytymi w ciężarówce.

- Myśleliśmy, że na śmierci pani Gonzalez się skończy - szokujące, pierwsze poważne problemy w mieście od prawie trzydziestu lat, ale jednak na tym się skończy. Ale następnej nocy panna Hanover po prostu zniknęła ze swojego sklepu przy stacji benzynowej, na końcu ulicy. Z tego co wiemy, te dwie kobiety były pierwszymi ofiarami. Wiemy, że obcy opuścili miasto tamtej nocy. Ktoś widział ich jadących tym wielkim czarnym samochodem z piekła rodem. Ale to nieistotne. Zostawili to po sobie.

Pani Grant spojrzała na swoje ręce, leżące płasko na blacie stołu. Silne i pokryte bliznami, wskazywały, że nie zawsze była bibliotekarką.

- Zaczęło się powoli. Raz na kilka tygodni ginął człowiek. Znikali albo umierali. A potem się pogorszyło, szybko, po kilku dniach... tak jakby zginęło gdzieś pół miasta. Szeryf John nie zadzwonił dość szybko po wsparcie. A potem zobaczyliśmy ich po raz pierwszy, wielu. Okropne rzeczy, Claire. Działy się okropne rzeczy. I my musieliśmy robić okropne rzeczy, żeby przetrwać.

- Czemu po prostu... - zaczęła Eve, ale zamilkła, gdy pani Grant poderwała głowę.

- Nie uciekliśmy? - warknęła. - A myślisz, że nie próbowaliśmy? Telefony nie działały, ani stacjonarne, ani komórki. Internet padł, w momencie gdy tylko zabrakło prądu. Zniszczyli elektrownię, kiedy jeszcze potrafili myśleć. Wszystkich, których mogliśmy, odesłaliśmy za miasto w szkolnych autobusach. Nie udało im się.

Jakaś pułapka na drodze rozwalila wszystkie opony. Niektórzy dali radę do nas wrócić, ale większość nie miała tyle szczęścia.

To brzmiało tak, jakby ktoś wcielił w życie horror klasy B. Claire myślała, że Morganville jest okropne, ale to było zdecydowanie potworniejsze.

- Przykro mi - wyszeptała. - Ale czemu tu zostaliście?

Czemu nie spróbowaliście jeszcze raz?

- Wiesz, ilu ludzi mieszkało w Blacke? - zapytała pani

128

Grant. - Stu siedemdziesięciu dwóch. A teraz zostało nas tylko tyle, ile w tym budynku. No, w każdym razie z tych, co oddychają. Myślisz, że możemy tak po prostu odejść? To byli nasi przyjaciele, nasza rodzina. A jeśli odejdziemy, to co się stanie? Jak daleko to się rozniesie? - Spojrzenie pani Grant stało się zimne, jak lód. - To się skończy tutaj. Musi. A teraz wyjaśnijcie mi, jak to się stało, że podróżujecie z jednym z nich.

- Ważniejsze jest to, że Oliver nie był... taki jak ci, o których mówisz. Oni są chorzy, a on nie.

Pani Grant wybuchnęła śmiechem.

- Jest martwy. Bardziej chory być już nie może, Claire znikąd.

- Posłuchaj. - Shane pochylił się, opierając łokcie na stole. - Nie mówię, że wampiry jako takie nie są przerażające, bo są. Ale nie w ten sposób. Nie... typowo. Mogą być...

- A skąd wasza czwórka wie cokolwiek o wampirach? - zapytała pani Grant, a gdy żadne z nich nie odpowiedziało, zmarszczyła brwi. - Ich jest więcej. Gdzieś tam jest ich więcej. Nawet jeśli wykończymy te tutaj, to jeszcze wiele pozostanie gdzie indziej...

- Ale nie takich! - zapewniała z desperacją Claire. - Musisz mi uwierzyć, nie wszystkie są...

- Takie złe - dokończył Morley, wyłaniając się zza jednego z regałów. Wyglądał przerażająco, tak że jego słowa brzmiały mało przekonująco. - Nie, nie jesteśmy. Aczkolwiek niektórzy z nas są na pewno lepsi od innych.

Na kolejnym regale pojawił się Oliver. Spoglądał w dół. W długim czarnym płaszczu sprawiał wrażenie bardzo wysokiego i silnego. Budził nawet większą grozę niż Morley. Z cienia wyszły kolejne wampiry. Claire zauważyła Patience i Jacoba stojących po bokach grupy.

I Michaela, złotego Michaela, który uśmiechnął się do Eve tak, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że wszystko jest już w porządku.

Pani Grant poderwała się z krzesła i rzuciła się po broń.

Shane wstał i pchnął do tyłu krzesło, by odciągnąć w ten sposób uwagę dwóch strażników. To wystarczyło, żeby Oliver mógł zeskoczyć z regału na stół, potem podłogę i odebrać im broń.

Nie ranił ich. Nie musiał.

Morley zrobił to zdecydowanie-za-szybkie wampirze coś i w jednej chwili pojawił się przy półce z bronią, przed panią Grant. Uśmiechał się od ucha do ucha i szczyrzył kły. Pogroził jej palcem, kiedy zatrzymała się gwałtownie i cofnęła, dysząc. Była oczywiście przerażona i Claire wcale jej się nie dziwiła.

W tym czasie Michael zbliżył się już do Eve, która objęła go za szyję.

- Jak wyszliście? - zapytała stłumionym przez koszulę

129

głosem, gdy wtuliła policzek w jego pierś. Pogłaskał ją po plecach.

- Budynek po drugiej stronie drogi rzuca całkiem niezły cień - wyjaśnił. -

Wyskoczyliśmy, gdy tylko uspokoiło się na zewnątrz. A potem już było łatwo.

Myśleli, że mają już wszystkich.

- Ale nie...

- Nie, nikogo nie skrzywdziliśmy. Patience tego dopilnowała.

Mieszkańcy Blacke, cała dwudziestka czy trzydziestka, zbiła się w ciasną grupkę.

Wyglądało na to, że szykują się na ostatni bój. Nie łudzili się, że wszyscy to przeżyją, uświadomiła sobie Claire.

- Hej - zwróciła się do pani Grant. - Proszę. Nie bójcie się. Nie skrzywdzimy was.

- Nie? - zaśmiał się Morley.

- Nie, nie skrzywdzimy - powiedział Oliver i położył broń na stole. - Shane, weź srebro.

- Mogę część zatrzymać?

Oliver uśmiechnął się ponuro.

- Jeśli sprawi ci to przyjemność...

- Nawet nie masz pojęcia jaką!

- Rozdaj wszystkim łańcuszki. Upewnij się, że noszą je na szyjach i nadgarstkach. To może ich uchronić, jeśli ktoś z nas, na przykład Mprley, będzie miał chwilę słabości. - Oliver sprawdził, czy strzelby są naładowane, i rzucił je wybranym wampirom. Te złapały je bez trudu w powietrzu. - Świetnie. Obawiam się, że pani Grant ma rację. Nie możemy pozwolić, aby ta choroba, bo to jest choroba, się rozprzestrzeniała. Musimy złapać i podać antidotum

wszystkim, którzy są zarażeni, albo ich wyeliminować. Tak więc dotyka to nas w takim samym stopniu, co was.

- Antidotum? - krzyknęła pani Grant. - Co wy... Patience Goldman otworzyła niewielką torbę – Claire uświadomiła sobie, że to lekarska torba pana Goldmana. W środku znajdowały się dziesiątki flakoników z jakimś płynem, a także kilka butelek z czerwonymi kryształkami. Claire osobiście pomagała je zrobić. Płyn zawierał lekarstwo na przenoszoną przez krew chorobę, którą przy-wlókł tu Bishop, a przynajmniej miała nadzieję, że je zawiera. Kryształki pomagały przywrócić na chwilę świadomość. Najlepiej było podać najpierw kryształki, a potem zastrzyk. Ten sposób leczenia działał na ciężko chore wampiry w Morganville.

- Można ich uratować - zapewniał Oliver. - Uważamy,

że waszym rodzinom i przyjaciołom da się przywrócić rozum. Ale nie można sprawić, by znów byli ludźmi.

Rozumiecie. W tej kwestii klamka zapadła. Ale odzyskanie

bliskich, jeśli tylko jesteście w stanie dostosować się do małej zmiany.

- To jest chore! - odezwał się z drzeniem w głosie jeden

ze strażników. Jego kuszę trzymał teraz jeden z wampirów

Morleya, niewysoki, kuśtykający wampir z pobrużdżoną

130

twarzą. - Musimy walczyć! Lilian...

- Nie przybyliśmy tu po to, by z wami walczyć - uspokajał Oliver. - Ani żeby was ratować. Przybyłem tu po to,

aby zapanować w jakiś sposób nad epidemią, a z tego, co

widzę, wy macie ten sam cel. Moi przyjaciele - w ostatnim słowie zabrzmiała nutka ironii - są tu tylko przejazdem. Nikt z nas nie ma powodu, by was skrzywdzić.

- Jesteście wampirami - powiedziała głucho pani Grant.

- No cóż, oczywiście. Tak. - Oliver zamknął magazynek kolejnej strzelby i rzucił ją... W kierunku pani Grant.

- Jakież pytania?

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamknęła je i rozejrzała się wokół. W sali było wiele wampirów, mniej więcej tyle, co ludzi. I żaden z nich nie zamierzał atakować. Shane rozdawał ludziom srebrne łańcuszki, uśmiechając się przy tym w najbardziej niewinny sposób, jaki umiał. Nawet Jason starał się nie wzbudzać strachu, co w jego przypadku nie było łatwe.

- To może siądziemy - zaproponował Oliver i przysunął sobie krzesło. - Ja na przykład miałem bardzo ciężki dzień

Rozdział 12

Gdy na zewnątrz zapadał zmrok, w bibliotece opadały emocje. Mieszkańcy Blacke nie odprężyli się całkiem, ale rozluźnili się na tyle, żeby na gazowym palniku w kuchence bibliotecznej ugotować potrawkę. Nie było prądu, ale na szczęście nie odcięto jeszcze dopływu gazu. Pani Grant i trzech strażników w kapeluszach kowbojskich - Claire uznała, że kapelusze stanowią swego rodzaju mundur - obeszl bibliotekę i zabarykadowali drzwi i okna.

Przyłączył się do nich Morley. Po dłuższej chwili milczenia pani Grant postanowiła ignorować jego obecność. Strażnicy za to stali się jeszcze bardziej czujni. Zaciskali palce na broni tak mocno, że aż im zbieleły.

- Mogę pomóc? - zapytał w końcu Morley i schował ręce za siebie. - Obiecuję nikogo nie zjeść.

131

- Bardzo śmieszne - odpowiedziała pani Grant. Morley posłał jej poważne spojrzenie.

- Droga pani, ja nie żartowałem - sprostował. -

Obiecuję, a ja nigdy nie daję obietnic bez pokrycia. Może pani czuć się bezpieczna.

- No cóż, przykro mi, ale wcale tak się nie czuję - odparła. - Jesteś po prostu...

- Oszałamiająco pociągający i szykowny? - uśmiechnął się szeroko Morley. - To normalne u kobiet, które mnie poznają. Przejdzie. Wydaje mi się, że jesteś rozsądna. To dobrze.

Claire uśmiechnęła się, widząc w świetle latarki wyraz twarzy pani Grant.

- Jesteś naprawdę... dziwny. - Starsza kobieta odezwała się w taki sposób, jakby nie wierzyła, że w ogóle uczestniczy w tej konwersacji.

Morley położył dłoń na sercu i uklonił się do pasa, w stylu, który przypominał Claire Myrnina. Zdała sobie sprawę, że za nim tęskni, a to było po prostu złe. Nie powinna tęsknić za Morganville ani za nikim, kto tam mieszka. Zwłaszcza za jej szalonym szefem wampirem, który zostawił na jej szyi ślady zębów, które nigdy, przenigdy nie znikną. Przez niego była skazana na golfy i bluzki ze

stójką.

Ale za nim tęskniła. Brakowało jej nawet cierpkiego i chłodnego sposobu bycia oraz siły i pewności siebie Amelie. Zastanawiała się, czy dla niej też były to swego

rodzaju wakacje - bez martwienia się o Olivera, Michaela, Eve ani nikogo z paczki Claire.

Pewnie tak. Raczej nie spodziewała się, żeby ich los spędzał sen z powiek Amelie, o ile w ogóle sypiała.

- Hej. - Shane trącił biodrem jej krzesło i nachylił się tak nisko, że prawie dotykał ustami jej ucha. - Co robisz?

- Myślę.

- Przestań.

-

-

Myśleć?

Zdecydowanie za często to robisz. Oślepniesz od tego.

Zaśmiała się i odwróciła do niego.

- Odnoszę wrażenie, że myślisz o czymś innym.

- Oczywiście, że myślę o czymś innym. - Shane znów

pochylił się, aby ją pocałować. To był długi i słodki pocałunek. Jego język delikatnie pieścił jej wargi, ogarnęło ją ciepło, ale przeszedł ją dziwny dreszcz, a gdy Shane próbował się wyprostować, złapała go za kołnierz koszuli i zaczęła dalej całować. Gdy w końcu go puściła, Shane usiadł na krześle obok niej i przysunął się tak blisko, jak tylko się dało. W kącie, gdzie siedzieli, zrobiło się szalenie romantyczne. W świetle migającej świecy skóra Shane'a wydawała się złota, jego oczy ciemne i tylko czasami, gdy światło padało pod odpowiednim kątem, widać w nich było jeszcze bursztynowy odcień. Claire pogłaskała jego dość szorstki podbródek i uśmiechnęła się.

- Musisz się ogolić.

132

- Myślałem, że lubisz, gdy jestem niechlujny.

- To dobre dla psów i marnych rockmanów.

- Ach tak? To do której grupy się zaliczam?

Był blisko niej i w tym ich prywatnym kąciuku miłości wydawało się, że wszystko, co dzieje się dookoła, całe to szaleństwo i wszelkie nieszczęścia są oddalone o setki

kilometrów. Shane miał w sobie jakąś siłę, która sprawiała, że przy nim wszystko było w porządku. Dopóki patrzył na nią z tym cudownym błyskiem w oku.

Odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy.

- Ale wycieczka, co?

- Miewałam gorsze. - Zauważyła, że Shane jej niedowierza. - Naprawdę!

Pojechałam kiedyś z rodzicami aż do Kanady. Cały tydzień w samochodzie z nieustannymi wykładami naukowymi. Myślałam, że zwariuję.

- Myślałem, że lubisz wykłady.

- Jestem pewna, że ty mógłbyś mnie nauczyć kilku rzeczy.

Znów ją pocałował, tak namiętnie, że zaparło jej dech. Tak... wiedziała, czego pragnie w tej chwili. I wiedziała, że on pragnie tego samego. Jednak to nie był czas ani miejsce, nie tu i nie tej nocy... szkoda, bo jeśli ona zginie, zanim znów będzie miała szansę spędzić z Shane'em trochę czasu sam na sam, to naprawdę wkurzy się na Olivera.

W ciemnościach ktoś kaszlnął. Shane się odsunął. Claire oblizwała wilgotne wargi, czując na nich jego smak. Z trudem starała się skupić na czymś innym, choćby na intruzie, który im przeszkodził.

- Co? - spytał Shane trochę za ostro.

- Przepraszani. - Głos Jasona wcale nie brzmiał, jakby mu było przykro. Raczej jakby był rozbawiony. - Jeśli zamierzacie kontynuować ten pornograficzny pokaz, to nie krępicie się, zaczekam.

- Zamknij się! - warknął Shane.

- No wiesz, możemy się tak przekomarzać w nieskończoność, ale zdaje się, że mamy istotniejsze sprawy do załatwienia. Poza tym i tak nie mówiłem do ciebie. Potrzebuję Claire.

A ona potrzebowała wielu rzeczy, i to wszystkich od Shane'a, natomiast nie miała pojęcia, czego też mógłby potrzebować od niej Jason Rosser. Poirytowana rzuciła jeszcze bardziej ostro:

- Po co?

Przewrócił oczami, dokładnie tak samo, jak jego siostra. Było w tym coś przerażającego. Nie chciała nawet myśleć o tym, że pochodzą z tej samej puli genowej, a tym bardziej, że mają te same cechy i zachowania, które u Eve wydawały jej się słodkie i zabawne.

- Bo Oliver cię potrzebuje, a jeśli Oliver czegoś potrzebuje, to to dostaje, jasne? Tak więc podnieś swój śliczny tyłeczek i chodź.

- Hej! - Shane wstał. - Nie będę ci dwa razy powtarzał Jasne. Wystarczy.

- Bo co? Bo powiedziałem, że ma śliczny tyłeczek?

A co, jesteś innego zdania? Jakoś nie wierzę, widząc, ile czasu spędzasz na gapieniu się na nią.

Shane zacisnął pięści, a Claire przypomniała sobie Jasona czającego się w ciemnościach nieopodal Common Grounds, potem goniącego ją i Eve, chociaż Shane'owi tłumaczył, że chodziło mu tylko o siostrę.

Shane tego nie zapomniał.

- Ty i ja, któregoś dnia to skończymy - powiedział cicho. - A do tego czasu trzymaj się z dala od mojej dziewczyny. Jasne?

- Twardziel - zaśmiał się Jason. - Tak, jasne. Jak dla mnie i tak jest za chuda. Gdy odchodził, Claire spostrzegła, że Shane drży. Pewnie z trudem pohamowana chęć przyłożenia Jasonowi tak na niego działała.

Ale powoli wypuścił powietrze i odwrócił się do Claire.

- Ten chłopak nie jest normalny. Nie obchodzi mnie, co mówi Eve. I nie podoba mi się, że kręci się przy tobie.

- Umiem o sobie zadbać.

- Tak, wiem - uśmiechnął się z trudem. - Tylko że... -

Wzruszył ramionami i zmienił temat. - Oliver, tak?

- Na to wygląda. - Claire wzięła świecę i podeszła do

prowizorycznego, a może oficjalnego, punktu dowodzenia. Siedział tam Oliver z kilkoma wampirami, których twarze przybrały niebiesko białą barwę w świetle lampy fluorescencyjnej.

- Nareszcie - odezwał się Oliver. - Musisz sprawdzić, czy da się z tego czegoś wysłać wiadomość. - Wskazał na komputer.

- Nie ma prądu.

- Próbowali używać tego. - Kiwnął głową w stronę generatora na pedały. -

Mówią, że to powinno działać, ale jest

jakiś problem z komputerem. Napraw go.

- Tak po prostu?

- Tak, tak po prostu. I marudź po cichu, dobrze?

Zagotowała się w środku, ale Shane tylko wzruszył ramionami i podszedł do generatora, który przypominał trochę rower do ćwiczeń.

- To może być niezłe wyzwanie - stwierdził. - Zrobimy

tak: ja będę pedałowiał, a ty czaruj, może być?

Podobało jej się, że chciał pomóc. Spletli palce i znów ją pocałował, delikatnie.

- Może - zgodziła się.

Odwróciła laptop i przyjrzała mu się. Na pierwszy rzut oka nie było widać żadnych uszkodzeń, a w każdym razie nic nie było pęknięte czy odłamane. Shane wdrapał się na siodełko i zaczął pedałowiać. To jednak okazało się trudniejsze, niż myślał i musiał się mocno przyłożyć. Opór wytwarzał energię, która była przetwarzana na

134

prąd, który dochodził przewodem do rozgałęziacza elektrycznego z wbudowaną baterią. Bateria natychmiast zaczęła świecić czerwonym światłem i piszczeć.

- Wiemy już, że to działa - stwierdziła Claire. - Ale naładowanie baterii w laptopie chwilę potrwa.

- Jak długo? - zapytał Shane.

- Leniuch. - Uśmiechnęła się do niego.

- No pewnie.

Kilka chwil później zapaliło się światło w laptopie. Włączyła go i zaczęła szukać przyczyny problemu. Po półgodzinie ustaliła, co jest nie tak, i uruchomiła system. Shane dalej pedałowiał. Po jakimś czasie przestał rzucać zabawne uwagi, by oszczędzać siły. A kiedy wreszcie na baterii w rozgałęziaczu zapaliło się zielone światło, zatrzymał się i z trudem łapiąc powietrze, pochylił na

roweru.

- No dobra - wydyszał. - Tylko nie nawalmy, dobra? Bo nie mam ochoty powtarzać tego doświadczenia. Następnym razem weź sobie wampira. One nie muszą oddychać.

Claire spojrzała na Olivera, który zupełnie nie zwracał na nich uwagi i notował coś na mapie Blacke. Ale się uśmiechał.

- Loguję się - zakomunikowała, patrząc na monitor. - I oto...

Zabrzmiał dźwięk powitalny Windowsów i w tym momencie chyba wszyscy w bibliotece podskoczyli. Pani Grant i Morley przerwali obchód i podeszli do Claire, podczas gdy system wreszcie się załadował i na ekranie pokazał się pulpit. Zaczekała, aż wszystkie pliki się załadują, po czym kliknęła dwa razy w ikonkę Internetu.

- Cztery... - westchnęła.

- Co? - Morley nachylił się nad jej ramieniem. - Co to znaczy?

- Że nie odnaleziono strony - odpowiedziała. - To błąd czterysta cztery.

Spróbujemy czegoś innego.

Próbowała połączyć się z Google'em, potem Wikipedią, Twitterem i nic.

- ISP nie działa. Nie ma dostępu do Internetu.
- A co z e-mailem? To jest e-mail, prawda? - upewnił się Morley i pochylił się jeszcze bardziej. - E-mail to taki elektroniczny list. Leci przez powietrze. - Był bardzo zadowolony z siebie, że wie takie rzeczy.
- No niezupełnie. I byłbyś łaskaw cofnąć się albo znaleźć prysznic? Dzięki. A żeby wysłać e-mail potrzebne jest połączenie z Internetem. A to nie działa.
- Pedalowałem na darmo - westchnął Shane. - To boli...
- Czy ktoś oprócz mnie zauważył, że jest za cicho? - zapytał Oliver, podnosząc wzrok znad mapy.

Na chwilę wszyscy zamilkli, po czym odezwała się pani Grant:

- Czasem nie pojawiają się przez kilka godzin. Ale zawsze przychodzą. Każdej nocy. Nie pozostało im nic oprócz nas.

135

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

Oliver wstał i skinął głową na Morleya. Oba wampiry zniknęły w ciemnościach, szepcząc do siebie zbyt cicho dla uszu ludzkich.

Pani Grant zmarszczyła brwi i odprowadziła ich wzrokiem.

- Zwrócą się przeciwko nam - stwierdziła. - Prędzej czy później wasze wampiry nas zaatakują. Możecie być pewni.

- Wciąż żyjemy. - Claire wskazała na siebie, Shane'a,

Jasona i Eve. Eve siedziała kilka kroków dalej, wtulona w ramiona Michaela. - A siedzimy w tym znacznie dłużej od was.

- W takim razie jesteście szaleni. Jak w ogóle możecie wierzyć tym... ludziom? - Wyglądało na to, że nie tego słowa chciała użyć.

- Bo oddali wam broń - odparła Claire. - I dlatego, że gdyby chcieli, zabiliby was w przeciągu kilku pierwszych minut. Wiem, że jest ciężko. Czasami dla nas wszystkich.

Ale póki co musicie wierzyć w to, co mówią.

Pani Grant spojrzała na nią, marszcząc brwi:

- A kiedy należy przestać im wierzyć?

- Damy wam znać - uśmiechnęła się Claire.

W bibliotece nie było wiele dzieci. Według obliczeń Claire było ich siedmioro, począwszy od bobasów karmionych jeszcze mlekiem z butelki, a skończywszy na kilku dwunastolatków. Ale nikt nie był w wieku Claire. Nawet jej to odpowiadało. Patrzenie na strach w oczach rówieśników byłoby nie do zniesienia, a u młodszych dzieci - zbyt okropne. Zupełnie, jakby patrzyła na siebie w pierwszych dniach swojego pobytu w Morganville.

Eve przyniosła lampę, wokół której zgromadziła dzieci, i zaczęła im czytać książkę, którą wzięła z regału. Po pierwszych kilku słowach opowiadania Clair uświadomiła sobie, że skądś je zna. W końcu przypomniała sobie - Eve czytała Gdzie mieszkają dzikie stwory. A wszystkie dzieci, nawet te, które pewnie powiedziałyby, że są już na tę opowieść za stare, siedziały cicho i w skupieniu słuchały. Z ich twarzy zniknął strach.

- Ma dobre podejście, prawda? - Michael stanął za Claire. Też obserwował czytającą Eve. - Do dzieci. - W jego głosie pobrzmiwała nuta smutku.

- Tak, na to wygląda. - Claire spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok. - Wszystko w porządku?

- A czemu nie? Po prostu kolejny typowy dzień braci z Morganville. - Uśmiech też miał smutny. - Chciałbym

ją zabrać gdzieś daleko od tego wszystkiego. Sprawić, żeby było... inaczej.

- Ale nie możesz.

- Nie, nie mogę. Bo jestem tym, czym jestem, a ona jest

tym, kim jest. I tyle. - Wzruszył bardzo delikatnie, prawie niezauważalnie, ramionami. - Ciągłe mnie pyta, gdzie to nas zaprowadzi.

- Taa - odezwał się drugi głos. To Shane przyciągnął

136

krzesło i usiadł przy Claire. - Dziewczyny tak mają. Wciąż muszą prowadzić gdzieś związek.

- Nieprawda!

- Właśnie że tak. No rozumiem, ktoś musi patrzeć w przyszłość. Ale to sprawia, że mężczyźni myślą, że są...

- Osaczeni - powiedział Michael.

- Uwięzieni - dodał Shane.

- Idiotami. No dobra, nie miałam tego na myśli, ale na prawdę, chłopaki, to tylko pytanie.

- Ach tak? - Michael nie spuszczał wzroku z Eve, obserwując, jak czyta, jak się śmieje, jak się zachowuje w otoczeniu dzieci. - Jesteś pewna?

Claire nie odpowiedziała. Nagle to ona poczuła się osaczona. Uwięziona. I zrozumiała, dlaczego Michael czuje się tak... dziwnie.

Patrzył na Eve z dziećmi. Wiedział, że nigdy nie będą mieli własnych. Eve chyba też o tym wiedziała, choć nigdy go o to nie pytała. Wyobrażał sobie ich przyszłość, a miejsce, jakie w niej zajmował, zupełnie mu nie odpowiadało.

- Hej. - Shane trącił ramię Claire. - Zauważyłaś, co się dzieje?

Zamrugła i uświadomiła sobie, że Shane nie mówi o Michaelu. Wpatrywał się w zaciemnione miejsca, które powinny być patrolowane przez wampiry.

- Co? - zapytała. Nie widziała nikogo.

- Nie ma ich.

- Co?!

- Wampiry. Nie ma ich w budynku. No chyba że nagle zrobiła się długa kolejka do łazienki. Nawet Jasona nie ma.

- Niemożliwe. - Claire wstała z krzesła i podeszła do biurka. Nigdzie nie było Olivera ani Morleya. Na blacie leżała rozłożona i pokreślona

kolorowymi ołówkami mapa

Blacke. Złapała latarkę i ruszyła do drzwi biblioteki, gdzie stróżował Jacob Goldman. Nie było go tam.

- Widzisz? - odezwał się Shane. - Uciekły, wszystkie.

- To niemożliwe. Dlaczego miałyby nas zostawić?

- Jeszcze pytasz? - Shane pokręcił głową. - Claire, czasami mam wrażenie, że w ogóle nie masz instynktu przetrwania. Zastanów się, dlaczego nas zostawiły? Bo mogą.

Bo mimo że w każdym próbujesz doszukiwać się dobra, to oni dobrzy nie są.

- Nie! - krzyknęła. - Nie, nie zrobiliby tego. Oliver by tego nie zrobił.

137

- Oczywiście, że by zrobił. Oliver jest skończoną świnią i doskonale o tym wiesz. Jeśli się zastanowił i wykalkulował, że taka akcja zapewni mu przynajmniej sekundę lub dwie życia więcej, to wziął nogi za pas. On w ten sposób przetrwał, Claire. - Shane zamilkł na chwilę, po czym dodał. - Może i dobrze się stało. Skoro on uciekł, to my też powinniśmy. Po prostu... zwać. Najdalej, jak tylko się da.

- O czym mówisz?

- Mówię... - westchnął. - Mówię, że nie jesteśmy już w Morganville. A Oliver był jedynym, który powstrzymywał nas od ucieczki.

Nie dopuszczała do siebie myśli, że Oliver uciekł. Chciała wierzyć, że Oliver, podobnie jak Amelie, dotrzymuje słowa. Że gdy raz podjął się ochrony Claire i jej przyjaciół, nie zniknie gdy tylko sprawy się skomplikują.

Nie mogła mieć jednak pewności. Nigdy jej nie miała, jeśli chodzi o Olivera. Morley nie budził jej wątpliwości, był wampirem na wskroś. W jednej chwili mógł się do ciebie uśmiechać, a w następnej rozerwać ci gardło i nie widzieć w tym żadnej sprzeczności.

Ale Shane miał rację. Tylko Oliver stał między nimi a normalnym życiem gdzieś w świecie, poza Morganville.

Poza ludźmi, których tam zostawili.

Spojrzała ponownie na Eve otoczoną dziećmi i na Michaela, który obserwował swoją dziewczynę z bólem i tęsknotą malującymi się na jego twarzy.

I nagle jedna myśl zakołatała jej w głowie.

- Michael! - krzyknęła. - Bez względu na to, co Oliver zechce z nami zrobić, nie może zostawić Michaela na

śmierć. Nie może. Amelie by go zabiła.

Co do tego nie było wątpliwości.

Amelie naprawdę kochała Sama, dziadka Michaela, a kiedy zamieniła Michaela w wampira, uznała go za rodzinę, swoją rodzinę. Jeśli Oliver postanowił pozostawić ich i mieszkańców Blacke na pastwę losu, na pożarcie wygłodniałym wilkom, musiał wymyślić, jak jednocześnie uratować Michaela, i to w taki sposób, by nie dowiedział się, co stało się z jego przyjaciółmi.

Michael usłyszał, jak Claire wypowiada jego imię i spojrzał na nią. Shane skinął na niego palcem. Michael odpowiedział kiwnięciem głowy i podszedł.

Zanim do nich doszedł, rozejrzał się wokół i zapytał:

- Gdzie oni są?

- Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedział - odparł

Shane. - Skoro to twoi zębaci kumple. Nie macie jakiegoś instynktu stadnego?

- A ugryź się, przekąsko. Nie, nic mi nie powiedzieli. -

138

Michael zmarszczył brwi. - Zostańcie tu. Sprawdzę resztę budynku i zaraz wracam.

Bezgłośnie się oddalił. Claire przeszedł dreszcz i przytuliła się do silnego i ciepłego

Shane'a. Objął ją i delikatnie pocałował w kark.

- Jak to możliwe, że pachniesz tak dobrze po całym tym okropnym dniu?

- Jak wszystkie dziewczyny pocę się perfumami.

Zaśmiał się i przytulił ją jeszcze mocniej. On też dobrze pachniał, jakoś bardziej męsko, troszkę niechlujnie, groźnie, z odrobiną potu. I chociaż uwielbiała mydło, wodę i szampon, czasami tak było lepiej.

Michael wrócił po kilku minutach. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Znalazłem Patience. Wraz z Jacobem pilnują drzwi od zewnątrz. Oliver wyszedł na patrol.

- A pozostali? - zapytała Claire.

- Morley zwołał wszystkich, aby dopaść wroga.

Powiedział, że nie będzie czekał, aż tu po nas przyjdą.

A przynajmniej powiedział, że tak robi. Patience stwierdziła, że równie dobrze mógł wybrać się na poszukiwanie innej ciężarówki albo autobusu, aby wywieźć swoich z miasta.

- A Oliver o tym wiedział?

Michael pokręcił głową.

- Nie miał o tym pojęcia, no chyba że zobaczył ich

gdzieś na zewnątrz. Ale nie wiem, jak mógłby ich sam jeden zatrzymać.

Claire też nie wiedziała, ale przecież to był Oliver. Coś wymyśli i pewnie nie będzie to zbyt mile.

- Ile czasu zostało do wschodu?

- Kilka godzin. - Michael spojrział na Eve, która skończyła czytać i zaczęła przytulać dzieci na dobranoc. - Pani

Grant powiedziała, że one zawsze przychodzą nocą. A to oznacza, że niedługo tu będą, jeśli wampiry Morleya jakoś ich jeszcze nie spacyfikowały. Lepiej bądźmy gotowi.

Dopóki mieli wampiry po swojej stronie, Claire nie niepokoila się specjalnie, ale teraz wezbrał w niej strach. Michael i Shane też się bali.

- No to się przyszykujmy - odparł Shane. - Dziś w nocy nikt nie zostanie pogryziony. Nowa zasada.

Przybili sobie z Michaeliem piątki, po czym poszli po broń.

Claire podeszła do Eve i poinformowała ją o zaistniałej sytuacji, następnie obie dołączyły do chłopaków. Pani Grant, choć przysnęła w fotelu, ze strzelbą na kolanach, obudziła się, gdy tylko usłyszała, że czwórka przyjaciół grzebie wśród broni. Claire była pod wrażeniem - jak na starszą osobę, bibliotekarka obudziła się

139

nadzwyczaj szybko i od razu była w pełnej gotowości. Rozejrzała się dookoła i gdy przekonała się, że nic jej nie zagraża, spojrziała na nich i zapytała:

- Nadchodzą?

- Pewnie tak - odpowiedział Michael i podniósł kilka drewnianych kołków, zostawiając posrebrzane mieszkańcom miasteczka. Wziął też kuszę i dodatkowe bełty. - Pomożemy patrolować. Wygląda na to, że mamy trochę za mało strażników.

- Ale Morley... - Pani Grant zacisnęła usta w ponurym grymasie. Nie trzeba było jej już niczego wyjaśniać. - No jasne. Nie miałam wątpliwości, że zada nam cios w plecy.

- Nie twierdzę, że to zrobił. Mówię tylko, że go tu nie

ma. W związku z tym musimy się upewnić, że jeśli coś pójdzie nie tak...

Pani Grant podniosła się z krzesła, skrzywiła i rozmasowała bolący ją krzyż.

Wyglądała na zmęczoną, ale też skupioną.

- Obudzę moich ludzi. Powinnam była wiedzieć, że nie mamy szans na spokojną noc. A liczyłam na cud.

- Jak długo już to robicie? - zapytała Claire. - Walczycie z nimi?

- To nie stało się od razu - zaczęła opowiadać bibliotekarka. - Najpierw myśleliśmy, że ludzie, których nie mogliśmy znaleźć, po prostu zachorowali i znajdują się w szpitalu. A te bestie od samego początku były sprytnie: dobrze się ukrywały i na swe ofiary wybierały mniej rozgarniętych ludzi. Zupełnie jak wilki, które rzucają się na słabszą sztukę.

Zanim się zorientowaliśmy, dopadli nas całą gromadą i wyeliminowali prawie wszystkich, którzy potrafili coś przeciwko nim zorganizować. Ukrywamy się w bibliotece już prawie trzy tygodnie. - Prawie się uśmiechnęła, ale w rzeczywistości było to tylko ironiczne skrzywienie warg. - Wydaje mi się, że dłużej. Już prawie nie pamiętam, jak było kiedyś. I pomyśleć, że Blacke było spokojnym miasteczkiem, gdzie nic się nie działo. A teraz...

- Może uda nam się przywrócić ten spokój - pocieszała Claire.

Pani Grant długo nie spuszczała z Clair wzroku.

- Ty i twoi przyjaciele?

- Hej - odezwał się Shane, zatraskując strzelbę machnięciem nadgarstka. - My tylko staramy się pomóc.

- I pozostać przy życiu - dodała Eve. - Ale proszę mi wierzyć, byliśmy już w gorszych tarapatach.

Claire uniosła brwi, patrząc na przyjaciółkę. Eve zastanowiła się jeszcze chwilę, po czym dodała:

- No, może jest naprawdę ciężko, ale ta sytuacja nie kwalifikuje się do Księgi rekordów Guinnessa w dziedzinie okropności.

140

Pani Grant przyjrzała się im wszystkim po kolei, odwróciła się i poszła obudzić swoich ludzi.

- A tak serio - odezwał się Shane. - To jest najgorsza sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, prawda?

- Mów za siebie - odpowiedział Michael. - Ja na przykład zostałem w zeszłym roku zabity. I to dwa razy.

- No tak. Racja. Rzeczywiście miałeś parszywy rok.

- Chłopy! - przerwała Eve, nim Michael zdążył wygłosić jakąś uszczypliwą uwagę. - Skupcie się. Nadciąga groźny atak wampirów. Jaki mamy plan?

Michael pocałował ją delikatnie w usta, a oczy zaświeciły mu wampirzym blaskiem: - Nie przegrać.

- Proste, ale skuteczne. Podoba mi się. - Shane wyciągnął pięść, a Michael przybił mu piątkę.

- Nigdy więcej z żadnym z was nie wybiorę się na wycieczkę - stwierdziła Eve. - Przenigdy.

- Świetnie - odparł Shane. - W takim razie następnym razem pójdziemy do baru ze striptizem.

- Shane, ja mam broń - zagroziła Eve.

- Co? Myślisz, że twoją załadowałem ostrą amunicją?

Eve trzepnęła go w ramię, a Claire wybuchnęła śmiechem.

Nawet teraz, gdy ważyły się ich losy, przez krótką chwilę wszystko wydawało się normalne. Jakby na przekór.

Minęła kolejna godzina i nic się nie wydarzyło. Eve, zaniepokojona nieobecnością Jasona, poszła się rozejrzeć. Claire zaczęła mieć nadzieję, że jednak tej nocy nic się nie wydarzy w bibliotece. Mijały kolejne minuty, noc była spokojna, a po ulicach hulał tylko wiatr.

I wtedy zaskrzeczała krótkofalówka, którą dostała od pani Grant, przygotowując ją o atak serca. Claire pomyślała, że to pewnie Shane. Postanowił przejść na drugą stronę budynku, tłumacząc, że za bardzo go rozpraszała (to sprawiło jej nawet przyjemność).

Nie był to jednak Shane.

To była Eve. Z trudem łapała oddech i zdawała się zaniepokojona.

- Musisz to zobaczyć.

- Jestem tutaj - odpowiedziała Claire. - Uważaj na siebie.

Niecałą minutę później dotarła do niej Eve. Trzymała w ręku komórkę, którą Oliver wsunął jej do kieszeni, gdy jechali autokarem. To był jedyny telefon, jaki mieli. Pozostałe pewnie nadal leżały w szufladzie w komisariacie Durrum.

Na ekranie komórki był esemes o treści:

„Ranny. Przyrowadź pomoc., warsztat”.

I tyle. Tylko cztery słowa.

To była wiadomość od Olivera. Eve odbierała czasami telefony od Olivera, ale jeszcze nigdy esemesa.

141

- Oliver wysłał mi esemes. Ale serio. Napisał esemes.

To dziwne, nie sądzisz? Kto by pomyślał, że umie...

- Pani Grant powiedziała, że telefony tu nie działają?

- Nie, powiedziała, że im wysiadły. A ten działa. No, przynajmniej trochę.

- Michael! - zawołała Claire. Wampir zeskoczył z regału stojącego przy oknie i wylądował obok niej. Nie widziała, jak się zbliżał i z wrażenia prawie upuściła telefon. - Hej! Tak się nie robi! Potworze!

- Następnym razem zagwizdę. Co jest?

Pokazała mu telefon. I rzeczywiście zagwizdał, cicho i przeciągle.

- A co, jeśli to nie od niego? - zapytała Claire. - Co, jeśli to... no, nie wiem, oni? Złapali go i używają jego telefonu, żeby nas zwabić?

- Jakoś nie wydają mi się specjalnie bystrzy, żeby uknuć taki plan, ale masz rację. To może być pułapka. - Zmarszczył brwi. - Ale jeśli Oliver wzywa pomocy, to gorzej już być nie może.

- Wiem. - Claire zabrakło tchu. - Co robimy? On pewnie myśli, że Morley tu jest.

- No, ale go tu nie ma. - Michael rozejrzał się po bibliotece. Zatrzymał wzrok na śpiących na łóżkach polowych dzieciach. - Nie chcę ich zostawiać, ale nie możemy tego po prostu zignorować. Nie, jeśli on naprawdę ma kłopoty.

Przynajmniej niedługo będzie świtać. To plus dla tych ludzi, ale nie dla Olivera.

Odnaleźli panią Grant, która ich wysłuchiwała, przeczytała esemes i wzruszyła ramionami.

- Chcecie iść, to idźcie - odparła. - Dawaliśmy sobie radę, nim ktokolwiek z was tu przybył. Damy sobie też radę, gdy was nie będzie. To nasze miasto i to my zostaniemy tu do końca. Możecie być tego pewni.

- Tak, proszę pani - odezwała się cicho Claire. - Ale... dzieci...

Pani Grant uśmiechnęła się ponuro.

- A myślicie, że dlaczego walczymy? Dla zabytków?

Będziemy walczyć do upadłego dla naszych dzieci. Każdy z nas, bez wyjątku. O to się nie martwicie. A jeśli uważacie,

że przyjaciel was potrzebuje, idźcie. Weźcie broń. Tego mamy pod dostatkiem. Blacke było kiedyś dużym ośrodkiem myśliwskim. - Pani Grant zamilkła i spojrzała na Claire. - A właściwie, poczekaj

chwilę. Mam coś dla ciebie.

142

Zacząła szperać w szafie i wyjęła coś dużego, nieporęcznego i bardzo skomplikowanego, ale kiedy tylko Claire wzięła to coś do ręki, uświadomiła sobie,

że tak naprawdę ma do czynienia z bardzo prostym urządzeniem.

To był łuk. Jeden z tych z kółeczkami i bloczkami. Łuk bloczkowy?

Pani Grant znalazła także kołczan wypełniony strzałami.

- Nie umiem z niego strzelać - zaprotestowała Claire.

- To się nauczysz.

- Ale...

- Jak nie chcesz, to oddaj.

- Nie. - Zrobiło jej się głupio. - Przepraszam. Spróbuję.

Pani Grant nagle uśmiechnęła się szeroko i zmierzwiła

Claire włosy, jak to się robi małym dzieciom. - Wiem. Masz dar, wiesz? I determinację. Podoba mi się to.

Claire skinęła tylko głową, nie wiedząc zupełnie, co na to odpowiedzieć. Złapała łuk w jedną rękę, a kołczan w drugą, i spojrzała na Michaela.

- No to chyba możemy...

- Ratować Olivera - dokończył bez mrugnięcia okiem. -

Może lepiej najpierw spróbuj z tego postrzelać.

Michael, Shane i Eve rozważali, na co muszą uważać, idąc po Olivera, który, według mapy i informacji pani Grant, był w starym ceglany budynku nieopodal merostwa, zwanym Warsztatem Halleya. Claire natomiast powiesiła na oparciach kilku krzeseł narysowane odręcznie tarcze. Wyciągnęła z kołczanu strzałę i zaczęła się zastanawiać, jak ją szybko założyć na cięciwę. Nie poszło jej najlepiej, więc spróbowała ponownie, tym razem wolniej, po czym naciągnęła cięciwę i spojrzała wzdłuż długiego, prostego drzewca.

Naciągnięcie cięciwy było zaskakująco trudne, podobnie jak utrzymanie strzały w miejscu i niemachanie nią na wszystkie strony. Za pierwszym razem nie trafiła nawet w krzesło i skrzywiła się, gdy strzała uderzyła w ścianę, cztery metry od celu. Ale przynajmniej udało jej się wystrzelić. Zawsze to coś, prawda?

Wzięła drugą strzałę i jeszcze raz.

Po jakiś dwudziestu próbach udało jej się wreszcie trafić w krzesło. Wprawdzie nie w tarczę, ale przynajmniej zaczęła wreszcie rozumieć, jak działa łuk. Było jej łatwiej, gdy myślała o nim w kategoriach praw fizyki - o potencjalnej i kinetycznej energii i przyspieszeniu.

Kiedy skupiała się na obliczeniach, przestała myśleć

o wszystkim, co ją do tej pory rozpraszało - utrzymywaniu

łuku, celowaniu, obawie, że nie zrobi tego tak jak należy -

1 nagle po prostu załapała. Wszystko nagle stało się jasne,

skupiła się i wypuściła strzałę.

Wiedziała, że trafi. Opuściła łuk na dół, obserwując uważnie strzałę, która trafiła dokładnie w środek narysowanej tarczy.

Fizyka.

Kochała fizykę.

143

Shane podbiegł akurat w tym momencie. Przystanął, gapiąc się to na tarczę, to na

Claire, wyprostowaną, z łukiem trzymanym luźno w dłoni, gotową do oddania kolejnego strzału.

- Wyglądasz niesamowicie podniecająco w tej chwili.

Uśmiechnęła się do niego szeroko i poszła pozbierać strzały. Kilka ucierpiało w kontakcie ze ścianą, ale pozostałe nadawały się do kolejnego użycia. Włożyła je starannie do kołczanu.

- Lubisz mnie tylko dlatego, że tym razem mogę się okazać przydatna.

- Zawsze jesteś przydatna. I podniecająca. Mówiłem to już, prawda?

- Jesteś szurnięty. Potrzebujesz prysznic, czystych ubrań i jakiś rok snu.

- A myślałem, że taki wymęczony jestem pociągający.

- Pozwól, że zamienię się na chwilę w Eve - powiedziała i trzepnęła go w ramię. Zaśmiał się i ją pocałował.

- Do pięt jej nie dorastasz. Chodź, musimy uratować pewnego wampira zgrede.

Rozdział 13

Na zewnątrz było wciąż ciemno, ale w powietrzu czuło się... że niedługo coś się zmieni. Jakby świat wciąż jeszcze śnił, ale śnił o tym, że się zbudzi. Powietrze było

świeże i chłodne, a ciemność już odrobinę się rozjaśniała.

- Już niedługo świt - powiedział Michael. - To dobra i zła wiadomość.

- Dla nas dobra - odparł Shane. - No, nie licząc naszego towarzystwa.

- Nie ma jak przyjaciel.

- Jeśli zaczniesz płonąć, to wturlam cię w cień. Ale nie licz na więcej, jeśli chodzi o ratowanie twojego zadka.

Przez kilka chwil stali przed budynkiem i rozglądali się po okolicy. Pani Grant dała im mocne latarki diodowe, ale jakoś ich światło nie sięgało zbyt daleko w mrok. Claire pomyślała, że trzy metry dalej w ciemnościach może się czaić wszystko. I pewnie tak było.

Michael wyłączył latarkę i po prostu... zniknął. Według planu miał wyjść poza obręb światła i obejrzeć się, czy nic im nie grozi. Takie skrzyżowanie zwiadowcy z przynętą. Chwilę później włączyła się krótkofalówka Claire - nie padły żadne słowa, tylko cichy sygnał elektroniczny.

- Ruszamy! - rzuciła. - Droga wolna.

Biegli, starając się patrzeć pod nogi w zdradliwym, ostrym świetle latarek. Blacke przypominało senny koszmar albo hollywoodzką dekorację do filmu

144

katastroficznego - zniszczone budynki, porzucone samochody, pozamykane i ciemne budynki, wybite szyby w oknach. Nad wszystkim górowało wielkie gotyckie merostwo. Pomnik Hiram... jak mu tam... leżał w wysokiej trawie; Claire pomyślała, że właściwie to chyba najlepsze dla niego miejsce. Przynajmniej nie pochylał się niebezpiecznie i nie groził, że zwali się na ludzi. Szczególnie na nią, bo to byłaby najgorsza śmierć kwalifikująca do nagrody Darwina.

Dotarli do chodnika przy merostwie.

- Tędy - wskazał Shane. - Powinien być na tamtym rogu, naprzeciwko merostwa. Michael nagle wyłonił się z cienia.

- Nadchodzą. Za nami i na lewo. Z tyłu merostwa.

- Uciekać! - krzyknął Shane i ruszyli. Światła lata-

rek migotały, odbijając się od potłuczonego szkła i metalu. Metalowy płot wokół merostwa był powyginany i Shane musiał co chwilę robić uniki, aby nie nadziać się na ostre, pokryte rdzą ozdobne ornamenty ogrodzenia sterczące na

wysokości jego twarzy. Claire potknęła się o jeden z metalowych prętów, który odpadł od ogrodzenia. Kopnęła go na bok, ale po chwili go podniosła.

- Nie zatrzymuj się - syknęła Eve i pociągnęła ją.

Metalowy pręt z ostrym zakończeniem w kształcie grotu strzały był ciężki, ale według Claire mógł się nadać jako włócznia. Claire udało się go przez chwilę trzymać w ręce, ale na następnym krawężniku znów się potknęła. Latarka

wypadła jej z ręki i rozbiła się na ziemi. Błysnęła jeszcze mocniejszym światłem i zgasła.

Nagle pojawił się przy niej Michael, podał jej swoją latarkę i wziął od niej pręt.

- Biegnij dalej! - krzyknął i odwrócił się, aby pilnować

tyłów. Eve spojrzała za siebie. W świetle białych diod jej

twarz była niezwykle blada, a ciemne oczy wielkie i prze-

rażone.

- Michael?

- Nie zatrzymuj się!

Został jakieś trzy czy cztery kroki za nimi i zniknął w ciemnościach. Claire usłyszała jakby warknięcie i coś jakby uderzenie ciała o ziemię.

A potem krzyk, wysoki i dziki.

Przed sobą w blasku latarki ujrzała fragment czegoś w kolorze wyblakłego różu. Był to pochylony, poruszający się ze zgrzytem drogowoskaz. Claire nie była pewna, ale wydawało jej się, że rdzawe litery układają się w słowo „warsztat”.

Kilka metrów dalej ujrzała budynek z surowej cegły, przed którym stało kilka starego typu dystrybutorów paliwa. Wyglądały, jakby nie działały od czasów dzieciństwa matki Claire. Szyby w oknach budynku były wybite, ale okna zasłonięte tak dokładnie, że nie dało się zajrzeć do środka.

Shane dobiegł do drzwi budynku - były podrapane i wypłowiałe, z metalowymi zawiasami - i zaczął w nie walić pięściami.

- Oliver! - krzyknął. - Kawaleria!

145

Zabawne, Claire nie czuła się specjalnie jak kawaleria. Że niby przy galopowali, strzelając z pistoletów, aby ratować sytuację, tak? Czuła się raczej jak ścigany królik. Serce jej waliło i mimo chłodu pocila się i trzęsła. A jeśli to pułapka?

Drzwi otworzyły się i z ciemności wysunęła się czyjaś ręka, która złapała Shane'a za koszulę i wciągnęła do środka.

- Nie! - Claire, widząc Shane'a wciągane go do środka, rzuciła się do przodu, unosząc wysoko latarkę. Nie mając czasu ani miejsca by naciągnąć łuk, rzuciła go na bok, wyciągnęła z kołczanu strzałę i zamachnęła się na wampira, który odciągał gdzieś Shane'a.

Oliver się odwrócił, warknął i wytrącił strzałę z ręki Claire, uderzając tak mocno, że aż jej dłoń zdrętwiała. Złapała powietrze i cofnęła się, bo Oliver... wyglądał przerażająco. Był brudny, w podartym ubraniu, a ramię i przód koszuli miał we krwi. Na jego gardle była widoczna świeża rana, która powoli zaczynała się goić.

Claire uświadomiła sobie, że to jego krew. Coś... ktoś... go ugryzł. I prawie zabił.

- Do środka! - rzucił, gdy Eve podeszła do drzwi i zajrzała do środka. - Michael? Michael złapał upuszczony przez Claire łuk i wepchnął Eve do środka, zatraskując za sobą drzwi. Zamknął duże, staroświeckie metalowe zasuwki i rzucił Claire łuk. Oliver wskazał na grubą deskę, którą Michael wsunął w uchwyty po obu stronach drzwi.

W tym samym momencie coś uderzyło w drzwi tak mocno, że metalowe bolce wygięły się, a deska pękła.

Na zewnątrz coś jęknęło i zaczęło drapać drzwi szponami.

Michaelowi nic się nie stało. A przynajmniej Claire niczego nie dostrzegła. Objął Eve i oboje podeszli do Claire, która stała przy Oliverze.

A Oliver wciąż trzymał Shane'a za koszulę, zaciskając pięść.

- Hej - odezwał się w końcu Shane. - Puszczaj! Ale już!

Oliver chyba w ogóle zapomniał, że trzyma Shane'a, ale gdy tylko odwrócił się w jego stronę, jego oczy przybrały ciemnoczerwoną barwę i rozbłysły, gdy Shane zaczął się szarpać.

- Przestań - powiedziała cicho Claire. - Stracił dużo krwi, nie jest sobą. Nie ruszaj się Shane.

Shane wziął głęboki wdech i spróbował się opanować, ale Claire widziała, ile go to kosztuje. Chciał walczyć, wyrwać się, uciec od tego głodu błyszczącego w oczach Olivera.

Ale tego nie zrobił. A Oliver po kilku trwających w nieskończoność sekundach puścił go i się odsunął, gwałtownie się odwrócił i uciekł.

Shane spojrzał na Claire. Przez moment widziała w jego oczach prawdziwy strach.

Ale po chwili uśmiechnął się i gestem palca wskazującego zbliżonego do kciuka pokazał odległość dwóch centymetrów.

- Było blisko.

- Może nie jesteś w jego typie - zasugerował żartobliwie Michael.

- Och, doszło do tego, że ot tak mnie obrażasz? -

146

Shane mocno ścisnął dłoń Claire. Nie miał nic przeciwko temu, żeby Claire poczuła, jakie emocje wciąż nim targają, ale nie chciał, aby Michael to zauważył. - To co tu się, do licha, dzieje?

Z ciemności zaczęły wyłaniać się niewyraźne kształty. Claire i Shane szybko stanęli plecami do siebie. To samo uczynili Eve i Michael. We czwórkę mogli się bronić z każdej strony.

- Czajenie się to żadna odpowiedź - powiedział

Shane. - Oliver? Pomożesz?

W odpowiedzi z cienia wyszedł Morley. Claire poczuła ulgę i zarazem wściekłość.

Oczywiście, że to był Morley. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Przecież był mistrzem czajenia się.

- Co przynieśliście? - warknął Morley.

- Nasz urok osobisty. Wystarczy? - zaczepnie odpowiedziała Eve. - Czego potrzebujesz? I co tu robisz?

- Pomogli nam - odezwał się ktoś z ciemności. Eve włączyła latarkę. Zimne światło rozjaśniło ciemności na tyle, aby mogli dostrzec ludzi leżących na brudnej podłodze warsztatu. No, ludzie to nie byli, Claire natychmiast się zorientowała, że to wampiry. Ich oczy odbijały światło.

Nie знаła ich. I w końcu zrozumiała dlaczego.

To były wampiry z Blacke. Te chore. Było ich tu co najmniej dziesięć, a do tego z dziesięć czy piętnaście wampirów Morleya, wszyscy ściśnięci w małym budynku.

- Łapaliśmy jednego po drugim - oznajmił Morley. - I to już od wielu godzin.

Niektórzy byli potwornie uciążliwi w transporcie, a co dopiero przy podawaniu leku.

Ale najwyraźniej twoja magiczna mikstura działa, mała Claire. Kiedy udaje nam się wcisnąć im trochę kryształków, stają się na tyle uspokojeni i rozsądni, by zażyć lekarstwo.

Claire była w szoku. Widząc, jak daleko zaszły sprawy w Blacke, nie sądziła, że uda się im kogokolwiek uratować, ale oni żyli, leżeli wycieńczeni na podłodze, drżący i zdezorientowani. W odróżnieniu od wampirów, którymi Claire zajmowała się w Morganville, te były „młode”, jak Michael. Po pierwsze zamieniono ich w wampiry wbrew ich woli, a do tego od razu zarażono. Z jakiegoś powodu łatwiej popadli w szaleństwo niż Michael. Może fakt, że Michael pochodził z Morganville, sprawił, że jest uodporniony. Ci z Blacke chorowali szybciej i dużo ciężiej niż wampiry, które znała.

A w konsekwencji, dużo wolniej zdrowieli. Myrnn, Amelie i Oliver szybko doszli do siebie, kiedy dostali lekarstwo (po tym jak Bishop przestał już zagrażać). Ale oni byli znacznie starsi i już pogodzili się ze swoim wampirzym losem.

Claire skupiła się na chłopcu mniej więcej w tym samym wieku, co ona. Wyglądał na przerażonego, załamane i bardzo samotnego. Czuł się winny, jakby nie mógł zapomnieć minionego tygodnia i tego, co wtedy robił.

- Dochodzą do siebie - mówił dalej Morley. - Ale im

147

więcej ich tu mamy, tym mniej jesteśmy bezpieczni. Nie mogą jeszcze wstać i walczyć. A ci na zewnątrz już nas na-

mierzyl. Oliver zrobił świetną robotę, ale jestem pewny, że tamci już do nas zmierzają.

- Hm, obawiam się, że mogliśmy ich na was naprowadzić - przyznała Eve. - Przepraszam. W wiadomości nie było nic o tym, że mamy się skradać.

- Myślałem, że to oczywiste - warknął Oliver. •

Powinienem był wiedzieć, że nie dla ciebie.

- A gdzie, u licha, jest mój brat, draniu? - Eve była rozdrażniona.

- Ma rozkazy - odpowiedział Oliver. - Więcej nie musisz wiedzieć.

- Dzieci, dzieci, złość nam nie pomoże - odezwał się

ojcowskim tonem Morley. - Na wolności zostało ich jakieś piętnaście sztuk i, niestety, nie mamy już wiele leku. Tych, których nie wyleczymy, musimy uwięzić do czasu, aż z Morganville dotrze więcej leku.

To zabawne, Claire nigdy nie myślała, że Morley jest zdolny do humanitarnych gestów... wampirytarnych. No, w każdym razie nie sądziła, że potrafi przedkładać potrzeby innych nad swoje. Ale najwyraźniej wyjazd z Morganville i ucieczka od Amelie wywołały w nim pozytywną zmianę. Wyglądało na to, że prawie mu zależy.

Prawie.

- Uwięzić, nie zabić - podkreślił Oliver i znów do nich podszedł. Jego oczy przybrały zwykłą ciemną barwę, ale jego gwałtowne ruchy i napięte mięśnie sugerowały, że jest zmęczony i głodny. - A niby jak mam, twoim zdaniem, to zrobić, Morley? Wystarczająco trudno było łapać pojedyncze jednostki i je pacyfikować. Zaraz będzie świt, a jakbyś nie zauważył, straciłeś też kilku popleczników. Morley wzruszył ramionami.

- Niektórzy zostali przy bibliotece. Inni chcieli odejść.

Pozwoliłem im. Głównym celem tej akcji było uzyskanie wolności, Oliver. Nawet jeśli kompletnie nie rozumiesz idei wolności...

- Wolność? - Oliver parsknął śmiechem. - To, czego pragniesz, to anarchia. Zawsze tego chciałeś, nie próbuj...

- Hej! - Claire odsunęła się od Shane'a i stanęła naprzeciwko wampirów. - Filozofować będziecie później. Skupcie

się! Co zrobimy, jeśli zaatakują? Damy radę ich odeprzeć?

- To najłatwiejsza do obrony budowla w mieście, zaraz po bibliotece - odezwał się Morley, skupiając się na bieżących sprawach. - Damy radę się tu utrzymać, nawet przeciwko miejscowym zawadiakom...

- Widzę już jakieś ale - stwierdził Shane.

- Ale... Nie udało nam się zabrać ze sobą zbyt wiele zapasów. Właściwie większość naszych zapasów znalazła się między zębami „kolegów” zza ściany. A ci, którzy dostali lek, będą musieli coś zjeść. I to szybko.

Nastała grobowa cisza. Oliver nic nie powiedział, spuścił tylko ponuro wzrok.

- Chwila - powiedziała wolno Eve. - Co chcesz przez to powiedzieć?

148

Znów cisza. Claire poczuła, jak zimna kropla potu spływa jej wzdłuż kręgosłupa.

- Chce powiedzieć, że właśnie zostaliśmy wybrani na dawców krwi.

- Nie mówisz poważnie - odezwał się Shane. - Nie będziecie nas podjadać. - Oczywiście nie wszystkich. - uspokoił Morley. -

Claire jest z tego wyłączona. To zabawka Amelie. Za nic bym jej nie skrzywdził. Michael, oczywiście, też nie nadaje

się dla nas do spożycia. Ale ty i twoja lubiąca umarlaków

przyjaciółka...

- Nie! - gwałtownie zareagowała Claire. - Nie ma mowy. Odsuń się.

- Moja droga, naprawdę myślisz, że dam wam jakiś wybór? Ja wam tylko grzecznie wyjaśniam. Możecie potraktować to jako formę przeprosin. Oliver nie wysłał wam żadnej wiadomości. Przytrzymałem go, zabrałem mu to urządzenie

i sam go użyłem. A jak sądzicie, dlaczego tak źle wygląda?

Claire dziwiła się samej sobie, że nadal zachowuje spokój. Jest taka opanowana. - Więc mówisz mi, że wypijesz całą krew z Eve

i Shane'a.

- W ostateczności mogę ich zamienić w wampiry, jeśli nie możesz znieść

myśli o ich utracie. Stałem się szalenie postępowy. I w ten sposób będziesz jedyną oddychającą w tej paczce, Claire. Jak sądzisz, jak długo wytrzymasz?

Szczególnie gdy twój ukochany będzie cię zapewniać

o swojej dozgonnej miłości? - Morley zatrzepotał rękami

jak postać z kreskówki i położył dłonie na sercu. - Na twoim miejscu przyłączyłbym się do reszty. Pozostanie człowiekiem w tej sytuacji nie jest za mądre.

- Tak? A to? - Claire jednym płynnym ruchem wyciągnęła z kołczanu zawieszonym na ramieniu strzałę, założyła na cięciwę, którą maksymalnie naciągnęła. Celowała w złożone dłonie Morleya, prosto w serce.

Zaśmiał się.

- Bądź poważna...

Wystrzeliła.

Strzała przeszła przez obie ręce Morleya, przyszpilając je do klatki piersiowej. Spojrzał zszokowany na przebijające go drewno, potknął się i upadł na kolana.

Padł twarzą do podłogi. Strzała przeszła przez plecy.

- Ależ owszem-wyszeptała Claire. Sięgnęła po kolejną strzałę. - Nie jestem zbyt wprawnym strzelcem, ale to naprawdę niewielkie pomieszczenie, więc niech będzie jasne: pierwszy wampir, który spróbuje położyć łapy na którymś z moich przyjaciół, skończy ze strzałą w sercu. Jeśli musicie się posilić, to coś wymyślę. Ale nie wolno wam traktować moich przyjaciół jak przekąski. Jasne?

Wampiry zaczęły kiwać głowami, rzucając zdziwione spojrzenia na Morleya. Nawet Oliver patrzył na nią tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

A może ona rzeczywiście się zmieniła?

- Shane? Użyj telefonu Eve. Zadzwoń do pani Grant do biblioteki. Musimy coś zorganizować.

- Co?
- Dostawę krwi.
- Czekał...

- Shane. - Claire przechyliła głowę i na niego spojrzała.

Nie uśmiechała się. - Zrobią to. To ich rodziny i przyjaciele.

Zrobią to, aby ich ratować. Ja bym to zrobiła, aby ratować ciebie.

Dotknął delikatnie jej policzka.

- Myślę, że ty byś zrobiła. Szalona dziewczyna.
- Zapytaj Morleya, jak szalona - odparła. - Ale zaraz...

Najpierw będziesz musiał wyciągnąć z niego strzałę.

- Może później. Z twarzą przy ziemi bardzo mi się podoba. - Shane posłał jej uśmiech, po czym odwrócił się, aby zadzwonić.

Michael pokręcił głową. Claire spojrzała na niego nerwowo, nie zmniejszając napięcia łuku.

- Co?

Zaśmiał się.

- Rany, Claire. Gdybym cię nie kochał, to bym się bał.

- Ja jej nie kocham - odezwał się lodowato Oliver. - I jeśli skierujesz tę strzałę w moją stronę, to bez względu na to, czy jesteś ulubienicą Amelie, czy nie, to sprawię, że z bliska ujrzysz grot strzały. Rozumiesz, dziewczyno?

- Tak. - Powiedziała, kierując strzałę w inną stronę. -

Morley skopał ci tyłek, a teraz mi grozisz, bo rozwiązałam za ciebie problem. Myślę, że doskonale rozumiem. Ale nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Na moment zapadła kompletna cisza.

A potem Oliver zaczął się śmiać.

Nie był to gorzki, wściekły, upiorny śmiech, jakiego się spodziewała. Oliver brzmiał wręcz ludzko. Oparł się o ścianę i wciąż się zaśmiewając, ukucnął i położył ręce na kolanach. Brzmiało to tak, jakby od bardzo dawna nie śmiał się ani tak dużo, ani tak zdrowo. To było niepokojąco zaraźliwe. Eve parskała co chwilę śmiechem, starając się go pohamować. Michael zaczął się śmiać, widząc, jak jego dziewczyna próbuje się opanować. Claire z trudem utrzymywała łuk w gotowości.

- Spocznij - wydał rozkaz Michael i dotknął jej ramienia, które drżało z wysiłku. - Dopięłaś swego. Nikt nas nie zaatakuję. Nie tutaj.

Westchnęła i w końcu opuściła łuk. Bolały ją ramiona, a ręce paliły żywym ogniem. Wcześniej w ogóle nie czuła tego wysiłku.

- Claire - odezwał się Oliver. Spojrzała na niego czujnie, zastanawiając się, czy

wystarczy jej sił, aby znów naciągnąć cięciwę łuku. Na twarzy wampira widniał uśmiech, który nadał ostrym rysom jego twarzy łagodny wyraz, do którego zupełnie nie była przyzwyczajona, a w oczach miał prawdziwe ciepło. - Jaka szkoda, że nie jesteś wampirem.

150

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-ePub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>

- Podejrzewam, że to był komplement. Więc dzięki, ale nie, dziękuję. Wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie chce wracać do tematu. Natomiast Claire przez moment poczuła pokusę: te wszystkie lata, te wszystkie rzeczy, których można się nauczyć, poczuć, poznać... Myrnnin żył dla wiedzy. Wiedziała o tym. I właściwie jedynym, co ich różniło, było to, że on mógł się uczyć wiecznie.

Ale mimo wizji nieśmiertelności i faktu, że знаła kilka wampirów, których nawet nie nienawidziła (w tym momencie zaliczał się do nich również Oliver) Claire wiedziała, że jej przeznaczeniem jest pozostać człowiekiem. Zwykłą

Claire.

I to było naprawdę w porządku.

Jakby na potwierdzenie słuszności jej przemyśleń Shane objął ją w talii i pocałował w policzek:

- Jesteś świetna, wiesz?

- Taa, wręcz doskonała. Co powiedziała pani Grant?

- Powiedziała, że zorganizują punkt krwiodawstwa i dostarczą krew w butelkach. Ale nie zaryzykuje życia swoich ludzi. Ktoś musi pójść po krew.

- Wierzy nam?

- Pragnie wierzyć. Są tu gdzieś jej mąż i syn.

I to dlatego, pomyślała Claire, Morley miał rację, nawet jeśli podszedł do sprawy kompletnie po wampirzemu. Trzeba ratować to, co się da.

Claire uświadomiła sobie, że Amelie wiedziała to przez cały czas. Dlatego właśnie istniało Morganville. Bo trzeba było próbować.

Oliver osobiście odebrał krew. Może uczynił to w ramach przeprosin za narażenie Eve i Shane'a na niebezpieczeństwo, ale oczywiście nie przyznał się do tego. Podczas gdy wampiry dostawały posiłek - na początek po jednej małej plastikowej szklaneczce - Claire przyklękła przy ciele Morleya, przekreśliła go na bok i złamała strzałę tuż poniżej grotu, a następnie jednym szarpnięciem wyciągnęła pozostałą część strzały i odrzuciła na bok.

Morley nabrał głęboko powietrza i wrzasnął z wściekłości. Uniósł dłonie i wpatrywał się w dziury po strzale, dopóki ciało i kości nie zaczęły się regenerować. Przekreślił się na plecy, wpatrzył w przestrzeń i powiedział:

- Zamierzałem powiedzieć, że nie jesteś zabójcą. I nadal obstaję przy tym stwierdzeniu, bo jak widać nie jestem martwy. Tylko bardzo niezadowolony.

- Proszę. - Claire podała mu szklaneczkę krwi. - Masz rację. Nie jestem zabójcą. Mam nadzieję, że ty też nie.

Morley usiadł i zaczął pić, wciąż wpatrując się w Claire.

- Oczywiście, że jestem zabójcą, dziewczyno. Nie bądź głupia. To moja natura. Jesteśmy drapieżnikami, bez względu na to, co Amelie próbuje udawać w swoim ogródku eksperymentalnym zwanym Morganville. Zabijamy, żeby przeżyć.

- Ale nie musicie - zauważyła Claire. - Na przykład teraz pijesz krew, którą ktoś ci dał. Więc to nie musi być na zasadzie zabij albo zabiją ciebie. Może być inaczej. Musisz tylko zmienić swoje nastawienie. Uśmiechnął się, ale tym razem nie pokazał kłów.

- Myślisz, że to takie proste?

- Nie. - Wstała i otrzepała kolana. - Ale wiem też, że ty nie jesteś taki zły, za jakiego chciałbyś uchodzić. Morley uniósł brwi.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Wiem, że jesteś mądry, ludzie cię słuchają i możesz zrobić coś dobrego dla tych, którzy ci ufają. Takich jak

Patience i Jacob, którzy mają dobry instynkt. Nie zdradź ich.

- Nie... - zamilkł i spojrzał w bok. - To nieważne.

Obiecałem, że ich wyprowadzę. No i są wolni. Co zrobią dalej, to już ich sprawa.

- Nieprawda - odezwał się Oliver. Stał niedaleko nich, oparty o stertę starych opon i popijał ze swojej szklaneczki. - Kiedy wywiozłeś ich z Morganville, stałeś się za nich odpowiedzialny, Morley. Czy ci się to podoba, czy nie, jesteś teraz patriarchą wampirów znajdujących się teraz w Blacke.

Pytanie tylko, co z nimi zrobisz?

- Zrobię? - Morley wyglądał na przerażonego. - Nic!

- Zła odpowiedź. Radziłbym ci się nad tym trochę zastanowić. - Oliver się uśmiechnął i z wyraźną przyjemnością pociągnął łyk z kubeczka. - Wiesz, Blacke byłoby idealnym miejscem. Na uboczu, mało ruchu. Żyjący tu ludzie będą dobrze strzeżli sekretu, biorąc pod uwagę, że ich najbliżsi też są wampirami. To mógłby być początek czegoś..interesującego.

Morley się zaśmiał:

- Próbujesz ze mnie zrobić Amelie.

- Boże uchowaj! W kiece wyglądałbyś fatalnie.

Claire pokręciła głową i zostawiła ich samym sobie.

Powoli wschodziło słońce, pokrywając niebo nad miastem złotem, różem i oranżem. Było pięknie i... jakby nowe. Wokół nic się nie zmieniło. Budynki nadal były zniszczone, pomnik Hiram wciąż leżał w trawie, a jakiś tuzin chorych wampirów ciągle ukrywał się w cieniu.

Ale czuło się, że miasto powraca do życia. Może dlatego, że po drugiej stronie placu otworzyły się drzwi biblioteki i ludzie wychodzili odetchnąć świeżym porannym powietrzem.

Przechodzili na drugą stronę, aby przekonać się, czy wśród zarażonych wampirów nie ma ich

bliskich.

Shane siedział na krawężniku obok zniszczonych dystrybutorów paliwa i jadł batonik. Claire usiadła przy nim.

152

- Pól? - zapytała.

- No, teraz wiem, że jesteś moją dziewczyną, skoro nic przeszkadza ci spożywanie własności publicznej. - Shane podał jej pół batonika. - Spójrz, żyjemy!

- I mamy czekoladę!

- To nie jest zwykły cud. To cud z czekoladą. Najlepszej jakości.

Eve wyszła z warsztatu i usiadła obok Claire, opierając brodę na dłoniach zwiniętych w pięści.

- Jestem tak zmęczona, że aż mi niedobrze - powiedziała. - Co na śniadanie? Tylko nie mówcie, że krew.

Claire podzieliła swój kawałek batonika na dwie części i podała jedną Eve.

- Snickers. Śniadanie...

- Mistrzów? - wymamrotała Eve z pełnymi ustami.

- Tylko jeśli jecie na czas - odezwał się Shane. - To co, Morley zostaje? Będzie Królem Blacke?

- Zdaje mi się, że raczej Zębatym Merem, ale tak.

Najprawdopodobniej.

- To możemy spławić Olivera?

- Nie sądzę - odezwała się Claire. - Mówi, że niedługo ruszamy.

- A jak zamierzamy to zrobić?

- Nie mam pojęcia...

Najpierw usłyszała tylko lekkie brzęczenie, jakby upartego komara, ale szybko dźwięk zamienił się w ryk.

Zza zakrętu wyjechał wielki czarny karawan, który zatrzymał się przed warsztatem.

Otworzyło się okno, z którego wyrzwał Jason. Uśmiechał się.

- Podrzucić kogoś? Pomyślałem, że podjadę do Durram i zabiorę twój wóz. Skoro jest legalny i w ogóle. Mam też wasze komórki.

- Jesteś genialny, braciszku. - Eve poderwała się na

nogi i pogładziła karoserię. - Dobra, wazeliniarzu, zmiataj

z mojego miejsca. Ale już!

Zanim wsiadła, zarzuciła bratu ręce na szyję i uściskała go mocno, mimo znajdujących się między nimi drzwi. Wyglądał na zaskoczonego.

I widać było, że odczuł wielką ulgę. Claire, widząc to, poczuła ból.

- Chodź - powiedziała Eve. - Musimy zasłonić tył przed słońcem.

- Moment. Muszę do łazienki.

- W bibliotece jest jedna - podpowiedział Shane. - Hej, jak ci się udało uciec z miasta?

- Ukradłem traktor.

- Co?

153

- Traktor. Całą noc jechałem do Durram. Nie byłem pewien, czy w ogóle mi się uda. Paliwo skończyło mi się jakieś cztery kilometry od miejsca, gdzie odholowali samochód.

- Ha! - Claire widziała, że Shane, chcąc nie chcąc, jest pod wrażeniem. - Szedłeś dalej?

- Nie, przeleciałem na skrzydłach.

- Idiota.

- A jak go wyciągnąłeś z policyjnego parkingu?

- Tajemnica zawodowa - odparł. - Ale mogę tylko dodać, że nie pytałem o zgodę. Tak samo z telefonami. A propos.. . - Pogrzebał w kieszeni bluzy, wyciągnął telefony i oddał Shane'owi. Nie przybili piątki, ale Shane skinął głową,

a Jason odpowiedział mu tym samym.

- Nie ma sygnału - stwierdziła Claire. - Operator w Morganville jest beznadziejny.

- Zasięg jest, kiedy Amelie jest to na rękę - odparł Shane. - Najwyraźniej teraz nie chce, aby był.

- Ale Michael musi zadzwonić do tego faceta z Dallas.

No wiesz, powiedziec, że jesteśmy w drodze.

- Przekazać mu, że zostaliśmy uwięzieni w mieście wampirów i zwalczyliśmy armię wampirzych zombie? To masz na myśli?

- Myślałam raczej o problemach z samochodem.

- Nudne, ale może zadziałać. Sprawdzę, czy uda mi się to załatwić. Może wampirze telefony działają lepiej.

Kiedy rozmawiali, Jason skierował się do biblioteki. Szedł ze spuszczoną głową. Odprowadzając go wzrokiem, Claire pomyślała, że może, ale tylko może, była jakaś szansa dla brata Eve.

Niewielka, ale... jednak...

Epilog

Te są idealne. - Powiedziała Eve i po raz ostatni poprawiła perukę na głowie Claire, aby leżała jak trzeba. I nagle wyglądała tak jak trzeba, nie jak plastikowe sznurki na czubku głowy, ale jak... włosy. Sztuczne, owszem, ale wyglądały...

Claire nie mogła się zdecydować, jak wyglądały. Odwróciła głowę w jedną stronę, potem w drugą. Zrobiła jakąś pozę.

- Fajnie? Wydaje mi się, że tak. Chyba? - Dziewczyna patrząca na nią z lustra nie była już zastraszoną, chudą

Claire. Nowa, lepsza Claire Danvers była wyższa, trochę

154

bardziej zaokrąglona i miała na sobie ostro różową koszulę na czarnym podkoszulku, dzinsy biodrówki z czaszkami na kieszeniach i różowo-białe włosy. W pasiastej peruce wyglądała świetnie. Włosy spływały jej na ramiona falami, nadając jej tajemniczy, delikatny i powabny wyraz, a Claire wiedziała, że nigdy w życiu nie była tajemnicza ani powabna.

- Idealnie do ciebie pasuje. - Eve westchnęła uszczęśliwiona i zaczęła skakać w swoich nowiutkich butach z czarnej lakierowanej skóry z czerwonymi czaszkami. - Musisz ją wziąć. I nosić. Wierz mi, Shane oszaleje. Wyglądasz tak

groźnie!

- Shane już oszalał - zaśmiała się Claire. - Widziałas

go w alejce z koszulkami? Myślałam, że się rozplacze. Tyle sarkastycznych powiedzonek i tak mało dni w tygodniu, aby je nosić. I nie jestem pewna, czy dobrze się czuję, wyglądając, no wiesz, groźnie.

Eve spojrzała na nią przeciągle.

- Ale wiesz, że jesteś. Groźna.

- Nieprawda.

- To nie włosy. Po prostu... masz w sobie coś takiego,

Claire. Kiedy żadne z nas nie wie, co zrobić, ty... po prostu robisz. Nie boisz się.

- Nieprawda - westchnęła Claire. - Ciągłe się boję.

Okropnie. Szczęście, że nie uciekam, krzycząc jak mała dziewczynka.

Eve się uśmiechnęła.

- To moje zadanie. Ty jesteś typem heroicznym.
- Nieprawda!
- Och, zamknij się i po prostu kup perukę.
- Nie.
- Kup, kup, kup, kup!
- Dobrze! Jejku, straszysz innych wariatów.

Obie zaczęły się śmiać, bo to była prawda. Para niezmiernie gotyckich Gotów wycofała się, patrząc na nie dziwnie. Mieszkanie w Morganville dawało odpowiednie nastawienie, podejrzewała Claire. A to nie było takie złe, szczególnie kiedy się trafiło do takiego wielkiego, groźnego miasta jak Dallas, gdzie wszystko zdawało się poruszać dziesięć razy szybciej, niż było się przyzwyczajonym. W tym samochody. Claire nie wiedziała, jak Eve udało się dowieźć ich do hotelu, albo Michaela do studia nagraniowego po zmroku, ale jakoś to zrobiła i to było wspaniałe.

W pokojach hotelowych były darmowe mydła i szampony, i szlafroki. To było niesamowite. I wszystko było nowoczesne, z telewizorami HD z płaskim ekranem. A łóżka były tak miękkie, że spało się w nich jak na skrzydłach aniołów.

To było tak inne od życia, jakie zwykła prowadzić, i pewnie dlatego wszystko było takie wspaniałe.

- Jesteś niesamowita - powiedziała Claire do swojego

155

odbicia. Odbicie zdawało się z nią zgadzać, aczkolwiek nadal myśl o tym wywoływała w niej śmiech. Przypomniała sobie zaskoczenie Morleya, kiedy w niego strzeliła, i śmiech

Olivera, i jego szczerą aprobatę.

Może była, odrobinę. Pomyślała o makijażu.

- Co sądzisz o grubej kredce do oczu? - Pytanie było

zupełnie niepotrzebne, ponieważ Eve nigdy nie ruszała się

bez grubej kredki do oczu. Uważała, że to podstawowy element kobiecego wyglądu. Eve natychmiast wyciągnęła zestaw kosmetyków Maca i zaczęła malować Claire oczy. Kiedy Claire spojrzała znów w lustro, wyglądała... naprawdę tajemniczo. Jej twarz nabrała głębi, cieni, tajemnic.

Niesamowite, ile może dać drobna zmiana.

I trochę snu, pomyślała Claire. Dawno nie czuła się tak dobrze. Teraz, kiedy wiedziała, że nikt nie czai się za rogiem, by ją porwać, wgrzyźć się w szyję czy zaszkodzić jej w inny sposób.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała Eve. - Na twój

widok można paść trupem.

- Mam nadzieję, że niedosłownie.

- Chodzi o to, aby ludzi powalać, kochanie. Nie sądzi-

łam, że muszę ci to wyjaśniać.

Shane wyszedł z za rogu, trzymając wielką stertę koszulek, z których każda miała obrazić kogoś w Morganville, i zatrzymał się na ich widok. Otworzył i zamknął usta. Eve się odsunęła, ale Shane nawet tego nie zauważył. Wpatrywał się w Claire i wyglądał tak, jakby oberwał

w czoło patelnią.

- Jak wyglądam? - zapytała, co było idiotycznym pytaniem, biorąc pod

uwagę, jak na nią patrzył.

Upuścił koszulki i pocałował ją, długo i słodko. Claire poczuła, jak radość zamienia się w niej w szaleństwo, dzikie i wolne.

Dwójka Gotów, w skórach, z kolcami i ufarbowanymi włosami, prychnęła i odeszła, najwyraźniej obrażona manifestowaniem tak wielkiej radości.

Kiedy Shane dał jej wreszcie odetchnąć, Claire powiedziała:

- Może jednak powinniśmy najpierw kupić rzeczy, a dopiero potem świętować?

- Po co czekać?

I znów ją pocałował.

Dallas było niesamowite. Te wszystkie światła, niesamowite budynki, ruch, hałas, ludzie. Po poranku spędzonym na zakupach Claire była kompletnie padnięta, zbyt zmęczona, by w pełni docenić, jak niesamowity mają hotel, z całym tym szkłem, marmurami i eleganckimi meblami. Michael miał być w studiu dopiero o ósmej wieczorem, więc padła na łóżko i zasnęła w ubraniu. Na długo. Kiedy się obudziła,

Eve właśnie kończyła nakładać makijaż - wróciła do wizerunku gotyckiej dziewczyny

156

- i upewniać się, że jej koronkowa mini w czaszki dobrze leży. Zdawało się, że jej nogi są dłuższe niż całe ciało Claire.

- Jej - wyszeptała Claire i usiadła. W lustrze zobaczyła,

co upiornego stało się z jej fryzurą. - Aj...

- Przynic jest niesamowity - powiedziała Eve i odwróciła się bokiem, wygładzając spódnicę. - Myślisz, że przesadziłam?

- Jak na Morganville, na pewno. A na Dallas? Nie mam

pojęcia. Ale wyglądasz doskonale.

Eve uśmiechnęła się swoim sekretnym uśmiechem, oczy jej zaśmiały.

Było oczywiste, że myśli o Michaelu.

Claire ziewnęła, zsunęła się z łóżka i poszła wypróbować prysznic. Pół godziny później włosy miała w jakim takim stanie, była czysta, wysuszona i ubrana w dzinsy i najładniejszą niebieską koszulkę, w której Shane powiedział, że mu się podoba. Zrobiła sobie nawet delikatny makijaż, ale i tak wiedziała, że w porównaniu z Eve będzie wyglądała jak myszka.

Dziesięć minut później Shane zapukał do drzwi, a kiedy mu otworzyła, wyglądał na śpiącego, ale zadowolonego. Prosto spod prysznica - uwielbiała ten jego wygląd - włosy miał jeszcze bardziej rozwichrzone niż zwykle, jakby wytarł je ręcznikiem i o nich zapomniał. Wygładziła je, Shane ją pocałował i zawołał.

- Hej, Eve? Pociąg szaleńców rusza z peronu pierwszego!

- Już idę! - krzyknęła Eve i wyszła z łazienki, po raz ko-

lejny wygładzając spódnice.

Shane zamrugał, ale nic nie powiedział.

- Michael czeka. Boi się, że się spóźni.

- Nie ma obawy - odpowiedziała. - Dobrze wyglądam?

Jak dziewczyna rockmana?

- Nie - odparł Shane, a kiedy spojrzała na niego z urazą, zaśmiał się głośno. - Wyglądasz znacznie lepiej, groźna panno.

Posłała mu buziaka i wyszła na korytarz. Michael z niepokojem kręcił się przy windach. Pod ścianą leżał jego sprzęt. Miał dziwną minę, jakby zamknął się w sobie, ale kiedy tylko zobaczył Eve, rozpogodził się.

Claire westchnęła z radością, kiedy Michael pocałował swoją dziewczynę i pochylił się, aby coś jej szepnąć do ucha. Coś, co sprawiło, że Eve roześmiała się i przytuliła do niego mocniej.

Shane przewrócił oczami.

- Myślałem, że ci się spieszy, chłopie.

- Nigdy aż tak bardzo - stwierdził Michael i podniósł

jedną z gitar.

Shane wziął drugą.

- No to ruszamy, Mikey. - Michael popatrzył tylko na

niego. Shane zapewnił go: - Michael, dasz radę, wierz mi.

Michael nabrał głęboko powietrza, przybił piątkę i skinął głową, naciskając guzik windy.

Na dole czekał samochód - duży i czarny, prawie jak limuzyna, tylko mniej elegancki. Z kierowcą w czarnej marynarce. Pomógł wsiąść Eve, a następnie Claire. Michael i Shane usiedli naprzeciwko. Gitary, stwierdziła Claire, musiały wylądować w bagażniku.

Michael był blady. Ale w gruncie rzeczy kiedy nie był? Wyciągnął rękę i kiedy ruszyli, wziął dłoń Eve i powiedział:

- Wspaniała sukienka.
- Kocham cię - powiedziała, tak po prostu. Michael uniósł lekko brwi i się uśmiechnął.
- Właśnie przechodziłem do tej części.
- Wiem. - Eve poklepała go po rękę. - Wiem, ale jesteś facetem. Uznałam, że po prostu przejdę do rzeczy. Będziesz wspaniały.

Nie odzywali się więcej podczas tej krótkiej podróży. Samochód miał szklany dach, dzięki czemu mogli podziwiać niesamowite widoki, olbrzymie budynki i kolorowe światła. Claire czuła, jak serce jej wali. To działa się naprawdę. Nie wyobrażała sobie, co musi czuć Michael. Czuła się jak we śnie. Morganville zdawało się snem, takim, który przydarzył się komu innemu, a myśl o tym, że będą musieli opuścić tę rzeczywistość i wrócić do tamtej...

Shane nie musiał, przypominała sobie Claire. Z ich czwórki tylko on mógł odejść, bo w Morganville nic go nie trzymało.

W każdym razie nic poza nią.

W studiu, które znajdowało się w budynku przemysłowym na skraju centrum, kierowca wypakował gitary i zaprowadził ich do środka, gdzie dwójka ludzi natychmiast skupiła się na Michaelu. Claire, Eve i Shane stali się nagle tylko osobami towarzyszącymi, co było zabawne i w jakiś sposób niesamowite, i podążali za ludźmi ze studia, którzy wyjaśniali wszystko Michaelowi.

Shane niósł obie gitary. Robił to z uśmiechem, co pozwalało zgadnąć, jak dumny jest ze swojego przyjaciela.

Michael wyglądał groźnie - skupiał się na każdym słowie i Claire widziała, że zmienia się już w rockmana, że na scenie będzie zupełnie inny niż na co dzień.

Przy drzwiach do studia nagraniowego jeden z pracowników odwrócił się i zatrzymał Eve, Claire i Shane'a.

- Wy musicie poczekać w pokoju obok - powiedział. -

Tamtymi drzwiami.

Wskazał grube metalowe drzwi z oknem i wziął od Shane'a gitary. Na koniec posłał im uśmiech.

- Będzie świetny. Wiercie mi. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie był.

- Oczywiście - odpowiedział Shane i zaprowadził

dziewczyny do pokoju, który okazał się pokojem nagrań.

Potężny mężczyzna o niezwykle kręconych włosach siedział przy mikserze, który wydawał się bardziej skomplikowany niż wnętrze promu kosmicznego. Powiedział im „cześć” i wskazał miejsca na dużej pluszowej kanapie z tyłu pokoju.

Studio było niesamowitym miejscem, pełnym ludzi doskonale znających się na swojej robocie. Realizator dźwięku siedzący za gigantycznym, skomplikowanym mikserem był rozluźniony, spokojny i na luzie, a dwaj pracownicy, którzy po drugiej stronie szyby pomagali Michaelowi rozstawić sprzęt, sprawdzili kilka rzeczy i pozostawiwszy go samego, wyszli do reżyserki.

- Okej - odezwał się realizator i skinął na swoich dwóch asystentów, bo chyba taka była ich funkcja. Claire nie była pewna. - Popatrzmy, co potrafi. - Przesunął jakiś wskaźnik. - Michael? Zaczyna], jak będziesz gotów.

Zaczął od spokojnej piosenki. Grał ze spuszczoną głową. Claire widziała, że wszyscy w studiu słuchali z wielkim zainteresowaniem, kiedy Michael wczuł się w muzykę. Płynęła z niego, gładka jak jedwab, piękna, tak naturalna jak blask słońca. To był efekt gitary akustycznej i przyprawił Claire o łzy. Było w tym coś tak delikatnego i smutnego, i bolesnego. Kiedy skończył, przytrzymał ostatni akord przez dłuższy moment, po czym westchnął i usiadł z powrotem na stołku, patrząc na nich przez szybę.

Realizator dźwięku miał otwarte usta. Zamknął je, odchrząknął i powiedział.

- Jak to się nazywa, chłopcze?

- Piosenka Sama. - Odpowiedział Michael. - Jest dla mojego dziadka.

Realizator wyłączył mikrofon, spojrzął na pozostałych dwóch i powiedział.

- Mamy to na żywo.

Cóż za czarny humor, pomyślała Claire. Gdyby tylko wiedział...

- Jest wspaniały - szepnął Shane, jakby nigdy wcześniej o tym nie wiedział. - Naprawdę, jest wspaniały. Nie jestem szalony, prawda?

- Nie jesteś - odparł realizator. - Twój kolega ma niesamowite zdolności. Pokochają go tam.

Tam. Na świecie.

W prawdziwym świecie.

Do którego Michael nie mógł wyjechać na długo.

Otworzyły się drzwi i wszedł Oliver. Wyglądał jak zwykły człowiek, miał ojcowską, przyjazną minę. Starzejący się hipis w kolorowej koszulce, spranych dżinsach i w sandałach. Claire była pewna, że gdyby powiedziała realizatorowi dźwięku, że to wampir, ten uśmiełby się i zasugerował, żeby odstawiła prochy.

Oliver usiadł na oparciu kanapy i zaczął słuchać. Wszyscy się przesunęli, bo nawet Claire nie miała ochoty się o niego opierać, bez względu na to, jak miło się zachowywał. Nic nie powiedział. Po jakimś czasie wszyscy się trochę rozluźnili, słuchając Michaela grającego cudowną muzykę po drugiej stronie studyjnej szyby. Szybka, wolna, ostry rock, umiał je wszystkie.

Kiedy przebrzmiała ostatnia piosenka, dwie godziny później, operator włączył mikrofon i powiedział.

- Idealne. To było idealne, jesteś świetny. Dobra, myślę, że skończyliśmy. Gratulacje. Właśnie wkroczyłeś na drogę sławy, chłopie.

Michael wstał, uśmiechnięty, trzymając w jednym ręku gitarę, i spostrzegł przyglądającego mu się Olivera.

Uśmiech prawie zniknął z jego warg, ale wtedy przeniósł wzrok na Eve, która stała i posyłała mu buziaki. Zaczął się śmiać.

- Gwiazda rocka! - krzyknęła Eve i zaczęła klaskać.

Claire i Shane też wstali i przyłączyli się do oklasków.

Oliver siedział cicho, z obojętną miną, kiedy oni świętowali sukces Michaela.

To była ich ostatnia noc w Dallas. Oliver pozwolił im zjeść obiad na mieście, w niesamowicie drogiej restauracji, gdzie kelnerzy byli lepiej ubrani niż Claire kiedykolwiek. Oczywiście on nie poszedł, ale Claire czuła jego obecność, wiedziała, że ich obserwuje.

Mimo to posiłek był wspaniały. Spróbowała wszystkiego ze swojego talerza, z talerza Shane'a, a nawet od Michaela i Eve. Śmiali się i flirtowali, a po obiedzie, za

który zapłacili kartą kredytową Olivera, poszli do klubu tanecznego po drugiej stronie ulicy, z mrugającymi światłami. Nie mogli kupować alkoholu, bo nie dostali fluorescencyjnych bransoletek, ale potańczyli. Nawet Shane. Co prawda on właściwie tylko obejmował tańczącą Claire, co było wspaniałe. Rozgrzani, spoceni, wyczerpani i szczęśliwi, wsiedli całą czwórką do taksówki i wrócili do hotelu.

Kiedy jechali windą na górę, Shane zapytał: - Naprawdę wracamy?

To była długa jazda. Mieli pokoje na ostatnim piętrze bardzo wysokiego budynku.

Nikt się nie odezwał, nawet Michael. Oparł podbródek na głowie Eve i przytulił ją, a ona objęła go w pasie.

Shane spojrzał pytająco na Claire. Poczła ciężar tego pytania, jego olbrzymie znaczenie.

Nagle pierścień przyjaźni na jej prawej ręce stał się zimny.

- Poważnie - odezwał się Shane. - Jesteście w stanie tak po prostu wrócić do Morganville?

Michael, masz tu przyszość. Naprawdę.

- Mam? - zapytał Michael. W jego głosie słychać było zmęczenie. I porażkę. -

Jak sądzisz, jak długo wszystko byłoby okej, zanim coś poszłoby nie tak?

Morganville to bezpieczeństwo. To jest... piękne, ale chwilowe. Musi być chwilowe.

- Nieprawda - upierał się Shane. - Coś możemy wymyślić. Serio. Nim Michael zdążył odpowiedzieć, dojechali na swoje piętro i wysiedli.

160

Oliver stał w drzwiach, w skórzanym płaszczu i z poważną miną... Najwyraźniej rola sympatycznego hipisa się skończyła. Stał w drzwiach, jakby już od jakiegoś czasu na nich czekał.

To było dość okropne.

Nagle cała czwórka się zatrzymała i skupiła na nim wzrok. Claire poczuła, jak Shane obejmuje ją w talii, jakby rozważał, czy nie zasłonić jej własnym ciałem. Ale przed czym ją chronić?

W spojrzeniu Olivera było coś dziwnego, bo on tak naprawdę nie patrzył wprost na nich. Nie wpatrywał się w nich tak jak zwykle.

Wybrał numer na komórce i włączył głośnik, dokładnie tam, na środku hotelowego korytarza. Puchaty dywan, światła i normalne życie zniknęło, gdy Claire usłyszała spokojny głos po drugiej stronie linii.

- Są wszyscy? - spytała Amelie. Chłodna, dokładna, wszechwładna.

- Poza Jasonem - odpowiedział Oliver. - Ma zadanie.

Poza tym i tak jego to nie dotyczy.

Zapadła cisza, po czym odezwała się Amelie:

- Chcę, abyście wiedzieli, że nie sprawia mi to żadnej przyjemności. Dałam ci jasno do zrozumienia, Claire, że cenie twoją pracę dla mnie i Morganville. Jesteś dla nas ważna. Rozumiesz?

- Tak. - Zaszło jej w gardle. Zrobiło się jej zimno.

- Michael - mówiła dalej Amelie - rozmawiałam z tobą w cztery oczy, ale teraz powiem to publicznie. Musisz powrócić do Morganville. To samo tyczy się Claire. Musicie wrócić.

Nie ma dyskusji. Oliver doskonale to rozumie i ma dopilnować, byście wrócili. Domyślam się, że w Dallas jest bardzo ciekawie, a Morganville wydaje się odległe. Ale zapewniam was, że to nieprawda. Jestem przekonana, że rozmawialiście o ucieczce, o odzyskaniu wolności, ale musicie zrozumieć: sięgam bardzo daleko, a moja cierpliwość ma swoje granice. Wolałabym, aby twoi rodzice dalej żyli w przeświadczeniu o swoim bezpieczeństwie, Claire. I twoja mama, Eve. A nawet twoi rodzice,

Michael, bo chociaż opuścili Morganville, nadal są pod moją kontrolą i na zawsze pozostaną.

- Ty suko - wymamrotał Shane.

- Panie Collins, wiele mogę znieść od waszej czwórki, nawet niegrzeczność od czasu do czasu.

Zapewniam ci mnóstwo wolności i swobody. Ale nie popełnij błędu, nie puszczam cię wolno. Pogódź się z tym. Jeśli musisz, możesz mnie nienawidzić. Ale musisz wrócić do Morganville albo ponieść konsekwencje. A kto jak kto, ale ty wiesz, że mówię poważnie.

Shane zbladł i Claire poczuła, jak cały sztywnieje.

- Tak, wiem - powiedział chrapliwie. - Znalazłem moją mamę unoszącą się w wannie pełnej jej własnej krwi. Wiem, jak poważne mogą być konsekwencje.

161

Amelie znów zamilkła, po czym dodała:

- Morganville może nie jest rajem i może nie stanowi przyszłości, którą byście sobie wyobrażali. Ale w Morganville wy i wasze rodziny będziecie bezpieczni, dopóki będę miała coś do powiedzenia w tym mieście. Daję wam na to słowo Założycielki. Czy to jasne?

- Trzymasz nasze rodziny jako zakładników - stwierdziła Claire. - Wiedzieliśmy o tym już wcześniej.

- Ale chciałam, żebyście to usłyszeli ode mnie, żeby nie było żadnych wątpliwości. I teraz usłyszeliście. Oczekuję was jutro z powrotem. Dobranoc.

Oliver wyłączył telefon i schował. Nic im nie powiedział, po prostu usunął się z drogi. Przez kilka chwil nikt nic nie mówił, aż wreszcie Shane się odezwał:

- No to byłoby na tyle.

- Tak - odpowiedział Oliyer. - Jutro wracamy. Sugerowałbym, żebyście w pełni wykorzystali czas, który wam dziś został. - Odwrócił się, ale spojrzał jeszcze raz przez ramię. -1 przykro mi.

Shane, nie mówiąc ani słowa, wziął Claire za rękę i zaprowadził do swojego pokoju. Rano, kiedy słońce oświetliło ich w ostatnim dniu ich wolności, Shane przeturlał się na łóżku, aby na nią spojrzeć, podparł się na łokciu i rzekł:

- Wiesz, że cię kocham?

- Wiem.

- Bo jestem beznadziejny, jeśli chodzi o mówienie o uczuciach - powiedział. - To ciągła praca, cały ten związek.

Tak naprawdę przez całą noc nie spała. Była zbyt zajęta myśleniem, martwieniem się, zastanawianiem. Wyobrażaniem sobie najróżniejszych możliwości.

Wyobrażaniem sobie tej chwili. I kiedy zadała to pytanie, czuła się, jakby spadała z bardzo wysokiego budynku.

- Shane? Czy ty... czy ty zamierzasz wrócić? Do Morganville?

Poza Frankiem, jego ojcem, a obecnie wampirem, nie było nikogo, kim Amelie mogłaby go szantażować... poza Claire i Michael'em, a poza tym Amelie tak naprawdę nigdy nie potrzebowała Shane'a. Natomiast Claire go potrzebowała. A z każdym uderzeniem serca potrzebowała go bardziej.

Spojrzał na nią, wpatrywał się w jej oczy tak długo, że czuła, jakby miała spadać całą wieczność...

Aż w końcu powiedział bardzo cicho.

- Jak mógłbym nie wrócić? Jak mógłbym cię zostawić Claire? Albo wszyscy zostajemy, albo wszyscy wracamy. Nie pozwolę ci wrócić samej. - Dotknął jej nosa, wywołując atak śmiechu. - Ktoś musi cię bronić.

Pocałowała go, a poranne słońce ogrzewało ich skórę. Shane uniósł jej prawą dłoń do ust i ucałował jej palce, i pierścień przyjaźni, tę obietnicę przyszłości, która tak wiele dla niego znaczyła, w przeszłości.

162

A potem, jeszcze raz, póki wciąż byli zupełnie wolni, powiedział jej, jak bardzo ją kocha. Powrót do Morganville nie wydawał się już tak ponury.

Wprowadziła : madabob ☺

Thank you for evaluating PDF to ePub Converter.

To get full version, you need to purchase the software from: <http://www.pdf-epub-converter.com/convert-to-epub-purchase.html>